

Anna Kłodzińska:

MALWERSANCI

WIELKI SEN 2010

Redaktor serii Grzegorz CIELECKI

Projekt okładki i logo serii Rafał BARTLET

Skład i łamanie

Anna LEWANDOWSKA

Korekta

Aleksandra BŁY

ROZDZIAŁ I

- A ja gwizdę na dyrektora. Rozumiesz? Wilczyński kopnął ze złością kosz od śmieci i wpakował ręce w kieszenie spodni. Lewa połowa twarzy drgała mu nerwowo.

- Nie odstawiaj bohatera - mruknął Adamczak, przyglądając mu się z ironicznym uśmiechem. - Ty jesteś odważny tylko wobec nas, a przed dyrektorem... - umilkł, bo Wilczyński poderwał się i schwycił go za krawat.

- Co przed dyrektorem! - syczał, czerwony z gniewu. -No, powtórz... Co przed dyrektorem? Bo ci tu ten...

- Panowie, na miłość boską! - zawołał przestraszony starszy ekonomista Namitkiewicz. - Jesteśmy w biurze, a nie w knajpie. Panie Jasiu, niechże pan natychmiast go puści. Do czego to podobne. Wejdzie ktoś z interesantów i... Niech pan siada i uspokoi się. Kolega Adamczak nie chciał z pewnością...

- Chciałem - przerwał gniewnie Adamczak, rozcierając sobie szyję. - Niech pan mówi za siebie. Chciałem

mu raz wygarnąć prawdę. Przed nami... a zresztą, co mnie to obchodzi - zakończył niespodziewanie, słysząc znajome kroki w korytarzu. Drzwi otworzyły się i stanął w nich dyrektor biura, Gilewski.

- Panie magistrze, niech pan pozwoli do mnie na chwilę - zwrócił się do Namitkiewicza. - I niech pan weźmie ze sobą teczkę dostaw za wrzesień.

- W tej chwili, panie dyrektorze - ekonomista podniósł się z krzesła i sięgnął do stojącej za nim szafy. - Jakaś kontrola? - zapytał, wyjmując zieloną aktówkę.

- Nie, prasa - uśmiechnął się Gilewski, przyglądając się ze zdziwieniem poczerwieniałej twarzy Wilczyńskiego. - Czy pan nie chory? - spytał podchodząc do jego biurka.

5

Wilczyński zerwał się i uśmiechnął z wysiłkiem.

- Nie, panie dyrektorze - odparł, poprawiając leżące przed nim papiery. - Czuję się zupełnie dobrze.

Czuł na sobie ironiczny wzrok Adamczaka. „Stłukę mu mordę” - pomyślał z wściekłością.

- Zdaje się, że pan ma gorączkę - dodał jeszcze dyrektor. - Jakby pan się źle czuł, to proszę iść do ambulatorium, lekarz wyda zwolnienie. Niech mi pan tu grypy nie roznosi - rzucił z uśmiechem i wyszedł. Tuż za nim, z teczką pod pachą, wysunął się Namitkiewicz.

- Świetny człowiek - westchnęła z drugiego pokoju jedna z pracowniczek. - Takiego drugiego dyrektora, jak nasz, to ze świecą szukać.

- Prawda - przyświadczyła woźna, rozstawiając na biurkach szklanki z herbatą. - Jak we środę czterech zostało na garbunkowym godzinę dłużej, bo trzeba było bębny oczyścić, to przyszli na drugi dzień do dyrektora, że to niby tak długo pracowali i żeby im do kart wpisać. A dyrektor - sama słyszałam, jak raz drzwi na korytarz były otwarte, a ja brałam się za sprzątanie - więc dyrektor mówi im tak: „Moi ludzie kochani, do kart to wam księgowy pewnie wpisać nie da, bo czyszczenie bębnow trzeba było zrobić tak czy tak, to jest wasz obowiązek, ale żebyśta stratni nie byli, to ja wam tu od siebie coś dam”. Wyszli potem na korytarz, a ja pytam Walczaka: „Dużo wam dał?” A Walczak mówi: „dwa patyki” i uśmiecha się. Znaczy się, dwa tysiące. No, sami powiedzcie, który dyrektor dałby tak ze swojego dwa tysiące robotnikom? -Co?... Pan do kogo?

Mężczyzna, który od paru minut stał za jej plecami i cierpliwie czekał końca tej tyrady, odpowiedział grzecznie:

- Do pana Wilczyńskiego.

- W tamtym pokoju. Dla pani sekretarki herbatkę?

- Proszę. Tylko mocną. Albo nie, pani Ząbik, niech mi pani da samego wrzątku, zrobię sobie neskę.

Obcy mężczyzna wszedł do następnego pokoju, a dojrawszy Wilczyńskiego, przywitał się z nim

serdecznie.

- Aż tu trafiłem, jak pan widzi - roześmiał się, kładąc na krześle brązową teczkę i kapelusz.

- Ciągłe ta sama sprawa? - spytał Wilczyński, częstując go papierosem. Był zadowolony, że nieoczekiwanie wizyta przerwała jego kłótnię z Adamczakiem.

- Tak. Okazuje się, że ten facet pracował kiedyś w Centrali Garbarskiej.

- U nas? - zdziwił się referent. - To musiało być już bardzo dawno. Nie pamiętam nikogo o takim nazwisku.

- Ach, no oczywiście. Przecież to było dziewięć lat temu. Pan był chyba wówczas jeszcze w szkole.

- No, taki młody to znów nie jestem - roześmiał się Wilczyński. - Chociaż... słowo daję, że dziewięć lat temu byłem dopiero w jedenastej klasie. Ma pan rację inspektorze.

Inspektor z Państwowego Biura Kontroli, Tadeusz Kowalski, przyglądał mu się z rozbawieniem. Jego szczupła twarz o ostrych rysach, złagodzonych miłym uśmiechem, miała koloryt żółtawy jak kość słoniowa, a pod oczami i obok ust biegła gęsta sieć drobniutkich zmarszczek.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, do pokoju wpadł raczej niż wszedł blady, łysawy blondyn w niebieskiej marynarce z welwetu.

- Jasiu, dasz papierosa? - zwrócił się do Wilczyńskiego. - O, przepraszam. Nie wiedziałem, że masz interesanta.

- Proszę - Kowalski podsunął mu papierośnicę.

- Serdecznie dziękuję. Odwdzięczę się przy okazji. Pan pozwoli, łaciak, z oddziału gospodarki materiałowej.

- Kowalski. Podali sobie ręce.

- Ładna pogoda dzisiaj, co?

- Owszem - uprzejmie przytaknął inspektor.

- Co to ja... tego. A Kolasińskiego pan zna?

- Słuchaj, może byś mi nie przeszkadzał w rozmowie, dobrze? - powiedział Wilczyński niechętnie.

- Już uciekam. Można jeszcze na drogę? - wyciągnął z otwartej papierośnicy dwa „Grunwaldy”, przytknął bła-żeńsko palec do czoła i wyszedł.

Poprzedniego wieczoru był w Teatrze Dramatycznym na „Uczcie morderców”, cały czas chichotał jak szalony i teraz usiłował powtórzyć tamte dowcipy. Każdego z napotkanych kolegów pytał z udanym roztargnieniem: „Ko-lasińskiego pan zna?”. Gdy słyszał odpowiedź: „nie znam”, pytał, dusząc się ze

śmiechu: „a kogo?” i szedł dalej. Za czwartym razem jednak ktoś odparł: „Znam” i Łaciakowi zabrakło konceptu. Zastanawiał się, co by wówczas odpowiedział autor ustami swego bohatera, ale ograniczona wyobraźnia nie podsuwała mu nic interesującego.

Wilczyński zaprowadził inspektora do działu kadr i, pożegnawszy go, przystanął w zamyśleniu na korytarzu. Miał kłopoty natury finansowej i zastanawiał się, od kogo by pożyczyć dwieście czy trzysta złotych. Przez chwilę przyszedł mu na myśl Kowalski, ale odrzucił ten projekt. Mimo wszystko znali się jednak zbyt mało.

Tak, ale wiedział, że Maria nie ma już pieniędzy na dom. Bieliznę z pralni można było od biedy wykupić pierwszego, pozostaje rachunek za światło i gaz. No i jedzenie. Do wypłaty jeszcze cały tydzień.

- Co pan taki zamyślony, panie Wilczyński? - usłyszał czyjś głos nad uchem. Wzdrygnął się i odwrócił głowę. Przy nim stał Olański, majster oddziału wykańczalni, i uśmiechał się przyjaźnie.

Młody referent popatrzył na niego z roztargnieniem i nagle pomyślał, że taki majster, co zarabia blisko trzy tysiące, powinien mieć przed pierwszym parę setek w portfelu. Zawstydził się jednak i prędko odpędził pokusę. Nie zdarzyło się, żeby pracownicy biurowi pożyczali od „tych z produkcji”. W gruncie rzeczy, pomimo dużo niższych zarobków, uważali się za coś lepszego.

- Nic, tak się zamyśliłem - mruknął i wrócił do swego pokoju.

Inspektor Kowalski nie załatwił w kadrach swojej sprawy, bo kierownika nie było. Podstemplował więc przepustkę i wyszedł na podwórze, błądząc między stosem szklanych balonów po kwasie, kadziami z garbnikiem i blado-niebieskimi ścinkami mokrej skóry. Wreszcie zobaczył

nad starym, czerwonym murem przesuwający się pałąk tramwaju i skierował się w stronę portierni.

Lubił tak błądzić, trochę umyślnie, po obcych fabrykach i biurach, dostrzegając w nich przy tej okazji to i owo, z czego później niejeden kierownik musiał się gęsto tłumaczyć.

Brama przy portierni była szeroko otwarta, stał przed nią ciężarowy samochód pełen skór. Inspektor Kowalski zbliżył się od niechcenia i rzucił na nie okiem. Z grubsza biorąc, były to jakieś trzy tony skóry twardej. Dojrzał kru-pony i boki, niedbale nakryte zielonkawą plandeką. Na samochodzie widniał napis: Warszawskie Zjednoczenie Handlu Obuwiami.

W portierni tęgi mężczyzna w zatłuszczonej kurtce odbierał już i chował swoje papiery, pozostawiając tylko przepustkę.

- Przepraszam... - szepnął inspektor, potrącając silnie łokciem grubego konwojenta. Ten złapał się za ramię, wypuszczając spod pachy teczkę. - Bardzo pana przepraszam - schylił się błyskawicznie i podniósł teczkę, podając ją tęgiemu mężczyźnie z miłym uśmiechem.

- Mógłby pan uważać - odburknął tamten, pocierając bolące ramię. Obrzucił go złym wzrokiem, wepchnął teczkę pod pachę i wyszedł. Po chwili ciężarówka wytoczyła się za bramę i znikła.

- Co pan tu robi? - spytał portier podejrzliwie, drapiąc się po zarośniętym karku. - Przepustkę pan ma?

Kowalski podał mu papierek, powiedział grzecznie: do widzenia i wyszedł na ulicę.

Miał sporo do myślenia na temat pobytu w przedsiębiorstwie. Teczka konwojenta wypchana była pociętymi na kawałki kuponami, najlepszej części twardej skóry podeszwowej.

Szedł wzdłuż muru Centrali, minął przystanek tramwajowy i ocknął się dopiero na rogu ulicy Świerczewskiego, gdy ogarnął go szum pojazdów i gwar spieszącego się tłumu.

Wilczyński wszedł do tramwaju, niedbale okazał konduktorowi miesięczny bilet i wcisnął się w kąt platformy, zapinając szczelnie płaszcz, bo przez otwarte drzwi leciał chłód.

Nie dostał pożyczki. Właściwie, przed pierwszym pieniądze miał zawsze tylko Namitkiewicz, ale z zasady nie pożyczał - no i Adamczak, ale do niego Wilczyński nie mógł się zwrócić, żałował teraz, że nie poprosił jednak inspektora. Chyba by nie odmówił.

Odechciało mu się powrotu do domu, na obiad. Wiedział, że Maria nie od razu zapyta o pieniądze, że zrobi to później nieśmiało, z przepaszającym uśmiechem. I to właśnie było najgorsze. Już by chyba wolał, żeby krzyczała, robiła awantury. Mógłby wówczas również krzyczeć na nią, że widocznie za dużo wydaje - co oczywiście było nieprawdą - że on nie jest w stanie nastarczyć na cztery osoby, i tak dalej. Mógłby potem trzasnąć drzwiami, że oto ma już dosyć wszystkiego, i tego domu z awanturującą się żoną, i wiecznych krzyków o pieniądze...

Tak, ale Maria nigdy nie krzyczała ani nie dopominała się. Prowadziła dom tak oszczędnie, jak tylko się dało, cerowała i przerabiała sama bieliznę i ubrania dzieci, a w dodatku wieczorami przygotowywała się do egzaminu na zaocznych kursach księgowości i stenografii. Robiła wszystko, żeby mu pomóc, a on nie mógł w żaden sposób zrobić jej sceny i po męsku wynieść się z domu na cały wieczór. Niech to diabli...

W gruncie rzeczy przecież ją kochał i po prostu nie mógł dać sobie rady z pieniędzmi. Maria zapewniała go wprawdzie, że jeszcze dwa, trzy miesiące, i ich sytuacja się zmieni. Ona zacznie pracować, dorobi te brakujące półtora tysiąca, potem może i więcej.

- Znów się spotykamy - powiedział ktoś, dotykając jego ramienia.

Spojrzał bokiem. To był Olański. Jechał widocznie razem z nim już od przystanku obok Centrali, a on wcale tego nie zauważył.

- Widzę, że się pan czymś trapi - rzekł majster półgłosem. - Na frasunek dobry trunek. Może wstąpimy na małą przekąskę?

Wilczyński poczuł nagle, że ma szaloną ochotę na kieliszek wódki i - powiedzmy - „tatarą” albo marynowanego śledzika. Oczy mu rozbłyły i natychmiast przygasły. Przecież nie ma...

- Ja pana zapraszam - Olański obserwował go uważnie. - Cóż to, chyba nie wstydzi się pan zjeść i wypić razem z majstrem?

- Głupstwa pan mówi, panie Waclawie - odparł referent zmieszany.

- I nie hańba to dla pana przyjąć zaproszenie. Zresztą, nie idziemy przecież na jakiś wielki ochłaj - roześmiał się. - Pan jada obiady w domu?

Wilczyński przytaknął.

- No, widzi pan. I ja też. A to będzie tylko taka mała przekąska.

- Mój ojciec był garbarzem - bąknął referent, ni w pięć ni w dziewięć, kiedy wysiedli na placu Konstytucji i szli w stronę biur „Orbisu”.

- Co pan powie? - zdziwił się grzecznie Olański. -W Warszawie?

- Nie. W Krakowie. Ale zmarł podczas okupacji. Dokąd idziemy?

- Do „Małego Smakosza”. To pan przejął po ojcu fach, panie Wilczyński, co? Tylko za biurkiem to pan wiele nie zarobi. No, proszę - popchnął go przodem, gdy stanęli przed barem. - Chodźmy od razu do drugiej salki, tam swobodniej. Czekał pan, ja tu zaraz co... - rozglądał się po półmiskach z wędliną i rybami, stojących za szklaną gablotą. - Idź pan i zajmij miejsce przy blacie, ja przyniosę co trzeba.

Po paru minutach przytazszył dwie „setki”, talerzyk z pasztetem i schabem na zimno, widelce.

- Zaraz, jeszcze chlebek...

Wrócił z pieczywem. Ujęli za stopki, wypili. Wilczyński poczuł miłe ciepło, rozchodzące mu się po ciele. Sięgnął

10

11

po widelec, dziabnął kawałek schabu, nałożył trochę musztardy. Majster starannie rozsmarował pasztet na kawałku chleba.

Przez chwilę jedli w milczeniu.

- Na drugą nogę... - mruknął Olański i odszedł do bufetu.

Referent słabo zaprotestował, ale tamten machnął ręką niecierpliwie. Oprócz wódki przyniósł jeszcze dwa kawałki faszerowanego szczupaka.

- No, co pan dziś chodził taki zatroskany? - zagadnął życzliwie, kiedy wypili drugą porcję. - Ma pan jakieś kłopoty?

Wilczyński westchnął.

- Kto ich nie ma - odparł oględnie.

- Pewnie. Zwłaszcza przed pierwszym.

- Oj, tak! - wyrwało się referentowi z głębi serca.

Olański położył mu rękę na ramieniu. Była to duża, silna ręka z krótkimi mocnymi palcami, pełna blizn i śladów farby.

- Panie Jasiu... niech pan się nie gniewa, że ja tak do pana, ale pracujemy przecież w jednej instytucji. Więc, panie Jasiu, proszę posłuchać: na kłopoty zawsze jest rada. A to - szybkim ruchem wyjął z kieszeni banknot pięć-setzłotowy i wepchnął mu do płaszcza - to pan mi odda po pierwszym. Ale tym następnym pierwszym - zaśmiał się.

Wilczyński poczerwieniał i gwałtownie sięgnął do swojej kieszeni, chcąc wyjąć banknot, ale majster mocno przytrzymał jego rękę.

- Niech pan nie robi ceremonii - rzekł szorstko. - Gdybym nie miał i nie mógł, to bym tego nie zrobił. Zwyczajna pożyczka, rozumiesz pan? I nie ma o czym gadać.

- Bardzo panu dziękuję - szepnął referent, przekładając pieniądze do portfela. Był uradowany i zły jednocześnie. Rozejrzał się dyskretnie, czy w barze nie ma przypadkiem kogoś z kolegów i czy nie widział tej pożyczki.

- Nie ma, nie ma - uspokoił go Olański, który spostrzegł te manewry. - Niech pan się nie obawia. To zostanie tylko między nami.

- Pan jest bardzo dobry - rzekł Wilczyński w nagłym porywie wdzięczności. - Miałem właśnie takie kłopoty... -urwał.

- Bo pan za mało zarabia - rzekł majster, skupiając na pozór całą uwagę na szczupaku. - Po co pan siedzi za biurkiem?

- Nie znam się na garbowaniu - odparł referent z lekkim zdziwieniem. Przelotnie pomyślał, że widocznie w produkcji brak ludzi i Olański chce go namówić do pracy fizycznej.

- A na skórze pan się zna? Czy całkiem nic?

- No, wiem co jest mizdra i lico... - zaczął niepewnie - wiem co oddział mokry i co się robi w wykańczalni... byłem tam parę razy.

- Zgadza się - przerwał majster. - Widziałem pana. A w magazynie skór surowych był pan kiedy?

- Chyba raz czy dwa.

- Skórom pan się przyglądał?

- No, leżą tam na półkach... takie sztywne, solone. Jeszcze ze szczecinią i włosiem.

- Sztywne, solone - powtórzył Olański i uśmiechnął się. - Jak śledzie, co? - Klepnął go po ramieniu.

Roześmieli się.

- Myślę, że po tygodniu da pan sobie już radę - powiedział lekko, przyglądając mu się uważnie.

- Po tygodniu? Jak to: po tygodniu? Czego?

- Próbnej pracy w magazynie skór surowych. Dlaczego pan tak na mnie patrzy? Ile pan zarabia jako referent?

- Tysiąc siedemset z groszami - odparł Wilczyński machinalnie. Czuł lekki szum w głowie, ale nie było to przykre.

Olański skrzywił się pogardliwie.

- Tysiąc siedemset? Nędza. Ma pan młodą żonę, dwoje dzieciaków, jak wy właściwie żyjecie?

Wilczyński nie zwrócił uwagi, że tamten wie o nim widać niejedno.

- Mam jeszcze dodatek rodzinny. Żona się przygotowuje do egzaminu, będzie niedługo pracować, to mi pomoże.

- Głupstwo! - odrzekł łagodnie Olański, któremu też zaczęło szumieć w głowie. - I pan chce pozwolić, żeby taka ładna, młoda kobieta jak pańska żona mordowała się i w domu, i w biurze? A dziećmi kto się zajmie, pytam pana? Opieka społeczna? Napijmy się jeszcze.

Ale Wilczyński powstrzymał go stanowczym ruchem ręki.

- Nie, ja już nie. Już dosyć.

- Dobra, niech będzie dosyć - zgodził się majster. - Zjedz pan tylko tego szczupaka.

- Zaraz, więc co z tym magazynem... pan myśli, że ja mógłbym? No, przecież ja tego nigdy w życiu nie robiłem. A zresztą, czy magazynier zarabia więcej ode mnie? Chyba nawet mniej.

- To zależy, kto jest magazynierem - odparł Olański z naciskiem.

Patrzyli na siebie przez chwilę bez słowa. „A więc to tak - pomyślał referent. - To o to chodzi...” Nagle zrobiło mu się duszno, machinalnie rozluźnił węzeł krawata. Nie był do tego stopnia naiwny, aby nie zorientować się, o jakich sprawach będą mówić za chwilę, jeżeli natychmiast nie przerwie tej rozmowy.

Nerwowym ruchem wyciągnął paczkę „Giewontów”, wyjął jednego i zapalił. Podsunął pudełko majstrowi, ale ten potrząsnął przecząco głową. Zarzucił palenie od paru lat, szkodziło mu na płuca.

- Powiedzmy na początek jakieś trzydzieści tysięcy złotych - odezwał się niemal szeptem, pochylając w stronę Wilczyńskiego siwą, kanciastą głowę. - Niech pan dobrze pomyśli, panie Jasiu: trzy-dzieś-ci ty-się-cy. Jest w domu pralka, przestaje pan taszczyć do pralni miejskiej tobót z brudną bielizną. Jest telewizor - już widzę, jak pańskie dzieciaki się cieszą. Jest dla pana elegancki, ładnie uszyty garnitur - obrzucił wymownym spojrzeniem zniszczone ubranie referenta - a dla pani Marii futerko na zimę.

Starczy jeszcze na odkurzacz, elektryczną froterkę i ubranka dla dzieci. Niech pan dobrze pomyśli, panie Jasiu - szeptał tuż nad jego uchem. - Drugi raz taka okazja może się już nie powtórzyć...

- Czego pan właściwie ode mnie chce? - spytał Wilczyński głuchym głosem. Papieros dygotał w jego trzęsących się palcach.

- Dla pana chcę dobrze i dla pańskiej rodziny. Bo mi żal patrzeć, jak pan się na tej gołej pensji morduje. Czekają pan na awans? Za dwadzieścia lat może pan się dochrapać stanowiska dyrektora. Cztery kawałki z groszami. I to wszystko. Za dwadzieścia lat będzie pan już miał pod pięćdziesiątkę. Zaprań pan spokojnego życia, własnego małego domku z kawałkiem ogródka. A ja panu mówię, panie Jasiu, żeby pan i trzydzieści lat z tej pensji odkładał, to panu nigdy w życiu na domek nie starczy. Nigdy!

Wilczyński milczał. Każde słowo majstra raniło go jak uderzenie. Chciał wołać, że to nieprawda, że potrafi kiedyś zarobić dużo, tyle ile będzie chciał, że jest zdolny i pracowity. A jednocześnie przed oczami stanęła mu przygarbiona postać Namitkiewicza, magistra praw i ekonomii, który po trzydziestu latach pracy otrzymuje dwa tysiące złotych pensji i jakiś tam drobny dodatek za wysługę lat, czy za wyższe studia. Chciał tłumaczyć majstrowi, że zarobki małe, bo państwa jeszcze nie stać... bo kraj dopiero zaczyna się dorabiać... bo nasze społeczeństwo...

- Społeczeństwo - mruknął i przełknął ślinę. - Jeszcze nie możemy... - urwał, bo tamten patrzył na niego ironicznie.

- Niech się pan troszczy o swoje małe społeczeństwo, o swoją rodzinę - odparł z uśmiechem politowania.
- A te wielkie słowa, to możesz pan sobie wypisać na ścianie, mnie nie musisz pan agitować. Dalej swego domu, to ja nie patrzę.

- Więc czego pan ode mnie chce? - powtórzył Wilczyński ze zdenerwowaniem w głosie.

- Najpierw niech pan mi powie: czy chce pan dobrze zarabiać?

-Jak?

- O pomysły niech pana głowa nie boli. To już nie pańska rzecz. Krótko i jasno: chce pan czy nie?

Referent zacisnął szczęki. Czuł, że w tej chwili coś się w nim przełamuje, że bezpowrotnie oddala się od drogi,

14

15

którą szedł dotychczas. Przemknęła myśl, jak błysk: a co na to Maria? - ale odpędził ją niecierpliwie. Jeżeli teraz powie: „nie”, straci raz na zawsze okazję, tak majster przecież powiedział. On - czy oni - pewnie oni, będą to robić bez niego, za jego plecami, będą się po cichu śmiać, że tchórz, kretyn, idiota...

Olański obserwował jego twarz i mrużył oczy. Zrozumiał, że teraz już może mówić bez ogródek.

- Czego ja od pana chcę? - rzekł z wolna, nie spuszczać z niego wzroku. - Jutro czy pojutrze pójdzie pan do kierownika administracyjno-gospodarczego, Michalaka i poprosi pan o przeniesienie na stanowisko magazyniera skór surowych.

- Przecież tam jest Zawadzki.

- Zawadzki odchodzi do Garbarni-B. Niech pan słucha, panie Jasiu. Michalak albo od razu się zgodzi, albo będzie udawał, że się namyśla. Jak pan już z nim dojdzie do porozumienia to da mi znać, a ja poduczę pana trochę, co trzeba robić w magazynie. Pokażę panu różne gatunki skór i jak wygląda obieg dokumentacji. Odbiór, wydawanie do produkcji - to wszystko. Jak się pan trochę wprawi, poprosi pan o przeniesienie do magazynu skór gotowych.

- Po co?

- Dzieciak z pana, panie Jasiu. Po to, aby zarobić te trzydzieści tysięcy. A potem więcej.

- A w skórach surowych nie można? Olański roześmiał się i poklepał go po plecach.

- Widzę, że pana ciągnie do gotówki, co? Nic się pan nie martw, można i w surowych, ale to inna sprawa. Sam pan zobaczy.

- Panie Wacławie, a w razie... - Wilczyński zająknął się. - A to wszystko - zrobił ręką nieokreślony ruch - jeżeli ktoś... no, pan rozumie?

- Nie bój się pan o nic. Nie takie głowy o tym myślą, jak pańska i moja - odparł Olański poważnie. - Interes murowany, mucha nie siada. Wpadka może być tylko wtedy, jeżeli by pan komukolwiek...

- Taki głupi to ja nie jestem - rzucił ostro. - Siebie będę narażał?

- No, to w porządku. A komukolwiek, panie Jasiu, to znaczy, że żonie też nie wolno.

- O przeniesieniu? To byłoby trudno ukryć. Może się dowiedzieć od kogoś, u nas bywa trochę osób z Centrali.

Olański zachnął się niecierpliwie.

- Jasne, że o przeniesieniu pan żonie powie, ale dopiero wtedy jak już pan tam będzie. To nie ma być pański projekt, rozumie pan? To ma być przeniesienie służbowe.

Wilczyński słuchał ze zmarszczonymi brwiami i skrzywił się.

- Bez sensu - odparł. - Kogo kiedy z biura służbowo przenieśli do produkcji?

- No, więc powie jej pan, że panu zaproponowali.

- A ja się zgodziłem? Po jaką cholere?

- Bardzo proste. Mówi pan, że żona się uczy, chce zarabiać i panu pomagać, tak?

- Co to ma z tym wspólnego?

- Zaraz powiem. Otóż pan również chce, żebyście mieli więcej pieniędzy, więc przenosi pan się do produkcji, bo tam płacą wyższe wynagrodzenie. Brak ludzi, magazynier odszedł gdzie indziej, zwrócił się do pana, a pan się zgodził. Jak pański ojciec był garbarzem, to czego pan nie ma iść w jego ślady?

- Jakbym chciał naprawdę iść w jego ślady - odparł z wolna Wilczyński - to bym trzymał się od takich jak pan z daleka. Mój ojciec był uczciwy. Aż do przesady uczciwy.

- Nie będziemy teraz mówić o pańskim ojcu, niech mu ziemia lekką będzie - westchnął majster, ocierając czoło z potu, bo w lokalu zrobiło się gorąco. - Więc co, panie Jasiu? Umowa nasza stoi?

Referent w milczeniu wyciągnął do niego rękę.

W umywalni woda ściekała bardzo wolno. Maria wyjęła z szafki gumowy przepychacz na źle zheblowanej drewnianej ręczce i drzazga weszła jej w palec. Syknęła gniewnie.

16

17

- Heniuś przynieś mi igłę! - krzyknęła w stronę pokoju, gdzie bawiły się dzieci.

Siedmioletni Henryk przyszedł do łazienki z igłą i powiedział z wyrzutem w głosie:

- Mama, dlaczego mnie nie zawołałaś? Ja umiem przepychać.

- To za ciężkie dla ciebie - odparła, wydłubując z palca drzazgę. Owinęła rękę chusteczką i zabrała się do roboty. Woda prychała, bulgotała, a potem szybko uciekła w głąb rury.

- No i spokój - odetchnęła Maria. Przeszła do kuchni, zmniejszyła gaz pod kartoflami i spojrzała na zegarek. -Zaraz tatuś przyjdzie - mruknęła raczej do siebie niż do Henryka, który sapiąc z przejęcia wycierał w łazience podłogę.

W godzinę później podgrzała jarzynową zupę i posadziła dzieci do stołu.

- A tatuś? Kiedy przyjdzie? - spytała Basia, patrząc ze zdziwieniem na puste krzesło po prawej stronie.

- Tatuś ma pewnie jakieś zebranie, przyjdzie później. Jedz Basiuła. Nie oblizuj łyżki, fe!

- Mama, siadaj i jedz. Znowu schudniesz - odezwał się Henryk grubym głosem. Był w tej chwili tak podobny do ojca, że Maria wybuchnęła śmiechem.

- Zaraz siądę, tylko odcedzę kartofle.

Zupa, klops z marchewką i ziemniakami dawno już były zjedzone, Henryk z zapalem stawał w zeszyte koślawe litery, a Basia spała, gdy wreszcie u drzwi rozległ się trzykrotny, krótki dzwonek.

- No, nareszcie - szepnęła Maria, wychodząc do przedpokoju. - Co to było, jakaś narada? - podsunęła mu twarz do pocałunku i ze zdziwieniem poczuła zapach alkoholu.

- Czy koleżeńskie imieniny? - pogroziła żartobliwie. Pocałował ją z roztargnieniem, nie patrząc w oczy.

Zdjął płaszcz i zniknął w łazience. Dopiero stamtąd, na-mydlając starannie ręce, zawołał ze sztuczną swobodą:

- Prawie zgadłaś. Jeden z kolegów miał wczoraj imieniny i zaprosił nas dzisiaj na taki niby obiad, do baru.

18

Wiesz, zimne przekąski, trochę wódki, kawa. Nie mogłem się wykręcić.

- A dlaczego miałbyś się wykręcać? Masz w gruncie rzeczy tak mało rozrywek i przyjemności... Tylko czy was nie struli tam w tym barze, przekąski były świeże? - zatroszczyła się, stając we drzwiach łazienki i patrząc jak wyciera ręce w gruby, puszysty ręcznik. - Dobrze te wietnamskie włochacze, prawda?

Kupiła niedawno w Cedecie dwa kolorowe bawełniane ręczniki wietnamskiej produkcji i była z nich bardzo dumna. Zaoszczędziła na nie, zbierając podczas urlopu grzyby, które potem sprzedała sąsiadce

- Dobrze - pochwalił, po raz chyba piąty. - Nie dawaj mi obiadu, zjem wieczorem. Jestem najedzony.

- To się prześpij, a ja pozmywam.

Pogłodził ją przelotnie po jasnych włosach i przeszedł do pokoju. Był duży, o dwóch oknach i dość wysoko umieszczonym suficie, do południa pełen słońca. Okna wychodziły na mały skwerek, dzielący ten dom od następnego bloku i latem dolatywał stamtąd zapach trawy i kwiatów. Rzecz jasna, o parę metrów dalej hałasowało już wielkie miasto, przebiegały autobusy i samochody, wystarczyło więc tylko wychylić się z okna, aby poczuć w nozdrzach odór spalonej benzyny, a na ustach smak kurzu. Tym niemniej, było to wyjątkowo ciche i przyjemne mieszkanie.

Oczywiście, gdyby się miało własny domek z ogrodem...

Wilczyński wyciągnął się na tapczanie i przymknął oczy. Natychmiast stanęła przed nim wizja tego domku. Na dole byłby duży pokój jadalny, taki z radiem i telewizorem, gdzie siedziałoby się wieczorami, słuchało i oglądało. Obok przejście do kuchni, łazienka... nie, łazienka chyba na górze. I na tej górze dwa pokoje: jeden dla niego z Marią, drugi dla dzieci. Gdy Basia już będzie duża, dostanie ten pokój sama dla siebie, a Henryk będzie spał na dole. Dom będzie miał naturalnie garaż. No, bo gdzie postawią samochód?... Nieduży, najlepiej fiat-600 albo syrenkę. Będzie można na urlop wyjeżdżać z całą rodziną na Mazury albo w jakieś lasy. Maria tak lubi las.

19

- Marysiu - zawołał półgłosem w stronę kuchni. -Chciałabyś mieć własny domek?

- A pewnie - odparła, stojąc w progu ze ścierką w ręce. - Może wygrzebesz w totka?

Drgnął i spojrzął na nią przelotnie. Usiadł na tapczanie, sięgając po papierosa. To była myśl...

-Jeszcze nie. Ale jak wygram, postawimy sobie domek. I kupimy samochód.

Usiadła przy nim, patrząc mu w oczy z uśmiechem.

- Marzycielu - szepnęła. - Wygraj najpierw tyle, żebyśmy nie musieli pożyczać przed każdym pierwszym.

- Ach, prawda - wstał i wyjął z marynarki portfel. - Proszę cię - podał jej banknot pięćsetzłotowy.

- Aż tyle? - zdziwiła się. - Wziąłeś a conto pensji?

- Nie, kolega mi pożyczył. Nie bój się, mogę oddać dopiero pierwszego grudnia, a nie listopada.

- O, to doskonale - ucieszyła się, chowając pieniądze do kieszeni plastikowego fartucha. - W grudniu może dostaniesz premię świąteczną czy jakiś dodatek, prawda?

- Jakoś tam będzie - odparł z roztargnieniem. Przyciągnął ją do siebie i długo całował przymknięte powieki. - O nic się nie martw - mruknął. - Zobaczysz, że będzie nam coraz lepiej.

- Ja się nie martwię. W grudniu zdaję egzamin i chyba od stycznia już będę mogła pracować. Iza, wiesz, ta z Ministerstwa Finansów, obiecała mi, że na pewno u nich w departamencie da się coś załatwić. Muszę tylko już niedługo zacząć starać się o przedszkole dla Basi. W ciągu roku mogą być trudności. Chciałabym zarobić półtora tysiąca. Właśnie tyle nam brak, żeby lepiej zjeść i kupić coś więcej z ubrania i bielizny. Pościel też się już drze, słabe teraz to płótno...

Patrzył na nią, jak się przed nim tak cichutko spowiadała ze swoich pragnień i kłopotów, gładził delikatnie jasne pasemka włosów nad uszami i czołem. Poczuł, że gdyby mógł jej wszystko powiedzieć - ach, gdyby mógł jej powiedzieć i gdyby ona się na wszystko zgodziła! Ale za dobrze ją zna. Czasem myślał, że Maria była tak bezwzględnie suro-

wo uczciwa jak jego ojciec. Kiedyś zabrakło w sklepie papieru maszynowego, a ona ćwiczyła u jednej z koleżanek pisanie na starym Remingtonie. Wspomniała mu o tym, więc na drugi dzień przyniósł jej z Centrali kilkadziesiąt arkuszy. Wziął po prostu z sekretariatu, nikt się u nich nie rozliczał z papieru, każdy brał ile potrzebował i ile chciał. Maria ucieszyła się i spytała, prawie machinalnie, w którym sklepie dostał papier. Odparł ze śmiechem, że wziął z Centrali. Mieli potem dużą, nieprzyjemną dyskusję na temat „moje - cudze”, zakończoną kategorycznym stwierdzeniem Marii: „Ja tego nie wezmę”. Rano włożyła mu papier do teczki i przypilnowała, aby nie wyjął i nie podrzucił jej gdzieś do szafy. Był zły i rozśmieszony zarazem.

- Jesteś głupie cielátko - powiedział, stojąc już w progu mieszkania. - Czy to nasza wina, że w sklepach nie ma papieru? Państwo zawiniło, niech nam teraz państwo da.

Spojrzała na niego tymi swymi trochę skośnymi oczami i odparła, unosząc brwi:

- Darowizny i jałmużny nie chcę od nikogo. Nawet od cesarza chińskiego.

- A od Mao Tse-tunga?

- Chyba kwiaty - uśmiechnęła się. - Albo tomik poezji.

Tego samego dnia kupił papier w jakimś małym sklepiku na Pradze i więcej o całej sprawie nie było mowy. Ale Jan pamiętał.

Westchnął i poszedł otworzyć drzwi, bo ktoś zadzwonił. Maria ze ścierką w ręce uciekła do kuchni. Nie lubiła gości w trakcie domowej roboty. To był jednak tylko sąsiad, nauczyciel Słoński, z prośbą o pożyczanie obciążek. W żaden sposób nie mógł otworzyć słoika z dżemem, a bał się rozbić kruche szkło.

- Wie pan, to cholerne zamknięcie - skarżył się, pokazując zaczerwienione palce. - Próbowałem już noża, młotka, widelca i nic. Tyle razy już o tym pisali w gazetach, wyśmiewali, a niewiele pomogło. Pani Marysiu, może pomi-dorki z działki? Tanio policzę - uśmiechnął się.

- Chętnie, panie Zygmuncie - wyszła do przedpokoju. - Takich jak u pana w ogródku to w całej Warszawie nie ma.

20

21

Wezmę z dziesięć kilo, zrobię w butelkach na zimę. Zaraz do pana przyjdę.

- Ja przyniosę, co pani będzie dźwigać. Wiecie państwo, miałem niedawno temu w szkole zabawną historię...

- Proszę do pokoju, dzieciaki już śpią - zapraszał Wilczyński. Był rad, że na jakiś czas przestanie myśleć o tamtej sprawie.

- No więc, jak państwo wiecie, od września wykładam rosyjski w szkole obok przystanku. Jak to czasem bywa, nie mogłem jakoś rozgryźć swoich uczniów. A mam takiego jednego, Andrzeja, którego ojciec jest profesorem w Instytucie Fizyki. Któregoś dnia chłopak nie odrobił zadania. Pytam, dlaczego. Wstał i mówi tak: „Nie zdążyłem, bo pomagałem ojcu odnosić z instytutu do domu sepulki”.

- Co odnosiłeś? - pytam ze zdziwieniem.

- Sepulki - odpowiada i patrzy na mnie, wiecie, jak na głupiego, który pyta o rzecz zupełnie oczywistą. Ja patrzę na klasę. Chłopaki siedzą sztywno, dziewczęta chichoczą. Czuję, że ten Andrzej mnie straszliwie nabiera, ale nie wiem, w czym rzecz.

- Dobrze - mówię. - Siadaj.

Po lekcji łapię w nauczycielskim pokoju naszego fizyka, opowiadam mu o wszystkim i pytam co to są te cholerne sepulki. A ten w ryk. Śmiał się tak, że go nie mogłem uspokoić. Wreszcie mówi:

- Pożycz pan sobie z biblioteki „Dzienniki gwiazdowe” Lema, to będziesz wiedział.

Dobrze, że przed rozmową wymusiłem na nim słowo, że wszystko zostanie między nami, bo by roztrąbił po całej szkole. No, nic. W bibliotece szkolnej oba egzemplarze były w czytaniu, więc poszedłem do miejskiej, w której wypożyczam książki. Właśnie ktoś przy mnie oddawał, więc wziąłem i zaniósłem do domu. Czytałem do trzeciej rano. Uśmieiałem się z samego siebie, bo kawał był dobry, co tu gadać. Ale poczekaj - pomyślałem sobie. - Już ja cię też kiedyś zagnę.

Pamięć mam dobrą, toteż zapamiętałem z książki niejedno. I proszę was, tydzień temu Andrzej znów nie odrobił zadania. Pytam, dlaczego. Wstaje i mówi: „Nie zdąży-

łem, bo musiałem pomóc ojcu odnosić z domu do instytutu sepulki". Patrzę na klasę, a tu dziewczyny i chłopaki już się zaczynają dławić ze śmiechu. Patrzę na Andrzeja i pytam go zupełnie spokojnym głosem:

- A nie spotkałeś tam gdzie po drodze ósmiołów sko-wytnych?

Mówię wam, mój Andrzejek poczerwieniał, parsknął śmiechem i spuścił głowę. Klasa na chwilę jakby zamarła. A potem wybuchła takim wrzaskiem, że długo nie mogłem ich uciszyć. Od tej pory patrzę we mnie jak w bóstwo i uczą się jak szatany. A tego chłopca, to wiecie państwo, nazywają teraz „ósmiołem skowytnym"...

ROZDZIAŁ II

- Można, panie kierowniku?

Michalak spojrział w stronę drzwi, a ujrzawszy Wilczyńskiego, skinął głową i mówił dalej do słuchawki: - Cała rzecz w tym, panie prezesie, że brak nam ludzi... Nie, ja myślę o Garbarni-A. Na przykład teraz z magazynu skór surowych musiałem, to jest musieliśmy oddać Zawadzkiego, magazyniera... No, do Garbarni-B, ale na inne stanowisko... Tak, to ten sam. Pan prezes pamięta, jak on... No, właśnie. Nam potrzebny jest na tym stanowisku człowiek zdecydowany i energiczny.

Rzucił okiem na stojącego przed biurkiem Wilczyńskiego, ruchem ręki wskazał mu krzesło i skończył rozmowę: - Oczywiście, że znajdę... Nie, nie potrzeba przysyłać. Moje uszanowanie, panie prezesie. Do widzenia.

- Słucham pana - zwrócił się do referenta. - O co chodzi? Michalak był niski, dobrze zbudowany, krępy, patrzył

zawsze prosto w swym wysokim krześle za biurkiem i wyraźnie czekał. Robił wrażenie człowieka twardego, surowego i takim był.

23

Wilczyński nerwowym ruchem obciągnął rękawy marynarki. Mimo iż poprzedniego wieczoru długo przygotowywał się do tej rozmowy, nie wiedział teraz jak zacząć. Myślał, że Michalak jakoś sam mu to ułatwi, uśmiechnie się, pierwszy coś napomknie o magazynie.

Ale kierownik administracyjno-gospodarczy siedział sztywno, prosto w swym wysokim krześle za

biurkiem i wyraźnie czekał. Robił nawet wrażenie trochę zniecierpliwionego. Wilczyńskiemu przyszło nagle na myśl, że - być może - Michalak nic nie wie o powodach, dla których on chciałby objąć nowe stanowisko. Być może stoi w ogóle poza machinacjami Olańskiego. W takim razie należało bardzo uważać na każde zdanie.

- Panie kierowniku - zaczął, ostrożnie dobierając słowa

- czy nie można by... chciałbym bardzo... to jest, czy pan kierownik mógłby się zgodzić, żebym...

Michalak przyglądał mu się spod oka i myślał, że to dobrze, iż tamten jest taki niepewny i nieśmiały. Przynajmniej nie będzie żądał zbyt wiele. Głupie parę kawałków na początek powinno go zadowolić.

- No, no? Słucham.

Nie zachęcał go umyślnie. Niech się sam przełamie. Olański zwykle miał dobrego nosa. Zobaczymy, czy i tym razem.

- Chciałbym przejść do pracy w produkcji - powiedział Wilczyński z nagłą determinacją. - Może na początek jako magazynier.

- Po co?

- Proszę? - zdziwił się referent. Na takie pytanie nie był przygotowany.

- Pytam: po co chce pan przejść do pracy w produkcji. Chce pan więcej zarabiać? Ale czy pan się zna na skórach?

- Znam - odparł trochę zbyt pewnym tonem. Postanowił iść na całego. Wierzył zresztą, że Olański mu pomoże.

- Chodziłem nieraz do magazynu, przyglądałem się skórcom. Oczywiście, w tej chwili lepiej orientuję się w skórach surowych niż gotowych.

- Na stanowisku magazyniera skór surowych - zaczął Michalak z namysłem - potrzebny jest ktoś, kto chociaż pobieżnie zna się na procesie garbowania. Wie pan coś na ten temat?

Wilczyński uśmiechnął się lekko. Był to uśmiech pełen pobłażania dla interlokutora i Michalak chrząknął ze zdumieniem.

- Miałem przecież ojca garbarza. Mogę opowiedzieć to i owo o garbowaniu chromowym, żelazowym, siarkowym czy chromowo-roślinnym. Znam się na natłuszczaniu skór, suszeniu, barwieniu, na wadach i uszkodzeniach skóry, na lakierowaniu, na wyprawie chromowej kruponów świńskich... - cytował tytuły rozdziałów z podręcznika garbarstwa.

- Dosyć, to mi wystarcza - przerwał Michalak oszołomiony. Olański uprzedził go, że referent nie ma zielonego pojęcia o skórach, a tu okazało się, że majster nie miał pojęcia o swym kandydacie.

- Na przykład, pęknięcie łyca skóry wyprawionej - ciągnął Wilczyński, jakby nie słysząc - może być w równym stopniu spowodowane nieodpowiednim sposobem wytrawiania jak i samoczynnym zagrzaniem się surowca w składach czy podczas transportu. Prawda?

Spojrzał na kierownika z wyższością. Było to zdanie dosłownie wyjęte z „Technologii garbarstwa” Edwarda Krzywickiego. Poprzedniego dnia wyuczył się kilku, na chybił-trafił wyrwanych terminów, aby olśnić nimi swego rozmówcę, co mu się zresztą w zupełności udało. Michalak był niemal wstrząśnięty. Taki spec marnował się dotychczas za biurkiem.

- Od kiedy chce pan pracować w produkcji? - spytał, szukając czegoś w szufladzie biurka, aby ukryć zmieszanie. - Pierwszego odchodzi z magazynu skór surowych Zawadzki. Może pan iść na jego miejsce, o ile to panu odpowiada? - zawiesił głos wyczekująco. Z nagłą przestraszył się, że tamten zażąda stanowiska naczelnego inżyniera, co wcale nie leżało w planach.

- Właśnie o to chciałem prosić - odparł Wilczyński potulnie.

25

Był na tyle sprytny, że strzegł się, aby nie przeholować z tą znajomością techniki garbarstwa. Wiedział, że na ogół ludzie zbyt „mądrzy” nie są lubiani ani pożądani.

- Ale pensję będzie pan miał, jako magazynier, o pięćdziesiąt złotych mniejszą - rzekł Michalak, notując coś w zeszycie. - Wie pan o tym?

- Ufam, że to tylko z początku. Kiedy się wprawię, zarobię więcej - w głosie przyszłego magazyniera zabrzmiała jakaś nutka niemal bezczelna, tak dwuznaczne było to zdanie. Widać zdawał sobie z tego sprawę, bo dodał spiesznie: - Jeżeli dojdę kiedyś do stanowiska majstra, dostanę wówczas dwa i pół do trzech tysięcy.

- Czy pan się dobrze zastanowił? - spytał Michalak zniżonym głosem. - Przechodzi pan jakby z jednego świata do drugiego, w każdym razie zupełnie innego... Czy pan się naprawdę dobrze zastanowił? Wrócić jest później bardzo trudno. Oczywiście, mam na myśli świat inteligencji, pracowników biurowych i świat robotników, pracowników fizycznych. To tylko miałem na myśli - dodał z naciskiem.

- Ja też to tak zrozumiałem - odparł Wilczyński. A potem szepnął, jakby do siebie: - Nie jestem tak naiwny, jak może ktoś myśleć.

Do drzwi zapukano i weszła sekretarka dyrektora Gilewskiego.

- Narada, panie kierowniku - powiedziała karcącym tonem - wszyscy czekają już w świetlicy.

- Idę, zaraz idę - kierownik zerwał się z krzesła. - Pierwszego, wobec tego, obejmuje pan tamto stanowisko. Życzę powodzenia - wyciągnął do niego rękę.

Wilczyński w milczeniu uściśnął ją krótko i mocno. Nie dziękował. Wiedział już, że został należycie doceniony i że jest potrzebny. Postanowił też z tego ostatniego faktu wyciągnąć dla siebie jak najwięcej

korzyści.

W godzinę później zarzucił granatowy fartuch z rękawami i powiedział w przestrzeń, gdyż w pokoju siedział tylko Adamczak:

- Idę na produkcję. Jakby kto pytał, będę za godzinę.

Adamczak udał, że nie słyszy. W dalszym ciągu wyglądał oknem, nucąc coś pod nosem. Wieczorami chodził do jednego z miejskich domów kultury, gdzie śpiewał w chórze. Jutrzejszy występ obchodził go w tej chwili więcej niż garbarnia.

Referent przeszedł przez podwórze, spojrzał dyskretnie w okna dyrektorskiego gabinetu i zrobił nagły unik do szopy z kadziami, gdyż zdawało mu się, że w jednym oknie ktoś stoi. Nie chciał żeby dyrektor zapytał kogoś z kierownictwa po co Wilczyński chodzi do magazynu.

Minął Olańskiego z dwoma pracownikami, który przesłał mu przelotny uśmiech i trochę niepewnie stanął w progu magazynu skór surowych. Była to duża, niska hala z drewnianymi półkami i stołami, na których leżały stopy sztywnych, konserwowanych w soli skór bydlęcych, świńskich i końskich.

Magazynier Zawadzki stał przy jednym stole i przyglądał się uważnie grubej, łaciatej skórze krowiej. Na widok Wilczyńskiego uniósł głowę i spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Dzień dobry - powiedział referent, podchodząc bliżej. - Uch, ależ tu zimno! - wstrząsnął się. - Nie marznie pan?

Zawadzki uśmiechnął się. Był to starszy, siwy mężczyzna o rumianej cerze i krótko przystrzyżonym wąsiku. Utykał na jedną nogę, pokaleczoną odłamkiem w Powstaniu.

- Mam kozuszek pod fartuchem - odparł, przyjmując podsuniętego mu papierosa. - Co, przyszedł pan na skóry popatrzeć?

- Wie pan, tak sobie jakoś pomyślałem, pracuję w Centrali Garbarskiej, a nie znam się właściwie na garbowaniu i tym wszystkim - pokazał ręką na stopy skór. Rozejrzał się uważnie dokoła. - Ma pan tu ładny majątek - rzucił z uśmiechem.

- A pewnie. O, tam pod tą ścianą, to same bydlęce. Krowie, cielęce, wołowe, byków... Tu na lewo to końskie. Mało ich teraz tutaj, wszystko idzie do Krakowa. A na tych stołach to znów świńskie.

26

27

- Więcej krajowych czy zagranicznych?

- Krajowych to mamy dość tylko świńskich i cielęcych. Bydlęce sprowadzamy, najwięcej z Ameryki Południowej.

Wilczyński dotknął jednej skóry i powiedział:

- Okropnie to sztywne i twarde. Jak oni sobie dają radę z garbowaniem?

Magazynier roześmiał się ubawiony pytaniem.

- No, przecież skóry się najpierw moczy w wodzie i dodaje środki zwilżające. Chce się pan nauczyć garbarstwa?

- Dlaczego pan stąd odchodzi? - spytał nagle referent. Kątem oka dostrzegł, że Zawadzki zmarszczył brwi surowo.

- To moja sprawa - odparł niechętnie. - A co, może chce pan przyjść na moje miejsce?

- Przecież ja się na tym nie znam - rzekł tamten szczerze. - Na przykład nie mam pojęcia, jak pan wydaje skóry do garbowania. Liczy pan na sztuki czy na wagę?

- Wydaję skórę partiami, a do każdej partii dodaję tak zwany paszport macierzysty. Jest to po prostu dokument, w którym zapisana jest ilość skór wydanych do produkcji, waga i tak dalej. To jest podstawa moich rozliczeń.

- Czyli, że każda jedna skóra tu, w tym magazynie, jest przez pana gdzieś zapisana i na tej podstawie wydaje pan później ten... jak to pan powiedział? Paszport?

- Tak. Tu, w Garbarni-A mamy przede wszystkim skóry twarde, podeszwowe. Ale i miękkich jest trochę.

Wilczyński rozglądał się po magazynie, coś w duchu rozważając.

- Jak często robią tutaj remanent? - spytał niedbale.

- Rzadko. Raz na pół roku. Miało być raz na kwartał, ale widać nikomu się nie chce.

- Czy spisują z natury?

- Gdzież tam. Przychodzą i piszą, „na oko” tyle a tyle. Czasem to się z nich uśmieję. Gdybym chciał, mógłbym tutaj przechowywać sporo lewych skór. Rzadko kiedy zajrzą w każdy kąt.

- Ach, tak - powiedział Wilczyński i zadumał się. Zaczynał rozumieć dlaczego Zawadzki odchodzi i jaka będzie od pierwszego robota w tym magazynie. Spojrzał na stare-

go człowieka z mieszanymi uczuciami pobłażania i podziwu. To był człowiek, który widocznie nie zgodził się na pewne propozycje.

Dziwna rzecz. Jeszcze wczoraj uważałby to za normalne i być może nie przyszłoby mu do głowy, aby czuć się gorszym, a w każdym razie „innym”. - Przechodzę do drugiego świata - pomyślał, przypominając sobie słowa Michalaka. - Ze świata uczciwych do...

- Poza nawias - szepnął do siebie, zapinając fartuch pod szyją; przejął go dreszcz chłodu.

- Co pan mówi? - spytał Zawadzki, który nie dosłyszał.

- Nic, tak sobie. To znaczy, że w toku produkcji ilość skór się nie zmienia, prawda?

- Nie. Natomiast bardzo maleje ich waga. No i oczywiście zmienia się wygląd. Z tego „parku sztywnych” - uśmiechnął się, pokazując dokoła - wychodzą w ostatecznym rezultacie piękne welury z deseniem i w kolorach, boksy cielące miękkie jak aksamit, elastyczne skóry waszo-we i takie tam różne. Powinien pan kiedyś przejść się po wszystkich oddziałach, zobaczyć jak to wygląda w robocie.

- Tak, trzeba będzie - mruknął Wilczyński z roztargnieniem. Nagle zaczęło mu się wydawać, że właściwie nie ma już dziś prawa podać tamtemu ręki na pożegnanie. Ale po chwili skarcił siebie ostro i przywołał na twarz pogodny uśmiech.

- Do widzenia - wyciągnął swobodnie rękę. - Idę bo zmarzłem. Powinien pan mieć tu jakiś piecyk.

Zawrócił do drzwi. Postanowił, że długo w tym magazynie nie posiedzi. Jak tylko cała sprawa trochę się rozkręci, poprosi o przeniesienie do skór gotowych. Był tam parę razy i podobała mu się ciepła, sucha hala na czwartym piętrze. Pachniało przyjemnie ładną, błyszczącą i ufarbowaną skórą, nie tak jak w tej szopie u Zawadzkiego.

Wyszedł na podwórze i o mało nie wpadł na Adamczaka, który zmierzał widać do portierni, bo niósł w ręku bloczek blankietów przepustkowych. Młodszy referent spojrzał na Wilczyńskiego spod oka.

- Skórka ci potrzebna? - spytał cicho. - Zelówki się zdarły?

28

29

I zanim tamten - wściekły - zdążył coś odpowiedzieć, roześmiał się na całe gardło i znikł za czerwonym murem budynku. - Świnia! - krzyknął i zaraz się pohamował, wiedząc, że Adamczak i tak już nie słyszy. Uszedł parę kroków i przystanął, tknięty nagłą myślą. - To znaczy, że oni biorą. - rzekł do siebie półgłosem. Było to ważne odkrycie. Jeżeli pracownicy Centrali biorą sobie z produkcji skórę na własne potrzeby, to przecież...

- Co pan taki zdenerwowany? - spytał ktoś tuż obok niego.

Wzdrygnął się, wyprostował. Przed nim stał dyrektor Gilewski; w skórzanej kurtce, podbitej czarnym futerkiem. W ręku miał teczkę.

- Wydaje mi się - rzekł bez namysłu referent - że w Centrali kradną skóry. Na zelówki.

Gilewski zmarszczył brwi. Przyjrzał się Wilczyńskiemu uważnie.

- Skąd panu to przyszło do głowy? Kradną z produkcji?

- Nie wiem. Pewnie z magazynu skór gotowych, albo gdzieś po drodze. Myślę, że po prostu wynoszą w

tecz... - urwał, przerażony. Gilewski poszedł za jego wzrokiem i roześmiał się.

- No, zaręczam panu, że ja skóry nie wynoszę.

- Panie dyrektorze, ja nigdy... przecież ja nie miałem na myśli... nie ośmieliłbym się... - jękał się, spocony i czerwony ze strachu.

- Wierzę. Ale wie pan, to pańskie spostrzeżenie nasuwa mi w tej chwili pewien projekt. Powinniśmy zrobić w Centrali naradę aktywu albo nawet masówkę z udziałem dzielnicowego prokuratora. Niewątpliwie są u nas elementy, które skóry wynoszą. Nie są to chyba większe ilości, ale wystarczy, że jedna czwarta pracowników zabierze sobie coś nieco do teczek czy kieszeni i już przedsiębiorstwo ponosi straty. A to przecież pieniądze państwowe. Święte.

- Oczywiście, panie dyrektorze. Ma pan absolutną rację.

- Można by na tym zebraniu ustanowić na przykład nagrody dla funkcjonariuszy milicji, którzy złapali takich złodziejasków - albo złapią - wynoszących od nas skóry. To milicjantów zachęci do pilnowania, a złodziei odstra-

szy. Ktoś powinien wygłosić referat o walce z przestępczością gospodarczą w ogóle i na naszym terenie.

- Przypuszczam, że najlepiej zrobiłby to pan dyrektor...

Gilewski spojrział na niego przelotnie. Przez chwilę Wilczyńskiemu wydało się, że w oczach dyrektora dojrzał jakiś błysk, którego nie umiał sobie wytłumaczyć.

- Nie wiem, czy znajdę na to czas - odparł w zamyśleniu. - Powinno się jednak o tym ludziom powiedzieć, dać kilka przykładów ostrych represji karnych, potępić złodziejstwo z całą surowością... Tak. No, dobra. Zobaczymy.

Kiwnął mu głową i odszedł. Wilczyński patrzył przez chwilę, czy nie idzie do magazynu skór surowych, ale Gilewski skręcił w lewo, do oddziału „mokrego”. Referent stał jeszcze w miejscu, wydymając dolną wargę i myśląc, dlaczego dyrektor nie spytał go po prostu - kto kradnie, czy widział, kiedy i tak dalej. Wreszcie doszedł do wniosku, że widocznie tamten już od dawna orientuje się w kradzieżach, a słowa Wilczyńskiego były dla niego tylko potwierdzeniem.

Przypomniał mu się Adamczak i aż pobladł z gniewu. Pomyślał, że dobrze byłoby na takim zebraniu powiedzieć parę słów na temat młodszych referentów... Nie, nonsense. Niczego mu nie udowodni. Może Adamczak sam nigdy nic nie wyniósł, a tylko widział, jak inni to robili. Ale faktem jest, że zawsze ma przed pierwszym pieniądze i chodzi dobrze ubrany. Więc z czego? Z tych niecałych dwóch tysięcy? WFM-kę niedawno sobie kupił. Na pewno kradnie skóry.

Wszystko jedno, i tak go kiedyś wykończę - szepnął, wchodząc do budynku, gdzie mieściło się biuro. Pod wpływem tej myśli nagle zawrócił na podwórze, aby poszukać Olańskiego i powiedzieć mu, teraz już stanowczo i nieodwołalnie, że zgadza się na jego propozycję. Ale z okna pierwszego piętra zawołała go sekretarka. Przyszli interesanci do działu zbytu, trzeba było ich załatwić, odebrać zamówienia, a w

pokoju nie było ani jednego z referentów.

- Już idę - odchrząknął z niezadowoleniem. Trudno było się jednak sprzeczać z sekretarką dyrektora, tym bardziej, że miała rację.

Inspektor Kowalski zatrzymał się przy jednym straganie i zaczął oglądać wystawione obuwie.

- Szanowny pan co uważa? - zapytał sprzedawca, rozcierając zziębnięte ręce. Jego żona, tęga niewiasta okutana w chustkę, jadła na boku obiad z aluminiowej menażki.

- Ot, tak sobie patrzę - odparł. - Skóry mi potrzeba.

- Skóry? Na co?

- Szwagra mam szewca, obiecał buty podzelać, ale surowca brak.

- Znaczy się, o podeszwową chodzi?

- U nas tego nie ma - wtrąciła się kobieta, która, choć pozornie zajęta jedzeniem, uważnie przysłuchiwała się rozmowie. - My skórą nie handlujęm. A ty, Franek, nie mieszaj się. Nie twój interes.

Sprzedawca umilkł, speszony. Inspektor zrozumiał, że tutaj już się niczego więcej nie dowie. Odszedł więc na drugą stronę bazaru, krążąc pomiędzy budkami z drobnymi wyrobami przemysłowymi. Zatrzymał się obok lady pełnej gwoździ, śrubek, narzędzi ślusarskich i od niechcenia grzebał wśród śrubokrętów różnego gatunku i rozmiaru. Czerwony na twarzy, źle ogolony sprzedawca w wysokich butach spierał się z jakimś klientem o pilnik, który tamten koniecznie chciał wypróbować na starym, zardzewiałym kawałku żelaza. Klient był dobrze podpity, mówił bardzo głośno i dużo, co chwila wzywając wszystkich dokoła na świadków.

- Patrz pan - zwrócił się w pewnym momencie do Kowalskiego - co on mi tu zalewa. Za takie byle co chce trzydzieści dwa złote. Koń by się uśmieł. Chodź pan - rzekł nagle i pociągnął inspektora za rękaw jesionki.
- Idziem dalej.

- Skóry mi trzeba, na zelówki - rzekł Kowalski, idąc posłusznie za swoim przewodnikiem. - Szwagier buty obiecał podzelać, a nie ma czym.

- Wiśniewski jestem, Józef - odparł na to przygodny znajomy.

- Kowalski - mruknął inspektor, wyciągając rękę, którą tamten mocno i długo ścisnął. - Szukam skóry podeszwowej.

- To idziem do Staśka. On albo ma, albo coś wykombinuje. Dużo pan tego chcesz?

- Nie, gdzie tam dużo... nie mam pieniędzy. Tyle, co na jedną parę butów. Szwagier za darmo zrobi.

Uszli jeszcze parę kroków i Wiśniewski zatrzymał się przy budce z damską konfekcją. Prztyknął palcami w kolorowe, jedwabne biustonosze, wiszące na sznurku niczym girlandy, dmuchnął w puszyste angorowe

czapeczki i zajrzał za ladę.

- Staśka nie ma? - spytał młodej, bladej dziewczyny, która w głębi straganu liczyła banknoty, układając je na kawałku gazety. Gdzieś spoza jej pleców wychylił się mężczyzna szczupły, czarniawy z blizną na policzku.

- Co jest? - burknął, przetykając kęs kiełbasy, trzymanej w ręku. Z kieszeni sterczała mu półlitrowa butelka.

- Sie masz, fujaro - powitał go wesoło Wiśniewski. - Kumpla przyprowadziłem. Poznajcie się, może interes jaki ubijem.

Inspektor przywitał się ze „Staśkiem” i dziewczyną, rzucił przelotne spojrzenie na numer straganu i rzekł nieśmiało:

- Ja przepraszam... ale o damską galanterię mi się nie rozchodzi, tylko o skórę. Szwagra mam szewca, obiecał buty darmo podzelać, ale surowca mu brak. Józiek powiedział, że pan by może... bo ja tylko na jedną parę butów.

„Stasiek” skrzywił się pogardliwie i podtubał w zębach, w których tkwiły resztki kiełbasy. Dziewczyna zgarnęła pieniądze do gazety, zawinęła w chusteczkę i wsunęła do plastikowej torebki.

- Dobrze liczyłeś? - spytał „Stasiek” półgłosem, biorąc torebkę z jej ręki. - Idź do domu na obiad, potem niech matka przyjdzie, to ja się urwę na jaką godzinkę. Mam sprawy na mieście.

- Dobrze, tato - odparła. - Ale tata obiecał dać na pończochy - spojrzała na niego wyczekująco.

- Na, masz - wyjął z kieszeni zmiętą setkę i rzucił na ladę. Potem spojrzał na czekającego cierpliwie Kowalskiego i wzruszywszy ramionami, kiwnął głową zapraszając

32

33

go, aby wszedł do środka. Inspektor wsunął się za ladę, za nim Wiśniewski. „Stasiek” pogrzebał w torbie schowanej w kącie i wyciągnął stamtąd spory kawał jasnobrunatnej, elastycznej skóry bydlęcej.

- Waszowa - mruknął. - W sam raz na podeszwy. Ile panu trzeba?

Kowalski pomacał skórę. „Krupon” - pomyślał. „Garbowanie chromowe albo chromowo-roślinne. To nie domowa robota”. Oczy mu się rozjaśniły, z nabożnym podziwem i widoczną radością wziął cały kawałek w rękę.

- Starczyłoby dla mnie i dla żony - powiedział cicho. - Ile ma to kosztować?

- Całe? Dziewięćdziesiąt złotych. Dla pana, bo pan znajomy Józka. Komu innemu sprzedałbym za sto dwadzieścia.

Wiśniewski nachylił się, pomacał skórę i cmoknął.

- Bierz, człowieku, nie pytaj. Przecie to kupon pierwszy gatunek. Kupujesz jak darmo. Na takich zelówkach pięć lat będziesz chodzić i nie zedrzesz.

Inspektor udawał jeszcze chwilę, że się namyśla, wreszcie sięgnął po portfel i zapłacił. „Stasiek” zapakował mu skórę w szary, gruby papier i związał sznurkiem.

- Tylko jak pan będziesz wychodził z bazaru - mruknął na odchodnym - to pamiętaj, że to nie u mnie brane. Gdzieś pan kupił, to kupił, ale nie u mnie.

- Ależ naturalnie, proszę pana. Zresztą kto ma tam mnie się czepiać, spokojny człowiek jestem - zapewniał go Kowalski. - Dziękuję za przysługę. Do zobaczenia.

W tłumie przy bramie udało mu się zgubić Wiśniewskiego. Wskoczył do tramwaju, wcisnął się do środka, nasunął czapkę głębiej na oczy. Na drugim przystanku przesiadł się do autobusu, po drodze do domu zawadził jeszcze o parę sklepów żywnościowych i księgarnię.

Wreszcie, pewien że absolutnie nikt go nie śledzi, wszedł do kamienicy, w której mieszkał i dobiegł do pokoju z mikroskopijną kuchenką, na czwartym piętrze. Przebrał się w sweter i stare spodnie, nastawił imbryk na herbatę i rozpakował sprawunek. Na pozór skóra była

34

czysta, bez śladu stempli firmowych. Inspektor przyjrzał jej się dokładnie, potem wsadził w oko zegarmistrzowską lupę i zaczął oglądać centymetr za centymetrem. W pewnej chwili chrząknął z zadowoleniem i ołówkiem zakreślił na skórze spore kółko. Przez lupę można tam było odczytać wytarty częściowo napis: „Centrala Garbarska”, a obok jeszcze literki: „G-A”.

- Garbarnia-A - szepnął do siebie. - Oczywiście, tam są przede wszystkim skóry twarde.

Przez chwilę myślał nad czymś intensywnie, potem podszedł do biurka gdzie stał telefon i ujął za słuchawkę.

- Komenda Miasta? Proszę trzysta sześć... Kapitan Szczęsny? Serwus, jak się masz... Tak, to ja. Słuchaj, potrzebny mi jest dobry szewc... Nie, nie do butów. Do ewentualnego zakupu większej partii skóry. Lewej skóry... Cieszę się, że już rozumiesz. To musi być ktoś od was, kogo nie znają na bazarze Różyckiego. Niestety, nasi spece skórzani zbyt często tam bywają, a ja wlałem już w inną rolę... Tak, poszedłby razem ze mną. Ja w charakterze pośrednika... Kto? Porucznik Kręglewski?... Aha, rozumiem. No, jak ty uważasz, że on się zna, to w porządku... Dobrze, będę u ciebie wieczorem. Cześć.

Odłożył słuchawkę i zamyślił się znowu. „Stasiek” to z pewnością mała płotka. Tu się chyba obraca setkami tysięcy, a nie setkami złotych. A może - nie? Może to tylko drobna kradzież, parę kawałków wyniesionych w teczce? Dyrektor Gilewski już raz przecież alarmował o małych, ale dokuczliwych kradzieżach na kilku garbarniach. W piątek ma być u nich jakaś narada z prokuratorem dzielnicowym. Trzeba będzie...

Sięgnął jeszcze raz do telefonu.

- Z prokuratorem Idzikowskim proszę - powiedział, gdy odezwała się centrala. - Dzień dobry, Jerzy. Tadeusz mówi. Słuchaj, czy ty masz w piątek jakąś naradę w Centrali Garbarskiej?... O czternastej? Chciałbym tam być... Nie, za nic w prezydium. Po prostu, między pracownikami. I nie musisz mnie nikomu przedstawiać... Owszem, znam jednego czy dwóch z biura. To nieważne. Mnie cho-

35

dzi o tych z produkcji... O tym, że są drobne kradzieże, to ty i tak wiesz. Ja chcę tylko przysłuchać się, co będą ludzie mówili... Tak. Do widzenia, trzymaj się.

- I dlatego - kończył prokurator Idzikowski, odsuwając na bok notatki - chciałem bardzo usłyszeć w dyskusji nie tylko o faktach nadużyć, jakie miały u was miejsce w ostatnim czasie, ale i o sposobach, jakie widzicie i jakie chcielibyście wprowadzić w garbarni, aby zapobiec złu... To wszystko, dyrektorze - zwrócił się w stronę Gilewskiego, który przewodniczył naradzie.

Dyrektor wstał, powiódł uważnym spojrzeniem po zebranych aktywie pracowników Centrali i rzekł:

- Serdecznie dziękuję, w imieniu własnym i załogi, towarzyszeni prokuratorowi za tak wnikliwą i słuszną analizę błędów i nadużyć, popełnianych niestety wciąż jeszcze w naszych zakładach. Od dawna - chrząknął, sięgnął po szklankę z wodą i wypił parę łyków - od dawna nosiliśmy się z zamiarem urządzenia takiej narady z przedstawicielami prokuratury, komendy dzielnicowej milicji i prasy -tu spojrzął z uśmiechem na dwie dziennikarki, siedzące przy bocznym stoliku. - Nie będę powtarzał tego, co powiedział towarzysz prokurator. Zresztą wszystko co miałem do powiedzenia usłyszeliście towarzysze w referacie, na początku narady. Teraz wam oddaję głos. Mówcie śmiało, szczerze. Wskażcie te wąskie gardła i punkty zapalne w naszej produkcji, w których tkwi źródło nadużyć, a o których jeszcze tutaj nie mówiliśmy. Proszę o zabieranie głosu.

Usiadł, nachylił się do siedzącego obok Michalaka i szepnął mu coś na ucho. Tamten słuchał uważnie, a potem przytaknął. Twarz miał skupioną, ręce złożone na leżącym przed nim notatniku, oczy na wpół przymknięte.

Prokurator Idzikowski, młody, szczupły, przystojny, obserwował salę z zaciekawieniem. Do prokuratury dochodziły niejednokrotnie wieści o kradzieżach w garbarniach podległych Centrali. Zawsze jednak były to sprawy

drobne. Robotnicy brali kawałek skóry na zelówki, czasami niewielki płat miękkich boksów cielęcych czy sportowych. Dwa czy trzy razy kogoś złapano na wynoszeniu barwników, pewnie dla garbowania domowym sposobem.

A jednak prokurator usłyszał parokrotnie poufną opinię, że w Centrali „coś śmierdzi”. Najlepsi oficerowie służby kryminalnej obserwowali bardzo ostrożnie i z daleka niektórych pracowników, ich tryb życia, powiązania i kontakty. Były to jeszcze na razie nieuchwytnie spostrzeżenia, luźne wnioski, niemniej jednak milicja stopniowo coraz mocniej zacieśniała swoją sieć obserwacyjną i - czekała.

- No, proszę, towarzysze - powtórzył dyrektor Gilewski, przenosząc wzrok z jednej twarzy na drugą. - Śmiało i odważnie... Może majster Olański coś ma do powiedzenia?

Olański uśmiechnął się z zażenowaniem, wstał, obciągnął roboczą kurtkę, poprawił kołnierzyk.

- Ja uważam... Ja jestem majstrem na wykańczalni, to jest bardzo odpowiedzialny oddział, bo od nas skóra przechodzi już od razu do magazynu skór gotowych, to jest zakończenie produkcji... Więc jeżeli gdzie by kradli, to chyba właśnie w wykańczalni. Półfabrykatu nikt nie weźmie, tylko skórę gotową. Ja... - urwał, przełknął ślinę, na sali zrobiła się nagle zupełna cisza - uważam, towarzysze, że musimy dzisiaj powiedzieć sobie wszystko i bez ukrywania.

Siedzący w dalszych rzędach Wilczyński raptownie zbladł i oblał się zimnym potem. Przemknęło mu przez myśl, że to całe jego przeniesienie na miejsce Zawadzkiego było po prostu fikcją, że tamci chcieli tylko wypróbować jego uczciwość, a teraz Olański powie... głośno, przy wszystkich, przy Adamczaku, Namitkiewicz... Chciał wstać i wyjść, ale poczuł, że nogi mu zupełnie zdrętwiały i zrobiły się jak dwie kłody. W ustach mu zaschło i gwałtownie rozbolał żołądek. „Przecież nie może mi niczego udowodnić” - pomyślał, usiłując przywołać na pomoc zdrowy rozsądek. „W razie czego powiem, że to nieprawda, wyprę się wszystkiego. Do magazynu chciałem się przenieść, żeby zacząć pracować w produkcji, żeby być garbarzem... Jak ojciec”. Tłukły mu się po głowie rozpaczliwe argumenty,

37

siedział zdrętwiały, patrząc przed siebie martwym wzrokiem. A potem usłyszał wyraźny głos Olańskiego:

- Ja bym nigdy tego nie pomyślał, towarzysze, żeby taki stary pracownik, taki wieloletni dobry fachowiec jak Marcinowski... Ale, towarzysze, ja już dłużej nie mogę kryć złodzieja. Tak, złodzieja! Trzeba to nazwać po imieniu, bez ukrywania. Dwa razy - i to jest moja wina, do czego się przyznaję - dwa razy widziałem, jak Marcinowski wyносił w teczce kupon drugiego gatunku. Powiedziałem mu: człowieku, czy ty wiesz co robisz? Czy ty rozumiesz, że to jest kradzież? - On mi na to ze łzami się przysięgał, że to już ostatni raz. Żona, mówił mi, choruje, a ja nie mam za co butów podzelaować. No, to ja uwierzyłem i, prawdę mówiąc, machnąłem na to ręką. Ale dziś się z tego kajak, towarzysze, kajak się tu przed wami, bo rozumiem już, że złodziejstwo kryłem, choć z dobrego serca. I proszę, przed wami wszystkimi, towarzysza dyrektora, aby mi za ten miesiąc premii nie dawał, bo się nie należy. Bo złodzieja ukrywałem w swoim oddziale. Tego złodzieja! - krzyknął, wyciągając rękę w stronę pierwszych rzędów.

Siedział tam Marcinowski. Mały, chudy człowiek w wytartej marynarce, tkwił w krześle jak przyrośnięty, niezdolny wymówić słowa na swoją obronę. Wszystkie oczy zebranych obróciły się na niego i pod tym zwielokrotnionym spojrzeniem skurczył się, chciał się zrobić jeszcze mniejszy, zapaść pod ziemię. Sąsiedzi odsunęli się od niego, szepcząc coś między sobą.

- Towa... obywatelu Marcinowski, jakże to się stało? - spytał dyrektor. W głosie jego wyraźnie dało się wyczuć rozżalenie i wyrzut. - Jak mogliście zrobić coś podobnego?

Marcinowski wolno podniósł się z krzesła. Stał z opuszczoną głową, utkwivszy wzrok w plecach siedzącego przed nim robotnika. Nie odpowiedział.

- Braliście skórę z wykańczalni? - spytał jeszcze Gilewski.

Tamten w milczeniu przytaknął głową. Robotnicy ciągle szeptali, niektórzy mieli w oczach współczucie, inni wzruszali ramionami. Nagle podniósł się magazynier Zawadzki.

38

- Ja proszę o głos - rzekł. - Jeżeli już mówimy o...

- Przepraszam, towarzyszu Zawadzki, ale przed wami jest jeszcze kilku zapisanych do głosu - przerwał dyrektor. - Proszę, teraz towarzysz Michalak.

Na twarzy kierownika administracyjno-gospodarczego nie drgnął ani jeden muskuł. Mimo iż wcale o głos nie prosił, podniósł się i zaczął szeroko wyjaśniać obieg dokumentacji w Centrali, od chwili przywozu partii skór surowych aż do wywozu skóry gotowej do odbiorcy. Były to rzeczy doskonale znane pracownikom produkcji i garbarze zaczęli ziewać i szeptać pomiędzy sobą. Paru usnęło. Tylko prokurator i komendant słuchali z uwagą, pierwszy dlatego, żeby się lepiej orientować w możliwościach nadużyć, drugi - bo zaczynał orientować się w zupełnie czym innym. Chciał swoim spostrzeżeniem podzielić się z prokuratorem, ale po chwili rozmyślił się. Na to zawsze będzie czas. I tak prokuratura zwykle zbiera owoce pracy milicji. Niech poczeka, aż dojrzeją.

Tymczasem Michalak mówił i mówił. Dyrektor przesłał już przedtem karteczkę kierownikowi działu zbytu, Toruńskiemu, który po przeczytaniu skinął głową. Teraz Gilewski poruszył się niecierpliwie i zastukał ołówkiem w stół.

- Kończcie, towarzyszu. Głos ma towarzysz Toruński... Proszę.

- Zawadzki był pierwszy - odezwał się ktoś z głębi sali.

- Spokój, towarzysze. Każdy będzie miał prawo się wypowiedzieć.

Toruński, nieduży mężczyzna o krótkim, ściętym nosie, dla którego jeszcze w szkole przezywano go „kościotrupem”, ciężko podniósł się z krzesła i wszedł na udekorowaną biało-czerwonym płótnem mównicę.

- Będzie gadał godzinę - mruknął ktoś za plecami inspektora Kowalskiego, który wciśnięty pomiędzy dwóch wartowników w grubych „fufajkach”, siedział w końcu sali. - Ja już mam dość. Zostajesz, Zygmunt? - mówiący podniósł się z krzesła.

- Czekaj, co ci się tak spieszy - sąsiad widać pociągnął go z powrotem. - Zobaczym, co powie Zawadzki.

39

- Co ci powie? Że skóry wynoszą? Wielka mi nowina. Piecze mnie w gardle po tym stołówkowym kapuśniaku... Daj zapalić.

Trzasnęła zapałka, Kowalski poczuł lekki zapach dymu. Wyjął z kieszeni „Sporta” i odwrócił się.

- Ma pan ognia? - spytał siedzącego tuż za nim, chuder-lawego młodego chłopaka z twarzą podziobaną jak po ospie i bystrymi, ciemnymi oczami. Ten bez słowa podał mu pudełko, obrzucając przy tym uważnym spojrzeniem. Jego sąsiad ziewnął szeroko i wyciągnął nogi daleko przed siebie.

- Jak Toruński skończy, obudź mnie - szepnął i przymknął powieki.

Kierownik działu zbytu mówił, nie spiesząc się, o trudnościach w zaopatrzeniu Centrali w garbniki syntetyczne i nitrocelulozę. Wspomniawszy, że zdarzały się sporadyczne wynoszenia garbników, ale ukrócono to ostrymi karami i upomnieniem magazyniera. Domagał się natomiast, i to bardzo stanowczo, aby w stosunku do Marcinowskiego, który - jak twierdził - plamił dobre imię garbarzy, wyciągnąć surowe konsekwencje.

- Stawiam wniosek, towarzysze, aby obywatel Marcinowski opuścił Centralę Garbarską. I nie tylko to. Zajmuje on, przydzielone mu przez dyrekcję i radę zakładową, mieszkanie w bloku na Okopowej. Ten blok jest własnością naszej Centrali. Naszą wspólną własnością. Uważam, że człowiek, który przestaje u nas pracować, a w dodatku jest złodziejem mienia państwowego - taki człowiek, towarzysze, nie zasługuje na piękny pokój z kuchnią, któryśmy mu przydzielili. Oczywiście, Marcinowskiem zajmie się milicja i prokurator - tu „kościotrup” skłonił lekko głowę w stronę prezydium - ale do nas należy oczyszczenie atmosfery Centrali, jak również i naszych domów.

- Proszę o głos - powiedział nagle Zawadzki, znów unosząc się z miejsca.

- Chwileczkę, towarzyszu Zawadzki! - dyrektor spojrzał na niego z wyrzutem.

- Ja jeszcze nie skończyłem - kierownik działu zbytu był wyraźnie poirytowany. - Ja wam, towarzyszu Zawadzki,

przeszkadzać nie będę, kiedy zabierzecie głos... Chciałbym przejść teraz do zagadnienia kontroli osobistej. Uważam, że teczki, torby, woreczki i tym podobne, powinny być przeglądane każdorazowo przez wartownika czy portiera, kiedy pierwsza lub druga zmiana wychodzi z Centrali. Uważam...

- Zygmunt, ja idę. Jak Boga kocham, morda mi się drze co chwila. Oni tak jeszcze będą kitolić do północy.

W innych rzędach też ziewano i szeptano. Dwóch cichaczem grało w karty ku jednomyślnej aprobacie kibiców. Tylko grupa starszych robotników, siedzących obok Zawadzkiego, milczała, a twarze ich były surowe. Jeden z sorterów pochylił się do magazyniera i szeptał mu coś do ucha. Zawadzki potrząsnął głową. - Nie - mruknął. - Ja już widzę, że z tego dziś nic nie będzie.

Prokurator zauważył znudzenie na sali i rzekł półgłosem do Gilewskiego, że kierownik działu zbytu za rozwlekle rozwodzi się nad nieistotnymi szczegółami. Dyrektor uśmiechnął się i trochę bezradnie rozłożył ręce. Potem zastukał ołówkiem i powiedział na głos:

- Towarzyszu Toruński, proszę się streszczać. Czas ucieka.

I spojrzął na zegarek. Dochodziła piąta po południu. Sala kaszłała, szeptała, wierciła się, trzaskały zapałki, gęsty dym tkwił nieruchomo w powietrzu, dławiąc w gardle. Ktoś przez chwilę mocował się z klamką u okna, wreszcie szarpnął i fala świeżego powiewu wdarła się do środka. Na dworze było już szaro, żółtym przymglonym światłem jarzyły się uliczne latarnie. Ku tej ulicy częściej biegły tęskne spojrzenia zebranych, coraz to ktoś chyłkiem, cichcem wymykał się z sali do domu.

Gdy Toruński skończył, dyrektor znów spojrzął na zegarek i powiedział, wstając:

- Towarzysze, niestety zrobiło, się już bardzo późno. Ja muszę być o szóstej w okręgu związku na konferencji, a zdaje się, że i towarzyszy prokurator... - spojrzął na niego wyczekująco.

Idzikowski skinął głową. Również i kapitan milicji zbierał się do wyjścia, czekali na niego w komendzie.

40

41

- W takim razie - podjął Gilewski - raz jeszcze dziękuję wszystkim za przyjęcie. Wnioski z narady wyciągniemy i będziemy się starać, aby w naszej Centrali tego typu zebrania nie były już więcej potrzebne. Ach, jeszcze. Byłbym zapomniał. Towarzyszu komendancie - zwrócił się do kapitana Czarnowskiego, który z teczką w ręku sięgał już po czapkę. - Jutro prześlę wam wykaz nagród, które wraz z radą zakładową ustanowiliśmy dla pracowników waszej komendy za wykrycie ewentualnych nadużyć w Centrali. I prosimy: nie oszczędzajcie nas! - uśmiechnął się, wyciągając do niego rękę. - Od razu przesyłajcie do mnie meldunki, a ja już odpowiednio rozprawię się ze złodziejami. W sprawie Marcinowskiego - zniżył głos - to już sami wiecie, co robić.

- Oczywiście - kapitan wciągnął rękawiczki. - Przestuchamy go jutro, no i cóż... pójdzie chyba chłop siedzieć. On żonaty?

- Żonaty - odparł za dyrektora Michalak, który stał obok i słuchał, co mówili. - Dwoje dzieci. Zajmiemy się nimi. A mieszkanie załatwię z dzielnicowym kwaterunkiem. Zamieni się po prostu. Naturalnie, dadzą mu na pewno gorsze. Trudno - zawinił.

Gdy prokurator wsiadał na postoj do taksówki, jak cień wsunął się za nim inspektor Kowalski. Zapalił „Giewonta” i poczekał, aż dojechali do Śródmieścia, a potem zaproponował małą kawę w samoobsługowym barze przy Marszałkowskiej. Idzikowski zgodził się chętnie, bo ciekaw był co usłyszy.

Siedli przy bocznym stoliku, prokurator przyniósł dwie parujące filiżanki dobrze zaparzonej i dlatego pewnie droższej niż gdzie indziej kawy.

- Nie dali mu przyjść do głosu - powiedział inspektor, krzywiąc usta w ironicznym uśmiechu.

- Temu magazynierowi?

- Tak. Dlaczegoś mu nie pomógł, Jerzy? Mogłeś interweniować.

- Chciałem zobaczyć, jak ta cała gra się potoczy. No, a potem było już rzeczywiście późno. Ale może masz

i rację... trzeba było mu pomóc.

- Zawsze jeszcze możesz to zrobić - rzekł cicho Kowalski, rozpinając płaszcz, bo w barze było ciepło. - Sądziłem, że nie zauważyłeś tych machinacji i dlatego się nie wtrącałeś. Ja w tej sytuacji nie mogłem, nie chciałem się de-konspirować. Oni wyraźnie grali na zwłokę. Dobrze wiedzieli, że im później tym więcej osób będzie chciało iść do domu i kończyć naradę. Szkoda, że mu nie pomogłeś - powtórzył. - Wydaje mi się, że miał coś naprawdę ważnego do powiedzenia. I mogła się rozpętać burza...

Milczeli chwilę, prokurator pił kawę drobnymi, krótkimi łykami i marszczył brwi z niezadowoleniem. Przy stole barowym było tłoczno. Mimo późnej pory, Warszawa wciąż jeszcze piła i piła swój ulubiony napój, jakby jej ciągle było mało.

- Tam jest niedobra sytuacja - rzekł wreszcie Idzikowski, odstawiając na bok pustą filiżankę. - Myślę, że te drobne kradzieże to tylko parawan dla innych machinacji. Kapitan Czarnowski też tak uważa. Mówiłem już o tym w Komendzie Miasta. Nie można jednak na razie nic udowodnić. Chyba, że się wszyscy mylimy...

Kowalski zaciągnął się głęboko dymem i utkwiał w mówiącym szare, bystre oczy.

- A gdyby podesłać im kogoś? - spytał cicho, ledwie poruszając wargami. - Z komendy albo Inspektoratu Kon-trolno-Rewizyjnego? Jak myślisz?

Prokurator wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Już ktoś był - odparł.

- I co?

- Nic. Albo zwąchali pismo nosem, albo rzeczywiście nic tam nie ma.

- Wobec tego trzeba uderzyć inaczej. Od innej strony. Jeżeli wywożą i sprzedają skórę w większych ilościach, to muszą mieć jakiegoś odbiorcę. A z kolei ten odbiorca musi mieć wielu innych, drobnych kupców, szewców albo handlarzy małymi partiami skóry. Myślę, że tu leży ich

42

43

najsłabszy punkt. W tej sieci kilkunastu czy nawet kilkudziesięciu pośredników i odbiorców.

- O ile wiem, milicja i tam szuka. Ale drobne płatki często nie znają większych dostawców. To się jakoś robi bokiem, przez jednego czy dwóch stałych pośredników, a tych zawsze najtrudniej uchwycić. No, nie możemy przecież robić najazdu na Bazar Różyckiego. Złapiemy mnóstwo drobnych, przygodnych złodziejasków, a przy tej okazji ostrzeżemy tamtych. To by nie miało sensu.

- Wcale nie miałem na myśli jakiejś większej akcji. Rzadko kiedy przynoszą one efekty. Przeciwnie, uważam, że trzeba drążyć bardzo ostrożnie, powoli i z rozważą. Ale trzeba. Wiesz, bardzo jestem ciekaw,

kto zajmie mieszkanie po wyrzuceniu Marcinowskiego. Zdaje się, że ta sprawa niejednemu poszła na rękę.

Prokurator uśmiechnął się.

- Chcesz, Tadek, załóżmy się - powiedział. - Ja stawiam na dyrektora.

- Dyrektora? - Kowalski spojrział na niego ze zdziwieniem. - Gilewskiego? Przecież ten chłop ma własną willę w Aninie. Po co mu takie małe mieszkanko? Chyba, że ma tu jakąś babkę, którą chce ukryć przed oczami kochającej żony.

- Nie wiem, czy dla babki czy kogo innego. Ale on to mieszkanie tak czy inaczej zabierze. A ty na kogo stawiasz?

Kowalski pomyślał chwilę.

- Na tego ponuraka z gębą jak nieboszczyk - odparł. - Toruńskiego. Tak mi się wydaje, że ma na to wielką chętkę. W każdym razie, założę się z tobą, że nie dostanie mieszkania żaden z naprawdę potrzebujących garbarzy.

- To nie ze mną - odparł prokurator. - Bo ja też tak uważam. Ach, żeby u nas było o połowę mniej łobuzerii niż jest; byłibyśmy bardzo przyjemnym krajem.

- W zasadzie masz rację - zauważył inspektor, podnosząc się z krzesła. - Ale można by długo dyskutować na ten temat. Na razie obiecuję ci, że będę próbował dobierać się tym łobuzom z Centrali do skóry. Mam takie pewne plany... Jak coś zauważę, dam ci znać.

ROZDZIAŁ III

Wilczyński siedział na parapecie niskiego okna magazynu i kłął. W hali było zimno, ręce kostniały od sztywnych, ciężkich skór, które musiał wydawać do produkcji i z trudem utrzymywał w zgrabiących palcach ołówek. Trzeba było jednak zapisywać każdą partię. Zwłaszcza męczyło go ściąganie skór z samochodu, kiedy przywożono je do Centrali. Pomagał mu wprawdzie sorter i czasem, niejednokrotnie wspinając się wysoko po drabinie. Nie orientował się jeszcze dobrze w gatunkach, mimo iż Olań-ski, a potem Toruński wpadali do magazynu kilka razy w ciągu dnia i cierpliwie tłumaczyli mu różnice w wyglądzie gatunku i wyjaśniali specyfikację.

Majster nic jakoś nie wspominał o dodatkowych zarobkach i Wilczyński po tygodniu takiej roboty zaczął po cichu tęsknić do swego biurka. Ambicja nie pozwalała mu jednak się wycofać. Przynajmniej - na razie. Gdyby tamte obietnice okazały się mrzonką, pójdzie po prostu do dyrektora i powie, że niestety, nie daje rady, że brak mu odpowiednich sił fizycznych do pracy w produkcji. Tak postanowił.

A tymczasem siedział przy oknie i cierpliwie wyglądał samochodu, który miał dziś przywieźć partię skór. Potem magazynier mógł już właściwie robić sobie fajerant.

Usłyszał warkot ciężarówki i z westchnieniem ulgi wyszedł na podwórze. Ze zdziwieniem zobaczył, że

obok samochodu stoją Olański i Michalak. Rozmawiali z niskim, ubranym w kombinezon brakarzem Sanickim, który pracował w Zarządzie Skupu Surowców Skórzanych i przyjechał ze skórami.

Na widok Wilczyńskiego wszyscy trzej odwrócili głowy i spojrzeli na niego, a majster powiedział:

44

45

- Pomożemy panu ładować do magazynu, panie Jasiu. Będzie prędej. - I mrugnął okiem łobuzersko.

Wilczyńskiemu serce zabiło żywiej. Poczzerwieniał z emocji, bo zrozumiał, że zaczyna się to, na co tak długo czekał. Podszedł bliżej i spytał szeptem Olańskiego:

- Co mam robić?

- Zwyczajnie - odparł tamten, nie zniżając głosu. -Przyjmować.

- I zapisywać?

- No chyba. A co pan myślał? - odparł za majstra Michalak, patrząc surowo na eks-referenta. - Pomożemy panu tylko wnosić, bo już późno. Każdy chce iść do domu o zwykłej porze.

Odwrócił się tyłem i sięgnął po najbliższą skórę, leżącą na ciężarówce. Sanicki podskoczył, razem dźwignęli kilka sztuk. Sapiąc i pokrzykując dla fasonu, wnieśli je do magazynu, rzucając na podłogę.

Wilczyński stał chwilę, zdezorientowany, wreszcie wrócił do środka i stanął przy wadze. Nie rozumiał sytuacji. Może się omylił? Może to wcale nie dziś? Schylił się po jedną skórę, wciągnął na wagę, popatrzył, zapisał. Sanicki podał mu plik dokumentów, oznaczających specyfikację towaru. Wilczyński wziął niechętnie papierki.

Ważył, liczył i zapisywał, liczył i zapisywał, kiedy nagle tuż nad uchem usłyszał cichy głos Olańskiego:

- Dość, panie Jasiu. Nie pisz pan więcej.

Spojrzał ze zdziwieniem na spory jeszcze stos skór leżących na podłodze, a potem na majstra. Ten uśmiechał się i potrząsał głową.

- Nie pisz pan - powtórzył. - Więcej skór dziś nie przywieźli.

Zrozumiał. Schylił się i już bez ważenia i zapisywania ładował na półki wraz z Michalakiem i Olańskim. Sanickiego już nie było, samochód z wymalowanymi na boku literami „ZSSS” i nazwą ulicy, przy której mieścił się Zarząd Skupu - właśnie odjeżdżał.

- Ile? - spytał Michalak, gdy skończyli i wyprostowali się, ocierając pot z twarzy.

- Dwadzieścia cztery - odparł majster. - Same twarde. Czwarty i piąty gatunek. - Parsknął śmiechem. Wydobył z kieszeni chustkę i głośno wytarł nos.

Wilczyński wiedział już, że czwarty i piąty gatunek to najgorsze skóry. Piąty nadawał się właściwie tylko na klej. Spojrzał więc ze zdumieniem na tamtych, ale twarze ich nie były tym faktem wcale zaniepokojone. Michalak nawet uśmiechał się lekko, paląc papierosa.

- Taka marna skóra? - odważył się wreszcie spytać, patrząc na Olańskiego, wobec którego czuł się bardziej pewnie.

Tamci parsknęli śmiechem. Olański poklepał go dobrodusznie po plecach.

- Nie masz pan większych zmartwień? - spytał kpiąco. - Niech się martwi Centrala. Nie widzisz pan, że my się cieszymy?

I znowu roześmieli się na całe gardło. Wilczyński spurpuro-wiał. Pomyślał, że go nabierają, że bawią się jego kosztem. Zacisnął pięści. Majster spostrzegł to i spoważniał.

- Nic się pan nie bój - odezwał się pojednawczym tonem. - Cała rzecz w tym, aby tanio kupić. Za piąty gatunek płaci się pięć razy taniej niż za pierwszy.

- No, dobrze - gorączkował się Wilczyński - ale za kiepski gatunek później zapłacą nam grosze. Czy to warto?

Michalak znów się uśmiechnął.

- A kto panu powiedział, że nam płacić będą za kiepski gatunek? - odparł pytaniem, akcentując słowo „nam”.

Olański przysunął się bliżej i powiedział, zniżając głos:

- Uważaj pan teraz, panie Jasiu, bo od pana głowy dużo będzie zależeć. Jutro przyjdą z oddziału mokrego po partię skór do produkcji, jak zwykle. Wydasz pan, damy na to, pierwszą partię dwudziestu skór, wypiszesz pan jak zwykle paszport macierzysty i dorzucisz cztery czy pięć skór bez żadnego papierka.

- Bez paszportu? - upewnił się Wilczyński. Zaczynał już się orientować w machinacjach.

- Bez. I tak do każdej partii, aż wyczerpiesz pan dwadzieścia cztery skóry. To znaczy tę ilość, która dziś nie została zapisana.

46

47

- Czy dodawać tylko z tych czwartego i piątego gatunku?

- Panie Jasiu kochany, to jest zupełnie wszystko jedno, jakie skóry pan dodasz bez papierka, a jakie z papierkiem... My i tak w rezultacie weźmiemy z wykańczalni te najlepsze. Naturalnie, że trzeba się szybko pozbyć z magazynu kiepskich skór, żeby czasem nie włąza jakaś kontrola, bo by wtedy Sanicki oberwał, a on jest nam potrzebny. Rozumiesz pan teraz wszystko?

- Tak. Nic trudnego - wzruszył ramionami. Przemknęło mu przez myśl, ile też dziś „zarobił”, ale zawstydził się pytać o to. - A jak robotnicy będą się dziwić, że jest więcej skór niż wypisane w paszporcie?

Michalak spojrzał na niego z uznaniem.

- Toteż nie da im pan paszportu do ręki, tylko przyjdzie pan z nim sam do oddziału mokrego i wręczy majstrowi Biernackiemu, jak robotnicy będą nosili skóry. On już wie, co ma z tym dalej robić.

„A więc Biernacki też...” - pomyślał Wilczyński. Zrozumiał, że lewy obieg dokumentacji i wszelkie machinacje tego typu mogą udać się jedynie wówczas, kiedy wciągnięci są do tego wszyscy kierownicy czy majstrowie poszczególnych oddziałów. Jedna przeszkoda na drodze obaliłaby wszelkie kombinacje.

Michalak pożegnał się i wyszedł z magazynu. Olański pomógł jeszcze ułożyć niektóre, niedbale rzucone skóry, po czym zgasił światło i wyszli, zamykając na kłódkę drzwi. Było już dobrze po czwartej. Ściemniało się.

- Panie Wacławie - rzekł Wilczyński, kiedy szli do przystanku tramwajowego - niech mi pan powie... To Zawadzki się nie zgodził?

- A nie.

- Dlaczego?

Olański wzruszył ramionami.

- A tamci wszyscy?

- Jacy tamci?

- No Biernacki, Toruński, Michalak... i inni.

- Gdyby się nie zgodzili, mielibyśmy duże trudności - odparł majster szczerze, potwierdzając przypuszczenia Wilczyńskiego.

- Od razu się zgodzili?

Olański obrzucił go ironicznym spojrzeniem.

- Od razu. Gryzie pana sumienie, że się pan tak wypytujesz? Inteligenckie opory, czy jak to się mówi. Nie myśl pan za dużo, to niezdrowo. Za dzisiejszy dzionek masz pan jak obszył cztery kawałki. W przyszłym tygodniu przyjdzie następna partia takich skór. I znowu pęknie panu kilka tysięcy. Szybko się pan dorobisz, panie Jasiu. Tylko język trzeba trzymać za zębami.

- To jasne - odparł Wilczyński uradowany. - A te cztery tysiące, to kiedy?

Olański pomyślał chwilę i powiedział:

- Za dwa, trzy dni najdalej. Żebyś pan miał dobry początek. Potem będzie pan dostawał rzadziej, a więcej

na raz. Tak jest lepiej. Grosze to się zaraz wyda.

Wilczyński mimo woli skrzywił się ironicznie. Jeżeli Olański cztery tysiące nazywa „grosze”... Nagle zrozumiał, że tego, co on uważa w tej chwili za dużą sumę, tamci prawie nie biorą w rachubę. Aż ścierpła na nim skóra na myśl, jakimi cyframi operować muszą przy swoich transakcjach i jakie mają zarobki. Poczł ostrą, piekącą zazdrość. Olański, jakby czytając w jego myślach, rzekł uspokajająco:

- Jak pan będzie z nami trzymał sztamę, zarobi pan dużo więcej. Grunt to nikomu ani słowa nie pisnąć i tak sobie wszystko rozważyć, abyś pan mógł w razie jakiej kontroli prosto w oczy inspektorom spojrzeć, niczego się nie bać i na każdy zarzut mieć odpowiedź. Michalak to świetnie umie. On, jak na kogo popatrzy, to się tamtemu wydaje, że wszystkie jego grzechy już policzył. Twarda bestia, niczym podeszwowa skóra po solance.

- Michalak dużo już zarobił?

- Willę ma, koło Anina. Piękny domek, piętrowy. Ogród, garaż, cztery pokoje. I samochód ma własny.

- A Adamczak? - spytał nagle magazynier.

- Adamczak? - Majster spojrzał na niego ze zdziwieniem. - Ten z biura? Kto panu powiedział, że on... On wcale nie. I nie próbuj pan z nim o tym gadać. To cięta sztuka.

48

49

- Ja bym go chętnie wykończył - odparł Wilczyński ponuro. - Łobuz i świnia. Jeszcze go kiedyś... - urwał.

Olański przyjrzał się ciekawie jego zaciętej w tej chwili twarzy i pomyślał, że coś takiego warto sobie zapamiętać. Ludzka nienawiść to czasami rzecz pożyteczna, jeżeli ją odpowiednio wykorzystać i pokierować.

Doszli do przystanku. Tramwaj właśnie nadjeżdżał, u drzwi wisały „winogrona”. Wcisnęli się z wielkim trudem, za pomocą łokci, nóg i pięści, aż parę osób syknęło z bólu, oglądając się na nich z gniewem. Wilczyński, wdu-szony między ludzi na platformie, myślał, na wiosnę kupi sobie WFM-kę i przestanie się wreszcie gnieść w tramwajach. „Adamczak już ma” przyszło mu na myśl i znów poczuł palącą złość na tamtego.

- Jeżeli nie jest z Olańskim i tamtymi - z nami, poprawił się w myślach - to skąd ma pieniądze? Kiedyś obaj przyjaźnili się nawet i Wilczyński wiedział wówczas, że Adamczak uczy się obcych języków, czego mu nawet zazdrościł, sam nie mogąc zdobyć się na dodatkowy wysiłek. Potem tamten się ożenił... zdaje się, z jakąś lekarką. Może to ona tak dobrze zarabia i kupiła mu motocykl. Postanowił, że dowie się o Adamczaku wszystko, co tylko możliwe i przy najbliższej okazji wykpi go przed kolegami.

Zgubił Olańskiego gdzieś po drodze i sam wysiadł na przystanku niedaleko domu, w którym mieszkał. Ciekaw był jak wygląda willa Michalaka. Trzeba będzie kiedyś w niedzielę skoczyć do Anina, niby na

spacer i obejrzeć sobie to zachwalane чудо. A Olański? - przyszło mu nagle na myśl? Czy też ma willę? Właściwie nie wiedział nawet, gdzie tamten mieszka. Ale jeżeli niektórzy z nich zdążyli już sobie pobudować domy, no to znaczy, że te dodatkowe „zarobki” ciągną się od dawna. A jego zaprosili, bo im był potrzebny. I odpowiedni.

- Materiał na złodzieja - mruknął wchodząc po schodach kamienicy, w której mieszkał.

Maria otworzyła drzwi i prędko spojrzała na jego twarz. Ostatnio parę razy wrócił do domu podpity, tłumacząc niewyraźnie, że jakiś majster go zaprosił. Wiedziała, że od-

50

daje jej niemal wszystkie pieniądze, sobie zostawiając jedynie na papierosy i przejazdy tramwajowe. Za co pije? Widocznie ten majster płaci. Nie było to w porządku i dała mu któregoś dnia pieniądze, aby z kolei i on zaprosił majstra do baru albo do domu.

Ale dzisiaj Jan był trzeźwy i jakiś niepewny czy zatroskany. Zjadł obiad, unikając jej wzroku i odpowiadając półśłówkami na próby rozmowy. Potem długo bawił się z dziećmi, jakby chcąc nie dopuścić do nowych pytań z jej strony. Wyniósł, nieproszony, wiadro ze śmieciami, czym wzruszył ją trochę, a nawet zaniepokoił. Pomyślała, że może źle się czuje. Od tygodnia w Warszawie panowała grypa.

- Nie boli cię gardło? - spytała, zabierając się do cerowania Basynych fartuszków i pończoszek.

- Trochę - odparł i zakaszłał. Choroba, niegroźna, taka na którą nie trzeba zwolnienia lekarskiego z pracy, była w tej chwili dobrym pretekstem do milczenia. Zwłaszcza choroba gardła.

Nie chciał, nie mógł z Marią mówić teraz o czymkolwiek, bo wszystkie jego myśli obracały się ciągle dokoła problemu skór i garbarni. To nie było wcale takie proste. Czuł w sobie jakby dwóch ludzi, z których jeden cieszył się dobrym „zarobkiem”, perspektywą motocykla, domu, samochodu i tysiąca drobniaków, które można mieć jedynie za pieniądze... drugi zaś przeżywał godziny bynajmniej nie radosne. Mieszały się tu razem: strach przed wykryciem całej afery, i wyrzuty sumienia, z którymi wcale tak łatwo nie przychodziło mu się uporać, i jakiś niezrozumiały żal, że oto dzisiejszym dniem zamknął za sobą raz na zawsze furtkę do tamtego świata - do świata ludzi uczciwych.

Do tej pory nie miał przed Marią tajemnic i wiedział, że ona również ich nie miała. Był tego pewien. Od dziś będzie już konsekwentnie brnął w kłamstwie, udawał, że pieniądze wygrał w jakimś totku-lotku czy na loterii...

Przez chwilę pożałował, że ma uczciwą żonę. Gdyby Maria była złodziejką, o ileż byłoby mu teraz lżej.

- Tobie coś jest, Janku - odezwała się nagle, odkładając na bok niebieski fartuszek. - Czy nie możesz mi powiedzieć?

51

Przesunął ręką po czole i skrzywił się.

- Nie, nie - odparł znużonym głosem. - Głowa mnie boli. Zimno w tym magazynie.

- Czy naprawdę dobrze zrobiłeś, że zgodziłeś się na przeniesienie? - spytała nieśmiało. - Nie wiem, czy masz dosyć sił fizycznych na to dźwiganie skór, o którym opowiadałeś. Przecież to ciężka, fizyczna praca. Czy nie lepiej było jednak zostać w biurze?

Wzruszył ramionami.

- Nie sądzisz chyba, że się cofnę po tygodniu - rzekł niechętnie. - Trudno. Zobaczmy, co będzie dalej. Jeżeli nie dam rady, zawsze przecież mogę wrócić do pracy umysłowej. Nie tam, to gdzie indziej.

Mówiąc to, pomyślał, że właściwie ma jeszcze szansę wycofania się, o ile nie weźmie obiecanych czterech tysięcy.

Jeszcze mam szansę - szepnął do siebie i zagryzł wargi. Bał się, że Maria zacznie się czegoś domyślać. Wstał i mruknąwszy coś, wyszedł do kuchni, nalał sobie kubek herbaty, po czym sięgnął do małej apteczki w przedpokoju.

- Szukasz aspiryny? - spytała Maria, jak zwykle czujna i uważna. - Jest po lewej stronie, w płaskim pudełeczku. Połóż się, wezmę dzieci do kuchni, byś mógł zasnąć.

- Dobrze - odparł.

Naprawdę czuł się źle. Może to grypa? Rozebrał się szybko, połknął proszek i herbatę, po czym zgasił światło, zakrywając się kołdrą aż po uszy. „Ach, mam...” - szepnął, co robił zawsze, kiedy było mu źle. W ciągu dnia, tam w garbarni, wszystko szło łatwo. Wielkie rzeczy - odłożyć na bok kilkanaście skór, aby potem dostać za to pieniądze. Cztery tysiące... Ileż można za to mieć. Inne sprawy właściwie nie mają znaczenia. Cóż - do niego należało tylko nie zapisać. On przecież z samochodu nie ukradł, nie wyniósł na bazar, nie sprzedał na lewo. Tylko nie zapisał. I za to pieniądze.

Tak. Tam, w garbarni, wszystko było łatwe i proste. Ale potem w domu, zwłaszcza w nocy, gdy przewracał się bezsenne na swoim tapczanie, opadały go naraz tysiące wątpliwości i niepokojów. „Robię to dla Marii, dla dzieci” -

próbował uspokoić sumienie. Ale ono odpowiadało mu, że przede wszystkim dla WFM-ki, domu i samochodu. Dla nowego ubrania i płaszcza z futrzanym podbiciem. Dla czarnych butów z długimi, wąskimi noskami, jakie nosił Adamczak.

Dwa dni temu, nad samym ranem, obudził się z oczami mokrymi od łez. Śniła mu się matka, miała chmurną, smutną twarz i mówiła do niego „panie magazynierze”, zamiast jak zwykle „Jasiu”. „Nie jesteś już dla niej synem” - szeptał mu ktoś nad uchem. „Jesteś złodziej, złodziej i oszust. Kradniesz i jutro powieszą cię na Rynku Starego Miasta, o czwartej po południu”. Właśnie ten Rynek i popołudniowa godzina wzbudziły w nim, nie wiadomo dlaczego, taki żal, że obudził się ze łzami w oczach. Zły i rozdrażniony, prędko obrócił się na drugi bok, ale nie mógł już zasnąć.

Teraz pomyślał, że gdyby matka żyła, jej jednej byłby w stanie zwierzyć się ze skomplikowanej sytuacji. Tak, ale ona z pewnością kazałaby mu natychmiast rzucić magazyn, majstra Olańskiego i tych wszystkich tam...

Powoli ogarniało go zobojętnienie. Poczuł, że zasypia. Jutro to wszystko jeszcze raz przemyśli... może nie weźmie pieniędzy i będzie miał spokój. Jutro...

W kuchni Maria bawiła się z dziećmi w ich ulubioną zgadywanę, nad słuchując jednym uchem, czy Jan nie woła z pokoju, że hałasują i nie dają mu spać. Heniek rozbawił się na dobre i chichotał tak zaraźliwie, że Maria raz po raz wybuchała śmiechem. Basia wtórowała im, aż póki nie kiwnęła się nagle raz i drugi nad stołem, bo już była śpiąca. Maria spojrzała na zegarek i zerwała się z krzesła.

- O Boże, już dziesiąta. Dzieci, spać.

Ze względu na późną porę skróciła im wieczorne mycie do minimum i cicho wprowadziła do pokoju. Jan spał, odwrócony twarzą do ściany. Położyła mu rękę na czole: Było chłodne. „Aspiryna pomogła” - szepnęła do siebie.

Wróciła do kuchni. Czekają ją jeszcze dwie godziny nauki. Przygotowała sobie herbatę i kilka kromek chleba z serem, po czym rozłożyła skrypty i zeszyty, westchnęła,

52

53

bo trochę chciało jej się spać, i zabrała się do stenografii. Za trzy tygodnie miał być egzamin.

W dwa dni później, zanim Wilczyński zdążył namyślić się, do którego świata właściwie należy, na kilka minut przed końcem pracy usłyszał skrzyp drzwi i stanął w nich uśmiechnięty Olański.

- No, panie Jasiu, dobra nowina - powiedział, wyjmując z kieszeni przybrudzoną kopertę. - Przypadło na pana więcej niż cztery kawałki. Proszę.

Wilczyński zbladł. Chciał odpowiedzieć, że jeszcze nie wie, czy w ogóle weźmie. Że wolałby trzymać się jednak od tego wszystkiego z daleka. Ale na widok koperty, ręka jego bezwiednie wyciągnęła się i uchwyciła niebieski papier. „Tylko zobaczę, ile tam jest - pomyślał. - Prosta ciekawość, nic więcej. Jeszcze wcale nie wziętem”.

W kopercie było osiem tysięcy, w banknotach pięćset-złotowych. Szesnaście nowych, sztywnych banknotów. Jego prawie pięćmiesięczna pensja.

- Jak na loterii, co? - mruknął majster, widząc pobladłą z emocji twarz magazyniera. - Tyle, że bez ryzyka. I bez kłopotu. Schowaj pan, panie Jasiu, bo jeszcze kto nadejdzie. Cześć.

Wyszedł na podwórze i zniknął, zanim Wilczyński zdołał cośkolwiek wyjąkać. Machinalnie wsunął kopertę do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Teraz już po wszystkim - szepnął. - Wziąłem.

Na wpół przytomny zamknął magazyn na kłódkę i powłókł się do portierni aby oddać klucze. Wartownik w grubym kożuchu przyjrzał mu się spod oka i spytał:

- Czy pan nie chory?

- Febra mnie trzęsie - odmruknął, podpisując koślawo dokument zdawczy.

- Na takie coś to najlepszy jeden kielonek - rzekł poważnie portier, wieszając klucze w szafce na ścianie. - Albo i dwa - dodał po chwili.

Wilczyński minął bramę i, unikając byłych kolegów biurowych, którzy śpieszyli do tramwaju, szedł wolno

54

w stronę Śródmieścia. Zobaczył z daleka postój taksówek. Stała na nim czarna lśniąca „Wołga”, kierowca gryzł jabłko i czytał gazetę.

Nagle Wilczyński podszedł szybkim krokiem do wozu i zdecydowanym ruchem otworzył drzwiczki. Opadł na miękkie siedzenie, wysłane kraciastym, niebiesko-czarnym kocem i powiedział:

- „Cristal”, proszę.

Nie lubił tego baru, ale żaden inny nie przychodził mu w tej chwili na myśl, a do „Małego smakosza” nie chciał jechać. Wiedział, że dziś na pewno spotka tam Olańskiego i może Michalaka. Czuł w tej chwili, że ich nienawidzi.

W barze było tłoczno. Przez opary dymu dojrzał grupy mężczyzn, popijających wódkę pod gorące dania i sałatki. Przepchnął się do bufetu, wziął duży kieliszek czystej, potem stanął w kolejce do gorących dań. Zamówił bigos i flaki. Po pierwszym kieliszku nie odczuł jeszcze żadnej zmiany, więc szybko zamówił drugi. Zjadł oba dania, wziął kanapkę z czerwonym kawiozem. Po trzeciej wódce rozejrzał się nagle dokoła i powiedział do człowieka, który siedział obok niego na wysokim barowym stołku:

- To moja rzecz, co robię.

- Oczywiście - odparł tamten. - Zresztą mnie to nic nie obchodzi.

- Może pan myśli, że jestem pijany? Jak będę chciał, to się upiję. Mam prawo. Nikomu nic do tego. Nie chce pan ze mną wypić?

- Dlaczego nie? Jeżeli ma pan życzenie... Tylko z zakąską, jeśli łaska. Ja pod powietrze nie piję. Może być szynka albo sałatka.

Dochodziła siódma, kiedy Wilczyński wytoczył się z baru i o mało nie wpadł pod przejeżdżający autobus. Ktoś chwycił go za kołnierz jesionki i mocno postawił na nogi.

- Zmykaj, człowieku, bo cię milicja zabierze i wyśpisz się na Żelaznej.

Ktoś inny popchnął go łagodnie do stojącej tuż przy chodniku taksówki.

55

- No, wsiadaj. Zawieziemy cię do mamy. Gdzie mieszkasz? - Pochyliła się nad nim obca twarz, ziejąca alkoholem.

Z trudem kojarząc myśli, wybąkał adres. Ocknął się gdy stał już przed kamienicą, gdzie było jego mieszkanie. Wyciągnął portfel, aby zapłacić taksówkę, ale znalazł w nim tylko sześć złotych. Roześmiał się, sięgnął do wewnętrznej kieszeni, wydobył grubą kopertę. Na widok pięćsetzłotowych banknotów, dwaj mężczyźni, którzy go podwieźli, mrugnęli do siebie znacząco.

- Zostaw, bracie. My już zapłacimy - powiedział jeden, wręczając kierowcy, dwadzieścia złotych. Machnął ręką na resztę, taksówkarz podziękował i odjechał.

Wilczyński wszedł do sieni, tamci zbliżyli się z dwóch stron, podpierając go troskliwie pod ramiona. Tak doszli do drugiego piętra. Widząc, że sięga do dzwonka, obaj pożegnali się i znikli, zanim zdążył ich zaprosić do mieszkania.

Marii nie było w domu. Henio otworzył ojcu i krzyknął przestraszony, widząc jego czerwoną twarz i nieprzytomne oczy. Wilczyński zwałił się na chodnik w przedpokoju i zaczął wymiotować. Z pokoju wyszła Basia, przyglądała się ojcu przez chwilę, a potem powiedziała do brata:

- Tatę boli brzuszek. Trzeba wytrzeć podłogę...

Po wymiotach Wilczyńskiemu zrobiło się lżej i trochę oprzytomniał. Zawlókł się do łazienki, podstawił głowę pod kran, długo przemywał oczy i usta. Potem siadł na brzegu wanny i tępo spoglądał na przeciwległą ścianę.

W przedpokoju Henio, zaciskając mocno wargi i krzywiąc nos, zmywał trochę nieporadnie szmaciany chodnik. Basia przykucnęła obok, usiłując mu pomóc.

- Strasznie śmierdzi - mruknęła.

- Dobrze, że mamy nie ma - odparł chłopiec. Tarł tak mocno jak tylko umiał skromny chodniczek.

- Mama by się zmartwiła? - spytało dziecko, ściągając malutkie jasne brewki. - Pewnie by płakała, prawda?

- Nie. Mama nie płacze.

- To by dała tacie w skórę.

Wilczyński wyszedł z łazienki i przystanął, próbując zrozumieć, co tu się stało. Henryk nie patrzył na ojca. Do-

kończył wycierania, wyniósł szmatę do kuchni, a po namyśle wrzucił do wiadra od śmieci. Potem

powiedział do Basi:

- Chodź. Mama kazała jeść kolację.

- Gdzie jest mamusia? - spytał Wilczyński z trudem, bo miał czkawkę. - Mówiła... nie mówiła, kiedy wróci?

- Mama poszła do cioci Zosi. Ciocia zachorowała. Mama nie powiedziała, kiedy przyjdzie - odparł Henio, nie odwracając głowy i wyszedł z małą do kuchni.

Jan stał jeszcze przez chwilę w przedpokoju, kiwając się lekko na nogach. Potem wszedł do pokoju i zaczął się rozbierać. Zdjął zabrudzone palto, rzucił na podłogę szalik, rozpiął marynarkę. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni, uśmiechając się sennie.

- Chodźcie, dzieci - mruknął. - Tatuś da wam pieniądze. Dużo pie...

Znieruchomiał. Kieszeń była pusta. Zaczął gorączkowo szukać w innych, zerwał się z tapczana, obmacał płaszcz, wypróżnił kieszenie spodni, wywracając na wierzch podszewkę. Nie było ani koperty z ośmiu tysiącami, ani portfela, w którym miał dokumenty, legitymację służbową, listy, fotografie...

Długo siedział osłupiały, przerażony, wciąż nie mogąc zrozumieć gdzie i kiedy zgubił portfel, kopertę. Od chwili, kiedy wypił trzeci kieliszek i zaczął rozmawiać z jakimś obcym mężczyzną - nic nie pamiętał. Ocknął się dopiero w domu, na chodniku.

- Okradli mnie - mruknął, wstając z krzesła. Uczuł zawrót głowy i zatoczył się na ścianę, po czym wsparł się o nią i jęknął. - Nic, tylko mnie okradli... Heniuś! - krzyknął w stronę kuchni.

Chłopiec przyszedł niechętnie i stanął w progu, spoglądając na ojca spode łba.

- Heniuś, kochany - zaczął Wilczyński, z trudem dobierając słowa - kto mnie tu przyprowadził?

Henryk wzruszył wymownie ramionami.

- Tata sam przyszedł. Tata zadzwonił, ja otworzyłem. Nikogo nie było.

56

57

- Sam? Na pewno sam? Jak to możliwe... - szepnął na wpół do siebie, na wpół do dziecka. - Kiedy oni mnie okradli?

Chłopiec spojrzał na niego ze zdziwieniem i przestraszeniem.

- Tatusia okradli? - powtórzył. - Kto?

- Żeby to ja wiedział... Henryk pomyślał chwilę.

- A gdzie tatuś był przedtem? - spytał niepewnie.

- W barze „Cristal” - odparł Jan z roztargnieniem, myśląc o czymś innym. - A potem... - zawahał się. - Potem mi się zrobiło niedobrze. I już nic nie pamiętam...

- Pewnie tatuś zjadł coś niedobrego. Nie warto chodzić do baru. Mama dziś zrobiła takie świetne pierożki. I kompot z jabłek, całą michę. Czemu tatuś nie przyszedł?

- Bo, widzisz... No, mniejsza o to. Czy jest gorąca woda?

- Jest. Zrobić tatusiowi herbaty?

- Nie. To nie wiesz kiedy mama wróci?

- Pewnie nieprędko.

„Dzięki Bogu” - pomyślał Wilczyński. Złożył starannie ubranie, wyczyścił ile się dało płaszcz, jeszcze raz wytarł chodniczek w korytarzu. Potem otworzył drzwi i wyszedł do kuchni.

Chwiejąc się na nogach i mrużąc bolące oczy, wygrzebał w szafce resztki czarnej kawy, którą Maria kupiła na jakieś święto, zaparzył i wypił jeszcze gorącą, parząc sobie wargi i wciągając ustami powietrze. Chciał zatrzeć wszelkie ślady i opary alkoholu, zanim Maria wróci.

Potem Henryk umył Basię i siebie i położyli się spać. Wilczyński siedział jeszcze w kuchni, rozmyślając nad swoją sytuacją. Doszedł wreszcie do wniosku, że pieniądze, do których nie miał prawa, nie przyniosły mu szczęścia. A ponieważ był trochę przesądny, postanowił definitywnie skończyć z Olańskim i całą sprawą.

- Tak zrobię - rzekł do siebie, kładąc się na tapczanie i gasząc światło.

Maria wróciła dopiero przed dwunastą w nocy. Jan słyszał przez sen, jak rozbierała się cicho, aby nikogo nie zbudzić. Chciał powiedzieć jej od razu o kradzieży, ale zanim zdążył to zrobić, pogrążył się znowu w ciężkim śnie.

Następnego dnia, jeszcze przed pójściem do Centrali, Wilczyński wstąpił do komendy dzielnicowej MO i zameldował o kradzieży portfela. O tamtych pieniądzach nie wspomniał ani słowa. Doszedł do wniosku, że tak będzie lepiej. Trudno. Uchłał się jak świnia, nie pilnował, przepadło. Ale w portfelu były potrzebne dokumenty.

Dyżurny milicjant zaczął zapisywać jego personalia i nagle odłożył pióro na bok.

- Zaraz, zdaje mi się, że coś takiego już mamy - powiedział, zaglądając do szafy. Grzebał w niej przez chwilę, potem wydobył małą paczkę, owiniętą w gazetę. Rozwinął ją i Wilczyński z biciem serca poznał natychmiast swój stary, jeszcze ojcowski portfel.

- Mój! - krzyknął. - To ten sam. Gdzie on był? Jak panowie znaleźli?

Przemknęło mu przez myśl, że może w środku jest i koperta z pieniędzmi, a wówczas okaże się, że był

ostatnim idiotą, nie meldując o kradzieży ośmiu tysięcy.

Tymczasem milicjant powoli, metodycznie wyjmował z portfela dokumenty, listy, fotografie. Koperty nie było. Wilczyński poczuł jednocześnie żal i ulgę.

- Ile pan miał pieniędzy? - spytał dyżurny.

- Kilka złotych z groszami - uśmiechnął się blade. - Chwilowa bryndza, wie pan... Tak się złożyło.

Milicjant pokiwał głową i oddał mu portfel.

- Nasz patrol znalazł to na Wilczej, niedaleko komendy. Widocznie złodziej zobaczył, że w środku nie ma grubszej forsy i wyrzucił na ulicę. No, proszę - podał portfel Wilczyńskiemu. - Jeśli wpadniemy na jakiś ślad, to pan otrzyma wezwanie.

Jan podziękował i wybiegł, aby nie spóźnić się z otwarciem magazynu. Był wzruszony tak szybkim odnalezieniem dokumentów. Po wczorajszym picu bolała go głowa z tyłu czaszki i nad oczami, a w ustach czuł niesmak.

Otworzył magazyn, wydał skóry do oddziału mokrego, dorzucił kilka „lewych”. To było już i tak wszystko jedno, chciał jak najprędzej pozbyć się ich z magazynu. Dotrwa tutaj do końca miesiąca, potem wróci do biura. Niech

58

59

Adamczak gada co chce, najwyżej da mu ze dwa razy w mordę, aż się uspokoi. W domu zabierze się do jakiejś dodatkowej roboty. Zna niemiecki, jeżeli się podciągnie, będzie mógł chyba coś tłumaczyć. Może nawet z zagadnień garbarskich.

Stanął we drzwiach, wypatrując Olańskiego. Wreszcie dojrzał go, jak szedł przez podwórze. Machnął ręką w jego stronę, pokazując, że sam nie może odejść. Olański powiedział coś do idącego z nim Michałaka i wszedł do magazynu.

- Panie Wacławie kochany - zaczął Jan z determinacją w głosie - chciałem panu powiedzieć, że ja już więcej nie... żebyście więcej na mnie nie liczyli. Ja tak nie mogę. Nie potrafię. No, boję się! - dodał, widząc jak twarz majstra zastyga w jakimś ostrym odpychającym wyrazie. - Naprawdę boję się. I nie umiem. Ja, oczywiście, nigdy nie zapomnę, że pan chciał dla mnie... że był pan tak dobry. I nigdy nikt ode mnie nic się nie dowie. Ale ja sam już nie.

Olański milczał długo, wpatrując się w niego jakimś dziwnym wzrokiem i poruszając ustami. Wreszcie westchnął, podrapał się po brodzie i rzekł lekkim tonem:

- No cóż... W porządku. Jeżeli pan nie chce, to trudno.

- Widzi pan - odparł Jan, ucieszony tak prostym rozwiązaniem sprawy - może ja jestem za młody, za

głupi. Ale nie potrafię...

- W porządku - powtórzył Olański. - Oddaj pan tylko te osiem tysięcy i jesteśmy kwita. Aha, i pięćset złotych, com panu pożyczył. Razem osiem pięćset.

Wilczyński pobladł i poczuł, że serce zaczyna mu walić mocno, ciężko.

- Ja... jak to? - wyjąkał. - Te pieniądze? Przecież ja je zarobiłem. Przecież ja nie zapisałem tamtych skór. Ja tylko na przyszłość nie chcę już więcej... Panie Wacławie!

Dalsze słowa u więzły mu w gardle, bo majster zbliżył się nagle do niego, chwycił go mocno za kołnierz kożucha pod szyją i przysuwając swoją twarz do jego twarzy, zaczął szeptać ze wzrastającym gniewem.

- Nie, chłopczyku. Nic z tego nie będzie. Osiem pięćset chcę tu widzieć, na mojej ręce i to najdalej do jutra.

A cóżeś pan myślał, że sobie kpiny będziesz z nas robił? Za frajera nas masz... Co? To ja tydzień czasu straciłem, aby ciebie garbarstwa i magazynowania nauczyć, własną forszę pożyczyłem, gruby zarobek dałem, a teraz jaśnie panu się odechciało? Boi się? Teraz znowu mamy szukać innego magazyniera? Ach, ty kundlu biurowy, ty pokrako sakramencka, ja cię tak urządzę, że popamiętasz... Albo do jutra osiem i pół kawałka zobaczę, albo pan szanowny od naszego towarzystwa przestaniesz się wymigiwać. Jak nie, to dziś, zaraz, idę do dyrektora Gilewskiego i tak cię obtańcuję przed nim, że popamiętasz.

Oderwał ręce, pchnąwszy Wilczyńskiego, aż tamten się zatoczył i patrzył na niego prawie z nienawiścią-

- No? - rzucił ostro, wyciągając z kieszeni papierosy i zapałki. - Decyduje się pan. Ale już! Czekam dwie minuty - spojrzął na zegarek.

Zapalił, zaciągnął się głęboko i usiadł przy stole, nie spuszczać wzroku z magazyniera.

Wilczyński milczał i rozcierał sobie szyję. Milczał tak długo, aż tamten wstał i powtórzył:

- No? Jak będzie? Gadaj pan!

- Dobrze - odparł Wilczyński twardym głosem. - Zostaję z wami. Nie mam ośmiu i pół tysiąca, bo mnie wczoraj okradli. Więc nie mam wyboru, Niech będzie, co ma być.

Trochę niepewnie wyciągnął do majstra rękę- Ale Olański chwycił ją mocno, potrząsnął kilka razy i rzekł już spokojnym głosem:

- Co panu nagadałem, to zapomnij. Człowiek w gniewie niejedno mocne słowo powie... Ja nie po to, żeby obrazić. Mówisz pan, że okradli? Gdzie?

Wilczyński opowiedział szczerze, jak było. Olański słuchał ze zmarszczonymi brwiami, potem zastanowił się przez chwilę i wyciągnął portfel.

- Masz pan tysiąc - podał mu dwa banknoty. - Niech to będzie na konto przyszłych zarobków. W

przyszłym tygodniu, zaraz po niedzieli leci nowa partia skór", to mi pan oddasz. No, bierz i nie certuj się. Przy drugiej prowizji potrączę panu półtora kawałka i kwita.

60

61

- Dziękuję - powiedział Wilczyński prawie obojętnie i schował pieniądze do portfela. - Ostatnie skóry, te nasze, wypchnę pewnie do południa, albo jutro z rana.

- No i w porządku. A ja bym i tak tutaj przyszedł, bo będzie pan nam potrzebny. Wywozimy dzisiaj całą partię. Siedemset sztuk. Ekstra klasa gatunek, same najlepsze krupony i boksy cielęce. Michalak na dziś się zwolnił, że niby chory, ale pan też jesteś potrzebny.

- A magazyn?

- Magazyn się zamknie o dwunastej. Wywieszisz pan kartkę, że poszedłeś do lekarza, na rejon. Do prześwietlenia czy co tam wymyśl.

- A jak w mokrym będą potrzebowali skór?

- Nie będą. Biernacki już wie. Pies z kulawą nogą do magazynu nie przyjdzie. Zresztą, oni mają w tej chwili pełne wanny.

Wilczyński chciał zapytać, co będzie jak przyjdzie dyrektor Gilewski, ale coś go przed tym powstrzymało. Popatrzał na zegarek. Dochodziła jedenasta.

- Zamknie pan o dwunastej, klucze zostawi pan jak zwykle u portiera i wyjdzie na ulicę. Będzie pan czekał na przystanku tramwajowym. Pojedziemy naszą ciężarówką, ja będę siedział obok kierowcy Malewskiego, pan wskoczy z tyłu wozu i siądzie pod plandekę. Na skrzyniach ze skórą będzie leżała ziemia torfowa, dla ogródków działkowych. Tylko niech pan nie spóźni się ani o minutę.

Punktualnie o dwunastej w południe Wilczyński zamknął na kłódkę drzwi magazynu i zatknął za nią kartkę: „Wyszedłem do lekarza, na miasto. Magazyn już nieczynny”. Był zupełnie spokojny i opanowany, bał się tylko trochę, że na drodze do portierni spotka dyrektora. Nie bardzo wiedział, czy ma prawo zamykać magazyn na całe cztery godziny.

Minął czerwony budynek oddziału mokrego, przeszedł obok wykańczalni („Olańskiego już tam pewnie nie ma” -pomyślał) i tuż za zakrętem omal nie zderzył się z dyrektorem Euzebiuszem Gilewskim.

- O, bardzo przepraszam! - zawołał, odsuwając się na bok.

Gilewski minął go obojętnie, kiwnąwszy głową. Szedł jednak wyraźnie w stronę magazynu i Wilczyński zatrzymał się niezdecydowany. Pójść za nim i wytłumaczyć, czy zwiewać, zanim dojdzie do drzwi? - zastanawiał się, rozcierając ze-sztywniałe z zimna ręce. Rzucił okiem na zegarek. Raptem puścił się klusem w stronę portierni. Położył klucze na stoliku, z trudem opanowując się, aby nie zdradzić zdenerwowania, wytłumaczył portierowi, że magazyn już dzisiaj nie będzie otwarty, starannie zapiął

płaszcz, powiedział „do widzenia” i wyszedł za bramę. Do przystanku było nie więcej niż sto metrów. Wilczyński przebył je równym, spokojnym krokiem z rękami w kieszeniach i papierosem w ustach. Czuł w sobie zdecydowanie, graniczące z zawziętością. Jeżeli tak, myślał, jeżeli nie mam innego wyjścia, no to trudno. Będę kradł. Zostałem do tego zmuszony, zaszantażowany, postawiony wobec alternatywy, z której tylko jedno wyjście było możliwe do przyjęcia, To właśnie wybrałem.

Rozum podszeptował mu wprawdzie, że znalazłby na pewno kilka innych dróg postępowania, ale Wilczyński nie chciał go w tej chwili słuchać.

A poza tym, rozmyślał dalej, gdybym się teraz nie zgodził - powiedzmy nawet, że gdzieś pożyczę te osiem tysięcy pięćset - to oni z pewnością zaczęliby się mścić. Baliby się, że ich wsypię. Mogliby mnie nawet zabić. Taki Olański... Mimo woli dotknął ręką bolącej szyi. Albo Michalak. Ponury, milczący, twardy facet. Kto wie, kto tam jeszcze w to wszystko jest wmieszany. Olański mówił, że nie takie głowy, jak moja i jego o tym myślą. Może ktoś ze Związku Garbarskiego? Sam prezes, czy ktoś z warszawskiego oddziału... Licho wie.

Doszedł do przystanku. Wyrzucił papierosa, zdeptał i spojrzał w stronę bramy Centrali. Na ulicy nie było żadnej ciężarówki. Widocznie jeszcze nie wyjechali. Popatrzał raz jeszcze i nagle struchlał. Trochę z boku stał czarny mercedes dyrektora Gilewskiego, a przy nim sam dyrektor, jak gdyby na coś czy na kogoś czekał.

- O, cholera! - mruknął do siebie Wilczyński, nie wiedząc, co teraz robić, bo właśnie nadjeżdżał tramwaj. Żeby

62

63

choć był tłok - ale to nie o tej porze... Jak na złość tramwaj był prawie pusty. Co robić? - rozmyślał gorączkowo, nie spuszczać wzroku z samochodu. Wsiadajże, idioto - popędzał w myślach dyrektora - i jedź sobie na złamanie karku. O, Boże, co ja mam robić... On na pewno mnie widzi, bo patrzy w tę stronę. Jeżeli nie wsiądę, podejdzie i spyta, po co tu stoję. Nie mam nawet żadnej kartki do lekarza, nie mogę mu nic pokazać, stary głupiec ze mnie, trzeba było sobie coś przygotować... No, już. I co teraz?

Tramwaj stanął. Wsiadły dwie osoby, konduktor wychylił się i spojrzał na Wilczyńskiego pytająco. Wiedział, że z tego przystanku wsiadają pracownicy Centrali Garbarskiej, których bardzo poważał, bo niektórzy dostarczali mu za darmo kawałki skóry.

Wilczyński rozpaczliwie zakręcił się w kółko, raz jeszcze popatrzał w stronę bramy i zastygł w miejscu z otwartymi ustami. Z Centrali wytaczała się wolna ciężarówka, skręcając w stronę przystanku tramwajowego. Obok kierowcy siedział Olański. Widział go wyraźnie, bo majster wyjrzał i krzyknął coś do portiera, który stał na chodniku.

Konduktorowi znudziło się, zadzwonił i tramwaj odjechał. Wilczyński myślał z natężeniem, jak by tu dać znać Olańskiemu, że na jezdni czeka czarny mercedes, a w nim dyrektor. Na pewno zainteresuje się

transportem, podejdzie, zobaczy ziemię torfową, zażąda wytłumaczenia, a wtedy...

- Zgniję w kryminale - mruknął z rozpaczą. - Zaraz tu będzie milicja. Zaraz dyrektor...

Ciężarówka zbliżała się. Dyrektor nie podszedł, nie zatrzymał jej, nie zajrzał do środka. Przeciwnie. Wsiadł do swego mercedesa i z wolna ruszył za tamtymi. „Chce nas złapać” - pomyślał Wilczyński. Na więcej wniosków nie miał już czasu, bo samochód zatrzymał się i Olański spojrzął na niego porozumiewawczo.

- Niech będzie co chce - szepnął magazynier. Podbiegł z tyłu do ciężarówki, wskoczył pod plandekę. Wóz ruszył teraz ostro, ziemia torfowa sypała się ze skrzynek, którymi wstrząsało i kolebało.

Wilczyński zerknął do tyłu. Czarny mercedes posuwał się za nimi jak cień, choć w pewnej odległości.

Podsunął się ostrożnie w głąb samochodu i dopełzył z pewnym trudem do małej szybki, oddzielającej platformę od siedzenia kierowcy. Szybę można było odsunąć, więc zrobił to i dotknął ramienia Olańskiego. Majster odwrócił się natychmiast, patrząc pytająco.

- Za nami od portierni jedzie dyrektor - szepnął Wilczyński wprost do jego ucha. - Swoim autem jedzie. Cały czas za nami. Co teraz będzie?

Olański uśmiechnął się lekko.

- A co ma być? - odparł. I obaj z kierowcą wybuchnęli śmiechem.

Wilczyński cofnął głowę i przez chwilę siedział nieruchomo, drapiąc się po nosie. Jeszcze nie wierzył, ale to, co usłyszał wyjaśniło mu - musiało wyjaśnić - wiele rzeczy.

A więc dyrektor Gilewski też...

Zasunął z powrotem szybkę, poprawił szalik, bo przeniknął go chłód i nagle parsknął śmiechem. Ludzie, co to za heca. Ten wielki, szanowny, gromiący na zebraniu złodziejstwo - dyrektor. Ten, który ustalił nagrody za wykrycie... nie, to wprost nie do uwierzenia. Jak to jest w tej piosence? „Nie do wiary po prostu, że można się kochać aż tak”. Nie do wiary po prostu, że może być aż taka sitwa złodziejska z dyrektorem na czele.

A może Olański kłamie? Właściwie on przecież wcale nie powiedział, że dyrektor też. Może po prostu tamci wiedzą, że dyrektor jedzie na jakąś naradę i droga wypadła mu akurat na tej trasie, przynajmniej częściowo.

Obejrzał się. Mercedes wytrwale wciąż podążał za nimi. Za mostem Wilczyński zorientował się, że jadą gdzieś na południe, poza Warszawę. Tak jakby do Świdra czy Józefowa. Przypomniał sobie, że Michalak ma w tych okolicach willę i zaciekało go, czy jadą do niego. Nie wiedział, gdzie jest melina, w której składa się skradzione skóry. No bo przecież nie sprzedają ich chyba z miejsca, wszystkie siedemset sztuk. Kto by kupił tyle na raz?

Raptem struchlał. Na szosie, którą teraz jechali, stał milicjant ze służby ruchu i podniesionym „lizakiem” nakazywał zatrzymanie wozu. Kierowca Malewski posłusznie przyhamował. Milicjant podszedł do opuszczonej szyby, zsalutował i poprosił o papiery samochodu oraz prawo jazdy. Wilczyński, wstrzymując oddech ze strachu, patrzył jak Malewski podaje papiery, jak milicjant przegląda je uważnie, porównuje z numerem rejestracyjnym ciężarówki, wreszcie oddaje.

- Co jest na wozie? - spytał podnosząc plandekę. Zobaczył Wilczyńskiego, uniósł lekko brwi, ale nic nie powiedział.

- Ziemia torfowa - odparł za kierowcę Olański. - Wieziemy do Anina, dla naszego dyrektora, ma tam willę i ogródek.

- Czy ma pan zezwolenie na wyjazd służbowym wozem?

Tym razem odpowiedział Malewski, że tak i podał milicjantowi jakiś papier. Ten przeczytał go, zwrócił i zapytał jeszcze, ruchem głowy wskazując na Wilczyńskiego.

- A ten obywatel co tu robi? Na łebka pan gości wozisz?

- To nasz pracownik - odezwał się znów Olański. - Sami nie dalibyśmy rady, a trzeba szybko to wszystko zrzucić i wracać.

- No, można jechać? - rzucił Malewski niecierpliwie. - Bo nie zdążę na czas do bazy. Można jechać, panie władza?

I nie czekając na odpowiedź zapuścił motor. Milicjant kiwnął głową, odstąpił od wozu, zdjął czapkę i przeczesywał palcami gęste ciemne włosy. Potem ziewnął.

Wilczyński odetchnął i poprawił się na niewygodnym siedzeniu. Raptem przypomniał mu się dyrektor. Obejrzał się. Ale czarny mercedes znikł jak kamień w wodę. Może więc dyrektor rzeczywiście jechał w zupełnie innej sprawie, a do ciężarówki nie zaglądał, bo mu na myśl nie przyszło, że coś jest nie w porządku.

Po pół godzinie jazdy samochód skręcił w lewo, na piaszczystą leśną drogę. Czas jakiś posuwał się nieco wolniej, potem Malewski skręcił jeszcze raz, wjechali na brukowaną aleję. Po obu jej stronach stały, przeważnie piętrowe

wille i domki, otoczone ogrodami w obramowaniu gęstej, porządnej siatki. Przed jedną z nich, wyższą i bodaj najładniejszą, stał czarny mercedes i tuż obok niego Malewski zatrzymał ciężarówkę.

Jan zeskoczył z wozu, rozglądając się ciekawie dokoła. Spozrzegł samochód dyrektora i poszukał wzrokiem Olańskiego, aby wreszcie upewnić się, czy Gilewski też w tym wszystkim macza palce.

- Panie Wacławie - szepnął, stając tuż za nim - proszę mi powiedzieć, czyja to willa? Czy dyrektor jest z nami?

Olański machnął ręką niecierpliwie.

- Nie masz pan oczu, czy co? - odburknął niechętnie. - Dalej, zsypujemy najpierw ziemię. Weź pan łopatę, tam jest na wozie.

Z willi wyszedł Gilewski, w swoim kożuszku z czarnym futerkiem i z łopatą w ręku. We czwórkę, nie mówiąc wiele, wzięli się do roboty. Lekka torfowa ziemia utworzyła wkrótce spory kopczyk tuż pod siatką ogrodzenia. Wtedy Gilewski rzucił łopatę, wszedł do willi i szeroko otworzył drzwi wejściowe.

- Wnosimy - rzekł majster do tamtych i ujął za krawędź pierwszej z brzegu skrzyni ze skórami. Stęknął, podsunął plecy, a kierowca ułożył mu skrzynię na grzbiecie. Olański przygiął się trochę pod ciężarem i niósł go ostrożnie po schodach wiodących do hallu.

Malewski wpakował Janowi drugą skrzynię, a sam, lekko i zręcznie, zsunął sobie trzecią na plecy. Szli teraz gęsiego, wpierw po kilku stopniach, potem po czerwonym kokosowym chodniku w przedpokoju. Olański, widocznie dobrze znając drogę, skręcił od razu w lewo i przez otwarte obie połowy oszklonych drzwi wszedł do dużego pokoju.

Wilczyński jako ostatni stanął w progu i krzywiąc się trochę, bo skrzynka była ciężka, patrzył ze wzrastającym zdumieniem na olbrzymi, puszysty dywan zaścielający całą podłogę, na piękny, kuty w brązie żyrandol, zwisający od sufitu, na ciemnoczerwone mahoniowe meble, wybite srebrzystym pluszem... Zagapił się tak dalece, że wypuścił z rąk skrzynkę, która o mało nie

66

67

przyniotła stojącego przed nim Malewskiego. Poczzerwieniał, schylił się i uczył, że ktoś pomaga mu umieścić skrzynkę z powrotem na plecach. Obejrzał się ostrożnie. Był to Michalak, jak zawsze surowo i uważnie patrzący prosto w oczy. „Aha, to on tak choruje” - pomyślał przelotnie. Na więcej rozważań nie było czasu, bo oto przeciwnie ściana, z której przed chwilą dyrektor zdjął duży obraz, raptem otworzyła się, ukazując ciemną głąb. Z tej głębi powiało ostrym zapachem skóry i jakichś środków dezynfekcyjnych.

Wilczyński osłupiałymi ze zdumienia oczami patrzył jak Olański podchodzi bliżej do otworu i składa na dywanie skrzynkę. To samo zrobił Malewski, więc i on przysunął się, z ulgą zsuwając z pleców ładunek. Myślał, że będą teraz rozbijać skrzynki, bo zrozumiał już, że w ciemnym wnętrzu schowka kryje się magazyn. Ale Olański bez słowa zawrócił do przedpokoju. Poszli za nim, znowu po skrzynki. „Oczywiście - myślał - niebezpiecznie byłoby trzymać je długo w samochodzie na otwartej drodze”. Zaczynał pojmować, że cały system kradzieży opracowany został z najdrobniejszymi szczegółami, aby niczego nie zaniedbać i nie dopuścić do najmniejszego potknięcia.

Dwie ostatnie skrzynki zabrali we dwójkę, bo Malewski pozostał już przy samochodzie. Majster zamknął drzwi wejściowe, machinalnie wytarł nogi w chodnik i weszli do pokoju. Gilewski pracował przy skrzyniach, zręcznie układając skóry na czymś, co stało w otworze. Jan podszedł z pękiem welurów i zobaczył, że to był po prostu wózek, mały wózek kołowy umieszczony na szynach, które biegły w głąb

magazynu. „Ale robota!” - pomyślał i spojrzął z uznaniem, na Gilewskiego. Ten odwzajemnił mu się krótkim uśmiechem, odebrał welury, położył na wózku i pchnął go po szynach.

W magazynie paliła się elektryczna lampa. Jan dojrzał w głębi Michalaka, który zdejmował skóry z wózka, sortował, liczył, zapisywał i układał na półkach pod ścianami.

- Zupełnie jak w prawdziwym magazynie - mruknął bezwiednie.

68

- A bo to nie prawdziwy? - zaśmiał się majster. - Skóry są, półki są, książka przychodu i rozchodu jest, nawet transport wewnętrzny i oświetlenie... czego pan jeszcze chcesz, panie Jasiu? U nas wszystko musi się zgadzać co do jednej skórki. Nie tak, jak u pana - zażartował, trącając go łokciem w bok.

- Niemczak zamówiony? - spytał dyrektor, przyglądając się jednej, wyjątkowo ładnej skórcie cielęcej.

- Będzie w piątek - odezwał się Michalak z głębi magazynu.

- Ile weźmie na raz?

- Chyba pięćdziesiąt sztuk, nie więcej. On nie ma gdzie chować. Koniec, dyrektorze - oznajmił, zamykając książkę w czarnej okładce, w której zapisywał skóry.

- Dobrze, dziękuję. - Gilewski dotknął dzwonka, umieszczonego obok stolika z telewizorem. Po chwili do pokoju weszła wysoka, przystojna kobieta w dzianinowej, ciem-nopopielatej sukni, ozdobionej kilkoma sznurami ciężkich koralii. Przywitała się z Olańskim i Michalakiem, którzy z pewnym namaszczeniem ucałowali jej rękę, po czym zwróciła pytający wzrok na Wilczyńskiego. Ten zmieszał się lekko i ukłonił, a Gilewski ujął go poufałym ruchem za ramię, mówiąc:

- To jest, widzisz, moja droga, nasz nowy magazynier, pan Wilczyński. Panie... przepraszam, nie wiem jak panu na imię? - uśmiechnął się z lekkim zażenowaniem. - To jest moja żona.

- Jan - odparł Wilczyński, całując rękę pani domu.

- Skończyliście? - Gilewska spojrzała na męża. - To proszę do jadalni na małą przekąskę. A gdzie pan Malewski?

- Skoczę po niego - zawołał Wilczyński i wybiegł na ganek. Malewski stał oparty o samochód i palił papierosa. Usłyszawszy o „małej przekąsce”, odrzucił „Giewonta” i podrapał się w głowę niezdecydowanie.

- Nie chce pan iść? - spytał Wilczyński zdziwiony. Podobała mu się elegancka willa, przystojna pani domu, świetna organizacja kradzieży i w ogóle wszystko. Dawne obawy i nastroje uleciały, zdawało się, bezpowrotnie. Czuł

69

się dumny, że on - skromny magazynier - będzie teraz jadł i pił w towarzystwie samego dyrektora i jego żony. Przez chwilę pożałował, że nie widzi go Adamczak albo Na-mitkiewicz. „Cóż oni tam wywalczą, za tymi biurkami” -myślał prawie z litością. Zapomniał, że jeszcze dwa tygodnie temu sam siedział za biurkiem, a na widok dyrektora uciekał zazwyczaj na drugi koniec korytarza. Bał się go i nie lubił jednocześnie. Zazdrościł mu pięknego mercedesa, zazdrościł pewności siebie i tego miru, jakim Gilewski cieszył się od dawna w całej Centrali. I nie tylko w Centrali. Na jakimś zebraniu widział, z jakim szacunkiem patrzą i odzywają się do niego przedstawiciele Zarządu Głównego Związku Garbarskiego. Raz nawet był u nich na naradzie sam dyrektor departamentu z ministerstwa i też Wilczyński dostrzegł, że tamten odnosi się do „ich” dyrektora z dużym uznaniem.

- Nie chce pan iść? - powtórzył i zląkł się, że tymczasem tamci zaczną jeść bez niego. Był zresztą porządnie głodny.

- Cholernie nie lubię patrzeć, jak inni piją - odparł kierowca niechętnie. - Wiesz pan, to tak jakby głodnemu pchać pod nos kawałek sztucznej kiełbasy. Takiej „atrapy” z okna wystawowego.

- A pan pić nie może?

- Coś pan, na mózdzek upadł? - obruszył się Malewski, kiedy wchodzili po schodach. - Za pierwszym zakrętem władza lizakiem mnie zatrzyma i balon każe nadmuchać. Żebym jeden kieliszek wypił, a i tak to cholerne bydlę zaraz się zazieleni jak trawa.

- Jakie znów bydlę?

Ale Malewski nie odpowiedział, bo wchodzili już do jadalni. Była urządzona niemniej komfortowo niż pierwszy pokój. Znowu dywan, tym razem płaski (chyba autentyczny „pers” - pomyślał Wilczyński, który trochę znał się na dywanach). Znowu kuty, wspaniały żyrandol z kryształowymi świecznikami. Meble tym razem z orzecha kaukaskiego: na środku owalny stół, dokoła niego miękkie krzeselka, pod ścianami ciężki kredens i tak zwany „pomoc-

nik”, szafka pełna srebrnych i platerowych kompletów sztućców, stolik z radiem...

Na stole, nakrytym obrusem z żyrdowskiego lnianego płótna, stało mnóstwo półmisek z wędliną, sałatkami, plastrami żółtego sera. W świetle żyrandola mieniła się kryształowa karafka z wódką. Gilewska przyniosła z kuchni salaterkę z konserwowymi ogórkami i marynowaną papryką faszerowaną mięsem.

Przez chwilę wszyscy jedli w milczeniu, spiesząc się trochę, bo zrobiło się już późno. Dyrektor napełnił kieliszki, przy Malewskim zatrzymał się i spojrzał pytająco, a kierowca smutnie ale stanowczo potrząsnął głową.

- Lepiej nie - rzekł wzdychając, bo mu było żal. - Nigdy nie wiadomo, czy władzy po drodze nie spotkamy. Na tej trasie patroli lubią jeździć wieczorami.

Gilewska przysunęła Janowi półmisek z baleronom i uśmiechnęła się uprzejmie, a widząc, że się krępuje, sama położyła mu parę plasterów na talerz.

- Niech pan je - rzekł dyrektor z pełnymi ustami, dokładnie przeżuwasz każdy kęs, bo cierpiał trochę na żołądek. - Napracował się pan solidnie.

Wilczyński poczerwieniał z zadowolenia. Mimo woli zerknął na Olańskiego, czy słyszał pochwałę. Majster jednak pochłonięty był całkowicie sałatką śledziową, do której dołożył sobie sporego ogórka.

Gilewska jadła mało, skubiąc od niechcienia płatki różowej szynki. Od czasu do czasu spojrzenie jej przesunęło się po twarzach czterech mężczyzn, siedzących za stołem, a wówczas lekki uśmiech rozchyłał jej pełne, umalowane wargi. Jan złapał raz wzrokiem ten uśmieszek i zdawało mu się, że widzi w nim trochę ironii. Pomyślał jednak, że pani dyrektorowa powinna być chyba zadowolona z dobrze wykonanej roboty - przywieźli, jak by nie było, siedemset sztuk najlepszej skóry - nie ma więc powodu, aby spoglądać na nich z ironią.

Olański uniósł w górę kieliszek i powiedział:

- Za pomyślność i dalsze powodzenie. W pańskie ręce, dyrektorze. A raczej, przepraszam... w piękne rączki pań-

70

71

skiej małżonki, oby nam patronowała, bo pod szczęśliwą gwiazdą widać urodzona.

Wilczyński bezwiednie opuścił rękę pod stół i cicho od-stukał.

ROZDZIAŁ IV

- To co mi pani radzi? - spytał niezdecydowanie, wciąż rozglądając się po półkach i gablotkach.

Sprzedawczyni uśmiechnęła się.

- Może coś z ciepłej bielizny? - spytała, kładąc na ladę różowy komplet w celofanowym opakowaniu. - Nadeszły właśnie wczoraj. Są komplety czeskie i niemieckie. Czeskie chyba ładniejsze.

Wilczyński wziął do ręki szeleszczące zawiniątko i obejrzał.

- Mogę wziąć trzy - rzucił niedbale. - Każdy w innym kolorze. I dwie damskie jedwabne piżamy - dodał. - Niech pani dołoży jeszcze kilka par pończoch. Najlepszych.

- Jaki rozmiar? - zapytała ekspedientka, lekko oszołomiona taką lawiną sprawunków na kilka dni przed pierwszym.

Wilczyński wzruszył ramionami.

- Och, nie wiem. Żona jest chyba tego samego wzrostu co pani. Szczupła. Jeżeli są chusteczki, proszę dołożyć tuzin. Tych najdroższych.

Zapłacił prawie dwa tysiące złotych, wziął spory pakunek pod pachę i wyszedł, pogwizdując cicho, zadowolony z wrażenia, jakie na sprzedawczyni „Galluxu” zrobiły jego zakupy.

Tak, mógł wydać nawet więcej. Dziś w południe Olań-ski wypłacił mu to, co „zarobił” jeżdżąc ze skórą do Anina. Po odciążeniu długu, pozostało jeszcze około sześciu tysięcy złotych. Kupił dzieciom duże pudełko czekoladek,

sobie jedwabny szalik i trzy metry szarej eksportowej flaneli na ubranie, którą od razu zaniósł do znajomego krawca. Krawiec pochwalił gatunek materiału i obiecał, że uszyje - wyjątkowo - w ciągu tygodnia.

Na Pięknej obok sklepu samoobsługowego złapał taksówkę, rzucił adres, rozparł się wygodnie. Kierowca spoglądał co jakiś czas w lusterko i widział uśmiechniętą twarz swego pasażera. W końcu nie wytrzymał i spytał żartobliwie:

- Chyba w totka pan wygrał, bo pan taki zadowolony... Wilczyński ocknął się z zadumy.

- A tak - odparł uprzejmie. - W totka. I parsknął śmiechem.

- Dużo? - spytał tamten, trochę zazdrośnie.

- Dziesięć patyków.

Nagle coś mu się przypomniało i zawołał:

- Niech pan zatrzyma przed tym sklepem. Ja za chwilę wrócę.

Wszedł do dużego, nowoczesnie urządzonego sklepu wędliniarskiego. Kolejka była wyjątkowo krótka, stanął więc, przyglądając się, jak dwie ekspedientki kroją szynkę, polędwicę i baleron. Szynka była tłusta, postanowił wziąć polędwicę. Doszedł do lady, poprosił o pół kilo.

- Pokroić? - spytała energiczna blondynka z nosem usianym piegami.

- Proszę.

Zapłacił w kasie, odebrał zawiniątko w białym papierze i już miał wyjść ze sklepu, gdy coś go tknęło. Zatrzymał się pod oknem i rozwinął pakunek. Poczzerwieniał z gniewu i szybko przycisnął się z powrotem do lady.

- Proszę pani, co pani mi tu dała? - zawołał podniesionym głosem, kładąc na wadze swój sprawunek. - Co to ma być?

I pokazał palcem na spory kawałek baleronu, podłożony pod ładnie ukrojone płatki polędwicy. Ekspedientka wzruszyła ramionami i z ostentacyjnym uśmiechem zdjęła baleron, kładąc na to miejsce plasterek polędwicy.

- O to jedno deko tyle szumu pan robi? - spytała wzgardliwie.

72

73

- To jest oszustwo, czy pani nie rozumie? - odparł, patrząc na nią gniewnym wzrokiem. - I wcale nie deko, a co najmniej pięć. O widzi pani? - położył na wadze - nawet więcej niż pięć. Chciała mnie pani naciąć na kilka złotych. Mam powiedzieć, jak to się nazywa?

Kilka osób, stojących w kolejce, przysłuchiwało się tej scenie z dużym zainteresowaniem. Tylko jakiś mężczyzna, na samym końcu „ogonka” mruknął niecierpliwie, że nie ma o co się sprzeczać, i żeby prędzej się posuwali, bo jemu się spieszy.

- Nic mnie nie obchodzi, jak pan tam to nazywa i co pan myśli - odparła sprzedawczynie ostro. - Proszę, co dla pani?

Ale Wilczyński nie zamierzał tak szybko zrezygnować.

- Jestem ciekaw, ile osób pani tak już dzisiaj nabrała - rzekł, opierając się o ladę, bo stojąca za nim kobieta popchnęła go lekko do przodu. - Tu dwa deka mniej, tam trzy, temu trochę kiełbasy zamiast szynki, innemu skóry czy tłuszczu i już druga pensja leci, co? Widać inspektorzy z Państwowej Inspekcji Handlowej dawno w tym sklepie nie byli.

- Panie, niech pan nie przeszkadza - wtrąciła się druga ekspedientka. - Dostał pan już swoją połędwicę, no i skończyło się. Proszę się odsunąć.

W tej samej chwili, za plecami Wilczyńskiego odezwał się czyjś stanowczy głos:

- Proszę mnie przepuścić. Jestem z Inspekcji Handlowej...

Obie sprzedawczynie pobladły, a Wilczyński z zadowoleniem i widoczną satysfakcją ustąpił miejsca małemu, przysadzistemu jegomościowi z teczką. Ten wyjął legitymację, podsunął sprzedawczynie pod nos i zaczął coś mówić, czego Jan już nie słuchał, bo mu się przypomniała czekająca taksówka. Wyszedł więc spieszenie ze sklepu i wsiadając rzekł do kierowcy:

- Chciała mnie oszukać, wie pan? Zamiast połędwicy dodała baleronu. Ale naślałem na nią inspektora z PIH-u. Taka złodziejka.

74

- Teraz to w sklepach trzeba ciągle sprawdzać, co dali, ile kosztuje, ile reszty wydali, a nawet wąchać i smakować... Wczoraj żona kupiła dżem śliwkowy, to dopiero w domu zobaczyła, że sfermentowany i gorzki. Pobiegła do sklepu, ale gdzie tam. Ekspedientka ani rusz nie chciała uwierzyć, że to u niej kupione. No i straciliśmy prawie dziesięć złotych.

- Tak. tak. Złodziejstwo na każdym, kroku - westchnął Wilczyński resztką oburzenia. - A wszystko odbija się na naszych kieszeniach. Nauczy się taka sprzedawczynie nie-doważać czy zamieniać, potem zrobią ją kierownikiem sklepu i... - urwał. Nagle odechciało mu się prowadzić dyskusję.

Gdy zadzwonił do drzwi, obładowany paczkami, nie pamiętał już o scenie w sklepie. Cieszył się teraz na radość Marii i dzieci, jaką na pewno wywołają prezenty. Nie zawiódł się. Maria, zdumiona i zaskoczona, oglądała z bijącym sercem piękną bieliznę. Heniek i Basia z wrzaskiem rzucili się na pudło z czekoladkami, ozdobione kolorowym rysunkiem i przewiązane wstążką.

- Janku, ale skąd to? - wyjąkała wreszcie Maria, podnosząc na niego wielkie, szare oczy. - Takie cudne komplety, i pończochy i... za co to kupiłeś?

- Powiedziałaś kiedyś, że wygranie w totka to marzenie - odparł swobodnym tonem, siadając przy niej na tapczanie. - No i marzenie się spełniło. Wygrałem wczoraj osiem tysięcy.

- Osiem tysięcy! I nic mi nie powiedziałaś?

Jan pocałował ją czule w jedno oko, potem w drugie.

- Bo chciałem ci sprawić niespodziankę. A poza tym wiedziałam, że jak przyniosę pieniądze do domu, to zaraz zaczniesz mówić o pościeli, ścierkach, garnkach i czymś tam jeszcze, co trzeba by kupić. A ja chciałem, żebyś wreszcie ty coś z tego miała. Sobie zresztą też kupiłem materiał na ubranie i od razu zaniostem do uszycia. Będzie za tydzień. Podobają ci się piżamy?

- Są piękne - szepnęła Maria, wtulając twarz w chłodny jedwab. Nagle podniosła głowę: - A dzieci? Co im kupiłeś?

75

Wilczyński rozejrzał się wokoło, zdziwiony nagłą ciszą, potem zajrzał do kuchni i wybuchnął śmiechem.

- Chodź, zobacz co one robią... A to smarkacze. Już pół pudełka wyjadły.

Maria na widok umazanych czekoladą policzków Basi załamała rękę.

- Boże, jak one wyglądają. Janku, nie trzeba było im wszystkiego dawać. Teraz na pewno się pochorują. Basiu-niu, oddaj dziecinko mamusi pudełko. Mamusia schowa resztę na jutro.

- Nic im nie będzie - beztróska powiedział Wilczyński, sadzając sobie małą „na barana”. - Wiesz, jak miałem tyle lat co Basia, marzyłem zawsze, żeby kiedyś najeść się tyle czekolady, ile tylko będę mógł. Choćbym potem miał umrzeć. Oczywiście, nie rozumiałem przecież naprawdę, co to jest „umrzeć”. Wydawało mi się, że to po prostu znaczy: bardzo długo spać.

- Mój ty biedaku - Maria pocałowała go czule - teraz możesz zaspokoić swoje marzenia. Przynajmniej te czekoladowe. A ja też mam dla ciebie niespodziankę. No - zgadnij.

Patrzył na jej uśmiechniętą, zaróżowioną twarz i bezradnie wzruszył ramionami na znak, że nie ma pojęcia.

- Zdałam egzamin - oznajmiła triumfalnie.

Był to niewątpliwie duży sukces. Ale Jan nie ucieszył się tak, jak się tego spodziewała. Zamiast radości zobaczyła na jego twarzy coś w rodzaju zakłopotania i niechęci.

- Dlaczego nic nie mówisz? - spytała zdziwiona i rozżalona.

- Wiesz Marysiu, zastanawiam się, czy to naprawdę potrzebne. Mnie się teraz kroi większy zarobek... mówię naturalnie o Centrali. Od stycznia przejdę do magazynu skór gotowych i dostanę dużą premię. Może nawet większą niż pensję - zaciął się szukając potrzebnych słów - bardzo dużą premię. I wolałbym, żebyś nie musiała pracować poza domem. Pomyśl - zapalał się stopniowo - przecież i dla dzieci byłoby o wiele lepiej, gdybyś była z nimi... gdyby one były w domu, to znaczy Basia, bo Henryk rano jest w szkole. Do pracy musiałabyś wstawać bardzo wcześnie

76

i gnać przedtem z małą do przedszkola... ja nie wiem, czy to dla dziecka byłoby dobre.

Maria opuściła głowę. Była tak wyraźnie zmartwiona, że dodał uspokajająco:

- Zresztą zrobisz jak zechcesz. Ale może poczekaj jeszcze z tą posadą do pierwszego grudnia. Dobrze? Zrób to dla mnie - prosił, obejmując ją serdecznie. - Tak bym nie chciał, żebyś się męczyła. No, Marysiu? - zaglądał jej w oczy, aż musiała na niego spojrzeć i uśmiechnąć się, choć wypadło to trochę smutno.

- Co to za premia? - spytała nieufnie. - Przecież premie nie mogą być większe od pensji, taka jest zasada, o ile pamiętam.

Pocałował ją w czubek nosa, aż Basia kwiknęła z radości.

- Słuchaj, dziecinko, a może byś sprawy finansowe zostawiła mojej męskiej głowie? - spytał pół żartem. - Do tej pory mi nie szło, ale teraz rozkręciłem się i zarobię tyle, że wystarczy na wszystko. Nie myśl na razie o posadzie. Jak mi się nie uda...

- To może już być za późno - przerwała. - Posady nie czekają.

- To znajdziemy inną. Ile miałaś dostać?

- Tysiąc sto na początek. Potem więcej. Roześmiał się pogardliwie.

- Tysiąc sto. Ojej, jakie straszne pieniądze. I za te śmieci miałaś harować przez osiem godzin?

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Jeszcze tydzień temu tysiąc złotych to nie były dla ciebie śmieci - odparła cicho.

- Ależ, kochanie moje, to są grosze. Naprawdę grosze, niewarte twojej ciężkiej pracy.

- To miał być początek - rzekła ze wzrastającym zdenerwowaniem. - Bardzo brzydko z twojej strony, że wyśmiewasz moją przyszłą pensję. Ale ty też zaczynałaś od zarobków o wiele skromniejszych niż to, co dzisiaj zarabiasz. Ja mam dopiero dwadzieścia sześć lat i nic dotąd nie umiałam. W księgowości, łącznie

ze stenografią, można dojść do dwóch tysięcy, a nawet i trzech. Co się z tobą

77

stało, Janku? - spytała nagle ze strachem w głosie. - Nigdy taki nie byłeś, jak w ostatnich tygodniach. Już cztery razy wróciłeś pijany - dodała szeptem.

Wilczyński podniósł się, zapalił papierosa i wzruszył ramionami. Był zły.

- Niepotrzebnie zaczynasz histeryzować. Nic się nie stało, po prostu więcej teraz zarabiam. A ty się martwisz. Wy, kobiety, jesteście jednak na bakier z logiką. No powiedz, czemu się martwisz? - chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

Przytuliła się do niego i westchnęła żałośnie.

- Nie wiem. Może jestem głupia... Nie powinieneś się na mnie gniewać, ale widzisz - ja się tak cieszyłam, że ci pomogę finansowo. A ty już mojej pomocy nie potrzebujesz.

Wzruszył się i przygarnął ją mocniej do siebie.

- Ciebie zawsze potrzebuję - mruknął, zanurzając twarz w jej puszyste włosy. - A o pieniądzach nie mówmy. To moja sprawa. Jak mi się nie uda, to pójdę do ciebie na garnuszek. Dobrze?

Roześmiała się. Nie, dziś nie można było z nim mówić poważnie.

*

Inspektor Kowalski otworzył drzwi.

- Pan do mnie? - spytał zdziwiony.

Na progu stał nieduży mężczyzna w wysokich butach, krótkim kożusku i szarej cyklistówce w grubą kratę. Wyglądał zupełnie jak handlarze z bazarów, toteż Kowalski przyjrzał mu się bystro, zastanawiając się, kto u licha podał takiemu jego prywatny adres.

Mężczyzna uśmiechnął się nieznacznie i zanim inspektor się zorientował, wśliznął się tak zręcznie do mieszkania, że Kowalski po prostu zbaraniał. Potem przemknęło mu przez myśl „złodziej”.

- Czego pan chce? - spytał ostrym tonem.

- Skóry - odparł tamten, stojąc już na progu pokoju. Ręce wpakował w kieszenie spodni i zmrużonymi oczami przyglądał się gospodarzowi bezceremonialnie. Inspektor

bezwiednie pomyślał: „mojej?”, ale mężczyzna nagle wyjął ręce, roześmiał się i rzekł zupełnie innym tonem:

- Przepraszam, inspektorze. Chciałem wypróbować na panu moje przebranie. Jestem porucznik Kręglewski z Komendy Miasta. Szczęsny mnie do pana przysłał.

- Dobrze, że pan to w porę powiedział - rzekł Kowalski gderliwie. - Jeszcze chwila, a byłbym pana wyekspediował na schody.

- Mnie? - Kręglewski zdusił w sobie śmiech. - Lepiej mówmy o czym innym. A właściwie to może od razu pójdziemy na bazar?

- Możemy - zgodził się inspektor. - Niech pan siada, ja się też trochę przebiorę. Tam na stole są papierosy. Chce pan kawy?

Kręglewski odmówił, więc gospodarz znikł na parę minut w łazience, skąd wrócił nieco zmieniony. Miał teraz sporą łysinę, ozdobioną kępkami wyleniałych włosów nieokreślonego koloru i krótko przystrzyżony wąsik. Zniszczone ubranie z taniej „trzydziestki”, kurtka w jodełkę i oklapnięty kapelusz uzupełniały obraz urzędnika najniższej kategorii płac, obarczonego chorą żoną i czworgiem nieletnich dzieci.

Kręglewski obrzucił go fachowym spojrzeniem i kiwnął głową z zadowoleniem.

- Jak się nazywamy i gdzie mieszkamy? - spytał, wciskając na czoło cyklistówkę.

- Kowalski, do usług. Moje nazwisko jest właśnie takie, jakby zostało umyślnie zmienione. Mieszkam... powiedzmy, na Woli. Młynarska jedenaście. Emeryt kolejowy.

- A ja: Wincenty Woźniak, również mieszkaniec Woli, pański szwagier. Pracuję na świeżym powietrzu i obracam, jak trzeba, większą gotówką. - Tu wyjął gruby, przetłuszczony portfel i pokazał plik równo ułożonych pięćsetek. - Kontaktów trochę się ma, zwłaszcza w branży skórzaney. Pracowało się w Krakowie, Olsztynie, Szczecinie. Idziemy?

Na bazar pojechali tramwajem. Dotarli tam w samo południe. Mimo ostrego wiatru, ruch wśród kupujących był

78

79

niemały. Co zapobiegliwsze gospodynie zaopatrywały się już w mak i grzyby, choć do świąt było jeszcze sporo czasu. Gdzieniedzie pokazały się już ozdoby choinkowe - kolorowe bombki, włosy anielskie, złoczone szyszki i sople, wszystko o parę groszy tańsze niż w sklepach i bazarowym zwyczajem rozłożone do wybierania, macania, przebierania w towarzę, aż do utraty cierpliwości przez sprzedających.

Inspektor i porucznik przesuwali się powoli między straganami, rozglądając się od niechcienia i rzucając z rzadka to jedno, to drugie słowo o byle czym. Nagle Kowalski poczuł, że ktoś go chwyta za ramię. Odwrócił się. Posiniały z zimna sprzedawca kolorowych bombek mrugnął znacząco, a potem zawołał:

- Coś pan, oczy stracił czy co u licha? Już pan starych kumpli nie poznaje? Jak Boga kocham, bom gotów się obrazić...

Inspektor długo i serdecznie ścisnął mu rękę, pochylił się nawet i ucałował z dubeltówki, notując przy tym w pamięci wyszeptane słowa: „Stragan dwieście trzy, z butami”.

Pogadali chwilę, podczas gdy Kręglewski cierpliwie czekał parę kroków dalej, wreszcie inspektor pożegnał wylewnie „starego kumpla” i podszedł do porucznika, powtórzył mu uzyskaną informację.

Nie spiesząc się, poszli szukać straganu dwieście trzy. Stały tam dwie osoby, zawzięcie targujące czarne półbuty o wąskich czubkach. Sprzedawca, tęgi mężczyzna o czarnych, gładko uczesanych włosach i bladej twarzy, jakby nalanej, ustępował powolutku, wyrzekając i wykrzykując, to z gniewu, to z żalu. Kiedy nareszcie dobili targu i czarne buty zmieniły właściciela, Kowalski wysunął się naprzód mówiąc jęśliwym głosem:

- Panie kochany, ja bym też takie czarne... tego, jakieś takie wygodne, wie pan, ale niedrogie... bo jestem emerytem. Miałby pan?... tego, panie kochany, tylko niedrogie...

Głędził tak przez chwilę, aż znudzony sprzedawca odwrócił od niego wzrok i spojrzął z nadzieją na Kręglewskiego.

- Ja tu ze szwagrem - wskazał głową na inspektora -dobierz pan mu co na te jego krzywe nogi, bo mi już żona

żyć nie daje. Ja płacę - dodał niedbale. Rozejrzał się po straganie, pokazał na jedną parę. - Może te? Cena wprawdzie tych kapci niewarta, cośkolwiek pan opuścisz. Dla mnie, to tu nic nie ma - wykrzywił się z pogardą.

Czarnowłosa mężczyzna spojrzął na jego nogi w boksowych oficerkach, potem sięgnął pod ladę i wydobyl stamtąd piękne, sportowe półbuty z ciemnobrązowej skóry. Był to wyrób zagraniczny. Handlarz postawił buty na ladzie, nie mówiąc ani słowa. Wiedział, że ten towar nie potrzebuje reklamy.

Kręglewski mimo woli wziął jeden but do ręki, zważył, obmacał, powąchał, pokiwał głową z uznaniem.

- Ile? - rzucił półgłosem.

- Niedrogo. Kawatek z hakiem, jak dla pana.

- A ten hak to wiele?

- Trzysta.

- Tysiąc trzysta? - jęknął Kowalski w nabożnym podziwie. - Mój ty Boże, taki straszny pieniądz za jedne buty... toż to grzech.

- Ale jakie buty! - odparł sprzedawca, gładząc pieszczotliwie miękką, błyszczącą skórę. - Patrz pan, co to za gatunek. Oni tam za granicą całkiem inaczej wyrabiają. I lakiery mają jak złoto.

- U nas też umieją szyć piękne buty, tylko nie ci partacze w państwowych zakładach - mruknął Kręglewski na pozór obojętnie. - Znam jednego, co każdego zagraniczniaka by w kozi róg zapędził. Stary fachowiec. Tylko robić teraz nie może - dodał jakby z żalem.

Sprzedawca spojrzął na niego bystro.

- Czemu? - spytał, chowając buty z powrotem pod ladę.

- Wiadomo, surowca nie ma. Właśnie ja tu... - urwał. Popatrzał podejrzliwie na czarnowłosego, odwrócił się do inspektora: - No, wybieraj sobie, na co czekasz? Obiecałem, to dotrzymam. Szybciej, bo swoich interesów nie załatwię.

- Już, już wybieram - Kowalski zaczął przebierać w obuwiu, nieporadnie, trzęsącymi się rękami, coraz to biorąc coś i odkładając z powrotem.

80

81

- A dużo pan tego potrzebuje? - spytał po dłuższej chwili sprzedawca, prawie nie zwracając uwagi na inspektora.

Kręglewski uśmiechnął się z wyższością i splunął w bok.

- Coś pan taki ciekawy - mruknął niechętnie. Wyjął portfel, przełożył kilka pięćsetek z jednej przegródki do drugiej i znów zwrócił się niecierpliwie do „szwagra”: - No, już? Przymierz, ofiaro, żebyś potem kulawy nie chodził.

- Chodź pan, do środka - rzekł nagle sprzedawca do Kręglewskiego zachęcającym tonem. - Coś panu powiem. Nie bądź pan taki ważny, ja nie z takimi interesy robiłem.

Porucznik, ociągając się, wszedł za ladę. Czarnowłosy przysunął się do niego i zaczął szeptać, od czasu do czasu rzucając okiem na swój towar:

- Mam takiego jednego, co skórę sprzedaje. Nie za drogo i nie za tanio, w sam raz. Same najlepsze boksy cielęce, szlifowane i krupony pierwszego gatunku. Nubuki też mogą być, jakbyś pan chciał. Ile tego potrzeba?

Na twarzy sprzedawcy widać było rozgorączkowanie. Kręglewski pomyślał, że widać zarabia dobry procent na pośrednictwie i dlatego jest nieostrożny. Chciwość nie jest dobrym doradcą.

Wsadził ręce w kieszeń i namyślał się przez chwilę.

- Ze trzysta sztuk - rzekł wreszcie. - Nubuków nie chcę, to trudno zbyć. Boksy cielęce i świńskie mogą być, krupony też, tylko pierwszy gatunek. Trochę waszowych i welurów... - wymieniał te gatunki, o których wiedział, że wyrabiają je w Centrali Garbarskiej.

- Dobrze - odparł handlarz z błyszczącymi oczami. - Na kiedy pan to chce?

- Ale na ciemno nie biorę. Ma pan tu próbki? Frajerów to pan szukaj w Wołominie - powiedział opryskliwie.

Sprzedawca odwrócił się bez słowa i wyciągnął z kąta kilka płatów skóry różnego gatunku. Kręglewski,

nie spiesząc się, z trudem opanowując podniecenie, wziął pierwszy płat, obejrzał, potem drugi. Na trzecim boksie sportowym, znalazł wyraźny stempel Centrali, a poniżej: „G-B”.

- Może być - zgodził się, oddając skórę handlarzowi.

- Na kiedy pan chce? - powtórzył handlarz.

82

Porucznik zastanowił się, wreszcie odparł, że na pojutrze przygotowuje pieniądze. Spytał o ceny poszczególnych gatunków, na niektóre skrzywił się lekko, na inne przystał od razu. Ustalili, że Kręglewski przyjdzie rano do straganu i dowie się, gdzie i o której będzie mógł towar odebrać. Wreszcie przypomnieli sobie o „szwagrze”, ale porucznik rzucił szorstko, że on już nie ma czasu na wybieranie. Wyciągnął z portfela dwie setki, po chwili dorzucił jeszcze jedną i powiedział do inspektora:

- Kupuj sam, ofermo. Wybierz mu pan coś tam taniego za trzysta złotych i niech mi już głowy nie zawraca.

Pożegnał się z handlarzem, klepnął „szwagra” po ramieniu, aż ten ugiął się i stęknął, po czym szybkim krokiem oddalił się w stronę wyjścia.

- Weź pan te - handlarz nie przejawiał wielkiego zainteresowania dla takiego klienta. Postawił przed nim brązowe, tanie półbuty fabrycznej roboty. - Nie ma co mierzyć, w sam raz dla pana.

Wyrwał mu z ręki pieniądze, zawiązał buty w starą gazetę i odwrócił się tyłem. Widać było, że chce go się jak najprędzej pozbyć.

Kowalski pojęczał jeszcze trochę, ponarzekał, wziął buty i odszedł. Były o wiele za duże na jego szczupłą, niewielką nogę i zastanawiał się, co z nimi zrobić. Wreszcie postanowił wysłać je bratankowi, który studiował w Poznaniu geografię i klepał studencką biedę. Oczywiście Kręgle wskiemu trzeba będzie zaraz zwrócić pieniądze.

W Alejach Jerozolimskich, mimo siąpiącego listopadowego deszczu i wiatru, tłumy przechodniów tłoczyły się na chodnikach, zatrzymywały przed oświetlonymi witrynami, podziwiając lub krytykując, albo też po prostu oglądając. W niedawno otwartym radzieckim sklepie „Natasza” jak zwykle pełno było kupujących, zwłaszcza przy zegarkach i perfumach. Ktoś poprosił o żyletki, okazało się, że właśnie dziś nadeszły marki „Siewier” i natychmiast, warszawskim zwyczajem, dowiedziało się o tym sto osób. Do

83

lady ustawiła się kolejka, po pół godzinie żyletek już nie było. Kupowano więc z rozpędu pachnące mydła i papierosy „Czajka”, kilka osób ze słuchawkami przy uszach, przysłuchiwało z dwóch adapterów płyty długogrające. Oczywiście drugiego dnia po otwarciu zabrakło już nagrań z Markiem Bernesem, a brazylijskie pieśni w wykonaniu Ribeiry tylko dlatego były jeszcze na półkach, że o tej płycie mało kto wiedział.

Wilczyński zatrzymał się niezdecydowany przed wystawą „Aligatora”. Chciał kupić sobie czarne „włoskie” półbuty, choć pora na ich noszenie była akurat niezbyt odpowiednia i bardziej przydałoby mu się obuwie na gumowej podeszwie.

Spojrzał na biały neon baru „Praha” i poczuł, że ma wielką ochotę na kawałek szynki z sałatką. W domu czekał wprawdzie obiad, ale... ostatnio Jan trochę niechętnie wracał do domu. Trudno było - coraz trudniej - tłumaczyć Marii, że wciąż wygrywa w totka.

Nie zapytała go wprawdzie otwarcie, czyjej nie okłamuje, ale przycichła i jakby przygasła, a czasami łapała jej wzrok, przyglądający mu się ze smutkiem i niepokojem.

Wszedł do baru i ustawił się w kolejce. Wziął prócz szynki kawę, a na deser jeszcze krem hiszpański. Nie znalazł nigdzie wolnego miejsca i musiał czekać, aż ktoś skończy jeść i usunie się. Stojąc z talerzykami w ręku, niecierpliwie rozglądał się dokoła. Wszędzie widział miarowo ruszające się szczęki i ręce uzbrojone w widelce i ucięte na czubku noże, co miało zabezpieczyć przed kradzieżą. Środkiem baru sunął wózek naładowany brudnymi talerzami i filiżankami, szumiał ekspres do kawy. Ktoś kłócił się o resztę, ktoś wołał, że zajął miejsce i żeby tamten przyniósł gulasz. „Ciekawe, ile oni mają dziennego obrotu” - pomyślał Jan, jedząc swoją sałatkę z szynką. - „Tutaj przewija się chyba parę tysięcy osób. A może i więcej”.

Naraz przyszło mu na myśl, że gdyby był kawalerem, mógłby jadać co chce, gdzie chce i kiedy chce, a nikt by mu słowa złego za to nie powiedział. Mógłby wracać do domu nawet rano, zmieniać koszule co drugi dzień i wszyst-

kie pieniądze wydawać tylko na własne potrzeby. Nie, nie potrzeby - pragnienia, życzenia, nawet widzimisię. Miałby wtedy miesięcznie, licząc tylko dwa „wyjazdy” ze skórą do Anina, około dziesięciu tysięcy.

- Dziesięć tysięcy - mruknął i zakrztusił się skórką chleba. Tak. Po dwóch miesiącach byłaby już wuefemka. A za pół roku samochód. „O czym ja myślę.” - przestraszył się. Ale wiedział już, że się od takich myśli łatwo nie odczepi.

Wyszedł z baru. Na rogu, koło nowej apteki, zetknął się twarzą w twarz z Namitkiewiczem.

- Pan tu? - bąknął i poczerwieniał, bo pytanie było nad wyraz głupie. Niby dlaczego Namitkiewicz nie mógłby iść właśnie tą ulicą.

- Ja mieszkam na Brackiej - odparł ekonomista. - Właśnie wracam do domu. Może pan zajdzie do mnie?

„Po co?” - pomyślał Wilczyński i odparł uprzejmie, że owszem, chętnie wstąpi na chwilę, o ile nie przeszkodzi. Minęli Nowogrodzką, skręcili w bramę i wspięli się na drugie piętro. Namitkiewicz przeprosił, otworzył drzwi i wszedł pierwszy zapalając światło w przedpokoju. Jan nie mógł sobie przypomnieć, czy tamten jest żonaty, rozwiedziony czy kawaler. Dopiero gdy wszedł do pokoju, a Namitkiewicz znikł w kuchni, aby zaparzyć kawy - przypomniało mu się, że ekonomista był wdowcem i miał dwoje dzieci, z których jedno gdzieś studiowało, a drugie pracowało we Wrocławiu. Chyba to był

syn i córka.

Gospodarz wrócił z maszynką elektryczną do parzenia kawy, ustawił ją na małym stoliku i włączył kontakt. Z szafy wyjął dwie filiżanki, na widok których Jan wykrzyknął ze zdumieniem:

- Jakież to śliczne, gdzie pan je kupił?

- Na Pięknej, w tym dużym sklepie z porcelaną, gdzie zawsze są kryształły i takie drogie cacka, natomiast bardzo rzadko może pan kupić zwykły talerz. Chyba, że ma to być komplet za kilkaset złotych.

Wilczyński rozglądał się po pokoju. Dojrzał radio, telewizor o dość dużym ekranie, szafę pełną książek, kilka

84

85

obrazów na ścianie i chciał coś powiedzieć, gdy Namitkie-wicz go uprzedził:

- Patrzy pan i myśli pewnie, skąd ten urzędniczyna ma pieniądze na telewizor, kupę książek, obrazy i tak dalej. Czy nie?

- Ależ skąd? - Jan zmieszał się lekko, bo rzeczywiście przyszło mu to na myśl. - Pewnie wziął pan to wszystko na raty?

- Nigdy nie kupuję niczego na raty. Widzi pan, ja dorabiam sobie po godzinach urzędowych i mam z tego jakby drugą pensję.

Wilczyński spojrzał na niego podejrzliwie.

- Dorabia pan? - mimo woli zniżył głos i uśmiechnął się. Ekonomista dojrzał ten uśmiech. Zdziwił się. Nie rozumiał jego jakiejś wieloznacznej ironii.

- Dorabiam - powtórzył - to znaczy pracuję pół-nauko-wo. Piszę fachowe broszury z zakresu garbarstwa. Wydałem już cztery, teraz pracuję nad piątą. Tam są - ruchem głowy wskazał na szafę.

- Dużo to panu przynosi?

- Wystarczy.

- Na co?

- Na to, co chcę mieć. Przepraszam, ktoś puka. Wyłączyłem dzwonek, bo czasem w nocy budzą mnie przez pomyłkę. Piętro wyżej mieszka lekarz.

Wyszedł, a po chwili wrócił wraz z inspektorem Kowalskim. Jan powitał go prawie serdecznie, ale zaraz najeżył się i umilkł. Przypomniało mu się, że przecież tamten jest inspektorem kontroli, a na takich od pewnego czasu patrzył spode łba.

- Siadaj, Tadeusz. Zaraz dam wam dobrą kawę. O czym to mówiliśmy? Aha, czy to, co zarabiam w Centrali i dodatkowo, wystarcza mi na moje potrzeby. Owszem, wystarcza.

- To panu niewiele potrzeba - uśmiechnął się Jan z wyraźną ironią.

- Niewiele? - Namitkiewicz obrzucił go przeciągłym spojrzeniem. - Zapewniam pana, że mam dużo więcej niż niejedyn człowiek w Polsce.

- No, to chyba nie sztuka. Ale przecież z tych wszystkich zarobków nie może pan kupić nawet samochodu. A już nie ma mowy o własnym domu.

Ekonomista nalał kawę do trzech filiżanek, postawił przed gośćmi, swoją wziął do ręki i mieszając cukier, zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią.

- Nie - rzekł wreszcie. - Domu za to kupić nie mogę. To prawda. Nie zaliczam jednak siebie do kategorii ludzi najlepiej w Polsce zarabiających, a tylko takich stać na własne domy. Dom, willa - to jest przecież właściwie maksimum, co możemy mieć z tak zwanej prywatnej własności. Nie mówię oczywiście o warsztacie czy sklepie. Dom, to luksus. Mnie nie stać na luksusy. Ale przyznam się panu, że bynajmniej mnie to nie martwi.

- Bo pana potrzeby są sztucznie zmniejszone. Pan nie chce mieć domu, bo pan go mieć nie może. To jest rezygnacja rozumowa, pod wpływem przymusu. Panu tak jest wygodniej, to wszystko - odparł Wilczyński.

Namitkiewicz potrząsnął głową.

- Nie, proszę pana. Strzelił pan na ślepo i zupełnie nie trafił. Ja naprawdę nie chciałbym mieć własnego domu, bo mi on po prostu nie jest potrzebny. Za wiele kłopotu, ja nie lubię kłopotów. Dom wymaga wielkiego wkładu pracy w utrzymanie w nim odpowiedniego porządku, czystości, trzeba mieć pomoc domową, trzeba by starać się o tysiące rzeczy... Nie, to nie dla mnie.

Wilczyńskiemu jednak w gruncie rzeczy o co innego chodziło.

- Dobrze - zgodził się. - Powiedzmy, że pan nie chce. Ale ja bym chciał. A nie mogę, bo zarabiam grosze. Nie każdy przecież może i umie dorabiać. Zresztą tak być nie powinno, żeby pracować jeszcze po godzinach.

Namitkiewicz skrzywił się i machnął ręką.

- Ojej, mówi pan jak dziecko. Każdy wie, że zarobki są niskie i tak dalej. Ale czy pan po to zmienił pracę z biura na magazyn, żeby więcej zarobić? Przecież ma pan teraz pensję o ileś tam złotych niższą. Chce się pan wykierować na majstra tak bez żadnej szkoły garbarskiej, bez fachowego przygotowania?

- O, wielkie mi mecyje - mruknął Wilczyński z ironicznym uśmiechem. - Jak bym chciał, to bym już dziś tyle potrafił, co majstrowie.

Namitkiewicz wymienił z inspektorem wymowne spojrzenie, po czym Kowalski rzekł, wstrzymując śmiech:

- Nie wątpię, że pan jest wyjątkowo zdolny, panie Janku. Może nawet geniusz... Chciałbym jednak przy okazji pana ostrzec. Mówię to z życzliwości, bo się dawno znamy. Aby nie mieć manka w magazynie, trzeba się naprawdę doskonale orientować i w towarze, i w dokumentacji. Pan jest przecież teraz materialnie odpowiedzialny za magazyn, czy pan sobie zdaje z tego sprawę? A jeżeli wyniosą panu skóry tak, że pan tego nawet nie zauważy, to jak pan sobie potem poradzi? Będzie pan płacił grube tysiące z własnej pensyjki?

- Niech pan się na mnie nie gniewa - wtrącił Namitkiewicz - ale do tego, co chcę powiedzieć, upoważnia mnie nasza dawna wspólna praca w jednym pokoju... Panie Jasiu, przecież pan się kompletnie nie zna na garbarstwie. Nieraz zauważyłem, że zasady garbowania są panu najzupełniej obce, nie interesował pan się tym nigdy. Więc skąd nagle ta chęćka do pracy w produkcji?

Wilczyński pobladał. Przyszło mu na myśl, że Namitkiewicz umyślnie ściągnął go tutaj, a inspektor przyszedł tuż za nim, aby wypytać go o „tamte” sprawy. Może go już stąd nie wypuszczą, zadzwonią po milicję...

- O czym pan mówi? - spytał nieswoim głosem. - Dlaczego pan mnie o coś podejrzewa? Ja nie kradnę! Słyszysz pan?

Zerwał się i stanął przed Namitkiewiczem, czerwony na twarzy, z oczyma błyszczącymi gniewem i strachem.

- Ależ, panie Jasiu - Namitkiewicz wstał również i ujął go niemal serdecznie za ramiona. - Ja pana przecież o nic nie podejrzewam, co się panu stało?

Ale tamten wyrwał się z jego rąk i odsunął. Kowalski przypatrywał mu się ze zmarszczonymi brwiami. Coś mu się w tym wszystkim nie podobało.

- Co się panu stało? - powtórzył gospodarz ze zdumieniem. - Jeżeli pana czymś uraziłem, to bardzo przepra-

88

szam. Sądzę jednak, że jest pan trochę przewrażliwiony. Niechże pan siada i dokończy kawy... O, tak. I nie mówmy już więcej o garbarstwie. Zaciekawiła mnie po prostu pańska decyzja... dawniej rozmawialiśmy od czasu do czasu o naszych projektach dotyczących pracy. Ale jeżeli to pana drażni, to zmieńmy temat.

- Nie, to ja pana przepraszam - odezwał się Wilczyński, odstawiając na stolik pustą filiżankę. - Jestem trochę zdenerwowany, bo miałem pewne kłopoty. O garbarstwie możemy rozmawiać, czemu nie. Myślę,

że przy Olańskim i innych majstrach szybko nauczę się tyle, że będę mógł przejść do jakiejś lepiej płatnej roboty.

- To Olański panu zaproponował stanowisko w magazynie? - spytał inspektor.

- Tak. Nie, to Michalak. Właściwie ja sam chciałem. Dowiedziałem się, że Zawadzki odchodzi, więc... Czy to ma jakieś znaczenie, kto mi zaproponował? Zdecydował i tak pewnie dyrektor Gilewski.

- Oczywiście, oczywiście - zgodził się spieszenie Namitkiewicz, bojąc się, że tamten znowu wpadnie w złość. -Dyrektor decyduje.

Wilczyński wstał, obciągnął marynarkę i strzepując jakiś pyłek z rękawa, rzekł po sekundzie wahania:

- Dziękuję za uwagi, panie Tadeuszu, ale mnie byle frajer nie nabierze. Umiem liczyć skóry, tak jak pan jabłka na straganie. Pan już pewnie zapomniał, jak jabłkami handlował?

Namitkiewicz skrzywił się wyraźnie, a inspektor, bynajmniej niespieszony, uśmiechnął się z odrobiną ironii. Potem powiedział:

- Jabłka sprzedawałem z własnej działki, jeżeli bym się omylił, to jedynie na własną szkodę. A skóry w magazynie nie są pańską własnością, młody człowieku. Tutaj omyłka drożej kosztuje.

Wilczyński nie odpowiedział, pożegnał się i wyszedł. Gdy trzasnęły drzwi wyjściowe, Namitkiewicz wzruszył ramionami i rzekł:

- Nie mam pojęcia, dlaczego właściwie go zaprosiłem. Bufon, zarozumialec i głupi w dodatku.

89

- Obawiam się - odezwał się inspektor - że nie tylko bufon. A w dodatku wcale nie taki głupi, jak sądzisz.

Namitkiewicz spojrzał na niego bystro.

- Jeżeli cię dobrze rozumiem, to obawiasz się, że zbyt prędko będzie miał własny dom czy samochód. No cóż... ktoś tam u was czy w milicji będzie miał jeszcze więcej roboty. Mówił mi Adamczak, że widział jak ciężarówka Centrali wywoziła przez główną bramę ziemię torfową. Przy kierowcy siedział Olański.

- Ziemię torfową? - powtórzył inspektor ze zdumieniem. - Skąd to się u was wzięło? Uzywacie torfu do produkcji?

- Gdzie tam. A skąd się wzięło... Właśnie o to chciałem cię zapytać.

Popatrzyli na siebie, po czym Kowalski spytał nie ukrywając zainteresowania:

- Adamczak nie zauważył, dokąd jechali?

- Nie. Szedł ulicą, minęli go. Dojrzał tylko, że w pewnym momencie samochód zwolnił i do środka wskoczył Wilczyński. Zresztą, może nie ma w tym nic podejrzanego... Wiesz, Tadeusz, ja nie chcę

naprawdę się w to mieszać. Jechali, to jechali. Nie moja sprawa.

- A jeżeli jest to sprawa całej Centrali?... Nie rozumiesz? Zaraz ci wytłumaczę. Od pewnego czasu dochodzą do Biura Kontroli i do milicji takie głosy, że z waszych garbarni wychodzą całe partie skóry, która nadaje się właściwie tylko na klej. Piąty, najwyżej czwarty gatunek. Jest to niedopuszczalne, takie skóry nie powinny w ogóle znaleźć się w Centrali. A jednak są. I to w dużych ilościach. Powiedz mi teraz, skąd się wzięły?

Namitkiewicz bezradnie rozłożył ręce.

- A widzisz. Posłuchaj dalej. Jeżeli surowiec, który kupujecie, jest tam gdzieś kontrolowany i kwalifikowany, to skóra piątego gatunku znalazła się u was z innego źródła. I trafia do produkcji. Gdzie wobec tego podziwiają się dobre skóry? Przecież w magazynie skór gotowych powinno ich być o ileś tam za dużo. Rozumiesz?

- Oczywiście. Gdzieś po drodze następuje podmiana. Może w garbunkowym, może w wykańczalni albo w sa-

mych magazynie. Ach!... - ekonomista urwał i spojrzał na inspektora, jakby nagle zrobił pewne odkrycie. - Sądziś, że tą ciężarówką wyjechały właśnie dobre, nie zapisane skóry? Pod tym torfem?

- Na Bazarze Różyckiego - rzekł Kowalski zamiast odpowiedzi - można kupić najlepsze krupony, welury, boksy. Ile chcesz sztuk. Nawet pięćset. Te skóry są stemplowane waszymi stemplami.

Namitkiewicz zerwał się z fotela. Był blady z przejęcia.

- Tadeuszu, co ty mówisz! Naszymi stemplami? Więc dlaczego nikogo jeszcze nie aresztują? Dlaczego nie zrobisz kontroli? Na co czekacie? Żeby jeszcze więcej wykradli?

- Czekamy... Tak, masz rację. Czekamy. Na całość sprawy, rozumiesz? Więcej nie mogę ci powiedzieć. Co nam z tego, że złapiemy jedną ciężarówkę? Możemy to przecież zrobić. Można tak zorganizować patrole i wywiadowców, że tamci albo nie wyjadą, albo wpadną. Ale jeżeli raz, jeden raz nam się nie uda, jeżeli na tym samochodzie będzie rzeczywiście torf czy ziemia na działki - spłoszymy ich na bardzo długo. Może na zawsze. Nie mamy jeszcze dowodów, nie wiemy, kto i gdzie. Mamy tylko bardzo wiele poszlak, a to nie wystarczy.

- Masz rację - odparł Namitkiewicz w zamyśleniu.

ROZDZIAŁ 5

Porucznik Kręglewski odnalazł stragan dwieście trzy i ze zdziwieniem skonstatował, że zamiast obuwia leżała na nim teraz damska i męska galanteria. Za ladą nie było też tęgiego czarnowłosego sprzedawcy, lecz jakiś inny, z blizną na policzku.

- Pan ma życzenie? - spytał, widząc, że porucznik stoi przy straganie z niewyraźną miną i rozgląda się wokoło.

90

91

- Szukam tego gościa, co tu miał buty. Gdzie on jest?

- Nie pański interes - odparł handlarz gburowato.

- Co znaczy: nie mój interes? - Kręglewski nie dał się zbić z tropu i zaczął mówić coraz głośniejszym, ze wzrastającym gniewem: - Co to za robota, jak pragnę zdrowia? Umawia się człowiek, moniaki przynosi, a tu widać, że nie z fachowcami, ale z ciaptakami miałem do czynienia. Gdzie jest ten łobuz? Ja przyjechałem po skóry...

- Cicho! Mordę w kubeł! - syknął sprzedawca. Wychylił się, rozejrzał, a potem gwałtownym ruchem wciągnął porucznika do środka.

- Czego się pan drzesz jak nowonarodzone szczenię. Starzyckiemu stragan zabrali. Tera w domu siedzi. Z finansowego przyszli i kartę odebrali, bo z podatkiem zalegał.

- Cholera! - zaklął porucznik szczerze. - Akurat teraz...

- Dużo pan miałeś brać?

- Trzysta sztuk.

Sprzedawca gwizdnął z uznaniem.

- Musisz pan czekać. Starzycki niewinien, on tyż na tym stratny, bo procent mu poszedł koło nosa. Dla mnie to za wielka parafia. Trza poczekać na Niemczaka. On najwięcej koło tego kręci. Tylko, że wyjechał do Radomia, a potem miał jeszcze być w Krakowie. Wróci za parę dni. Zostaw pan adres, to się da znać.

Kręglewski zastanawiał się przez chwilę. Na podanie adresu nie był przygotowany.

- Wolałbym pójść do Starzyckiego - odparł wreszcie. - Nie lubię w kółko zmieniać partnerów. Obiecałem mu, to niech nie traci.

Mężczyzna z blizną potrząsnął głową,

- Teraz do niego nie ma po co chodzić - rzekł, spluwając dyskretnie przez ladę. - On teraz trefny, póki te łama-gi z finansowego mają go na oku. Kto ich tam wie, mogą nawet „pieska” na niego napuścić.

Porucznik zerknął na niego przelotnie i pomyślał: „Czekaj, bracie, dam ja ci pieska...” A głośno powiedział:

- Może to i racja. Tego Niemczaka to jak znaleźć?

92

Sprzedawca podrapał się po szyi, owiniętej grubym, brudnym szalikiem i odparł po namyśle:

- Przyjdź pan do mnie. Tu, do straganu. Za cztery -pięć dni. Jak by mnie nie było za ladą, pytaj pan o Staś-ka, córka pokaże gdzie jestem. A nie pytaj pan po nazwisku, bo nie powie. Taka już nasza tutaj umowa, żeby się kto obcy nie przyczepił. Niemczak sprzeda panu trzysta i więcej, jakie skóry pan tylko zechcesz.

- No, a w razie jakiej kontroli? - Kręglewski spojrzał badawczo na handlarza. - Ma on kogo, co za nim przemówi gdzie trzeba?

„Stasiek” machnął ręką pogardliwie.

- Jaka kontrola? Gdzie! Pic na wodę. Co pan myślisz, że jemu portier te skóry wydaje? Albo strażak? Takom ilość? Nic się pan nie bój, Niemczak z byle kim interesów nie robi. On wysoko sięga.

- Może do ministra?

- Tyżeś pan frajer, jak babcię kocham. Co ma minister? Wóz służbowy i sekretarkę. A w gabinecie kupę papierów. Kto by tam z ministrem gadał. Każdy magazynier więcej zarobi i więcej ma do sprzedania. Albo zaopatrzeniowiec. A choćby majster na oddziale.

Kręglewski udał, że się jeszcze zastanawia, a potem rzekł:

- Dobra, to ja zajrzę do pana za parę dni. A jakby Niemczak wcześniej wrócił, powiedz mu pan, że potrzeba mi ze trzysta sztuk, dobrego gatunku. Mam na to odbiór aż w Gdańsku. Trzeba wagon albo dwa wozy, grubsza robota. Muszę wiedzieć co i jak, żeby na czas wszystko zarządzić. Tu się rozchodzi o poważne sumy. Ja w detalu nie robię.

Sprzedawca spojrzał na niego z szacunkiem. Potem westchnął i posmutniał. Trzysta sztuk skóry... - tak, to były wielkie interesy.

- Dałbyś pan kiedy człowiekowi zarobić - bąknął niby od niechcienia, przekładając szaliki na ladzie. - Miałem parę kuponów, to poszły w try miga. Forsa mi potrzebna, jak nie wiem co. Chałupę podciągnąłem do fundamentów

93

i nie mam za co dokończyć. Jeden taki, co na budowie pracował, wywiózł mi parę razy cement i trochę żelaza, ale go zamkli, bo przyszła jednego wieczora kontrol z jakiegoś tam inspektoratu. Zima idzie, deszcz mury mi zalewa. Chciałem już sprzedać, ale tera nie sezon. Nie idzie.

- Gdzie pan to stawia?

- W Rembertowie. Miałem dwa domki na Bielanych, ale już sprzedałem i gotówka się rozlaża. Na baby... - parsknął śmiechem, odsłaniając dziurawe uzębienie. - Tera trudniej w Warszawie budować na dziko, bo precz ganiają. Jeden dom, to na Żoliborzu nawet rozebrali. Komisja przyszła, z tej rady dzielnicowej, czy jak tam, i na siłę rozebrali, że bez zezwolenia budował. Po prawdzie to mieli trochę racji, bo głupio chłop

kalkulował i tam dom wystawił, gdzie miała iść ulica.

Kręglewski słuchał jednym uchem, myśląc, jakby wydostać od „Staśka” więcej szczegółów o owym Niemczaku. Wszystko wskazywało, że jest to główny pośrednik w nielegalnym handlu skórami. Obawiał się jednak, czy nie spłoszy sprzedawcy, dlatego, acz z żalem, zrezygnował na razie z dalszych pytań. Pożegnał „Staśka”, pochodził jeszcze trochę po bazarze, kupił szwedzki zamek błyskawiczny do swetra, wreszcie wskoczył do tramwaju, który szedł w stronę śródmieścia.

W Komendzie Miasta MO, zdał kapitanowi Szczęsnemu relację z pobytu na bazarze, po czym odwołał czekających na jego polecenia milicjantów, którzy mieli towarzyszyć mu przy „kupnie” skór.

- Może to i lepiej - powiedział Biały Kapitan - że tak się stało. Natrafiłeś, zdaje się, na grubszą rybę w tym połowie. Żeby tylko Niemczak nie przewąchał czegoś, jak zaczniesz z tobą rozmawiać. Trzeba się będzie starannie przygotować. Sądzę, że jest to facet sprytny, nawet przebiegły i dlatego wątpię, czy tak od razu będzie chciał z tobą robić interesy. Ale gdybyśmy go dostali, całą sprawę przecieku skór z Centrali moglibyśmy mieć w ręku... Nie, Kazik, to mi za łatwo wygląda. Myślisz, że wystarczy przebrać się za handlarza, błysnąć wypchanym portfelem

94

i już? Małe pionki mogą się na to złapać, ale nie wytrawniej szy spekulant.

- Ja wcale tak nie myślę - odparł Kręglewski trochę markotnie.

Był późny wieczór. W dużym gmachu na rogu Alej Jerozolimskich i Nowego Świata w niektórych oknach paliło się jeszcze światło, a na parkingu przed budynkiem stało kilka samochodów. Widać praca jeszcze się tutaj nie skończyła. Tak zresztą było każdego dnia.

W jednym z gabinetów, przy biurku siedział młody mężczyzna o nieładnej, lecz rozumnej twarzy i słuchał uważnie tego, co mówił starszy, siwy człowiek, z krótko przystrzyżonym wąsikiem, siedzący po drugiej stronie biurka. W pewnej chwili zaczął notować coś na bloku białego papieru i odsunął trochę lampę w metalowej zielonej oprawie.

- A wy, towarzyszu Zawadzki, pracujecie teraz w Gar-barni-B, o ile dobrze zapamiętałem, prawda? - spytał mówiącego.

- Tak. Tam też nie jest tak, jak być powinno. Ale to, co robi Centrala, to już przechodzi wszelkie granice. Mówię wam, towarzyszu, że wszyscy uczciwsi, starsi garbarze zaczynają składać podania o zwolnienie. Wolą bodaj u prywatnego pracy szukać, niż patrzeć na te złodziejstwa. A najgorzej, że nasza władza i partia, i te wszystkie kontrolne inspektoraty nic nie robią, żeby tę całą bandę... - zacisnął wymownie palce w pięść i poczerwieniał z gniewu.

Wysoki uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie, a potem rzekł:

- Mój kochany, to nie jest tak, jak mówicie. I wy nie pierwsi przyszliście z tym do nas. Mógłbym wam pokazać całą teczkę listów, pisanych przez towarzyszy z Centrali i nie z Centrali. Od dawna orientujemy

się, co w trawie piszczy, sami jednak rozumiecie, że aby ujawnić właśnie całą bandę - zaakcentował te słowa - trzeba postępować ostrożnie i mądrze. Jeszcze trochę cierpliwości, towarzyszu Zawadzki. Mi-

95

licja od dłuższego czasu śledzi i pilnuje tych wszystkich, o których tu przed chwilą mówiliście. Nie obawiajcie się, nie zwieją za granicę. Wiemy, że większość z nich ma bogato wyposażone wille, samochody, hodowle norek, prywatne warsztaty i sklepy. To wszystko pochodzi z nielegalnych zarobków, Ale musimy zebrać tyle dowodów, żeby nasze argumenty potem w sądzie były bezsporne. Nie chcemy procesów poszlakowych. Prawda musi być oczywista, wyłożona kawę na łąwę, nie do zbicia. O to nam chodzi.

Majster Olański zastukał delikatnie, potem trochę mocniej, a usłyszawszy: - proszę - wszedł do gabinetu.

- Panie dyrektorze, wyglądzarka nożowa wysiada. Sprężyna do bani, wał korbowy pęknięty... Nie mówili w Zarządzie, kiedy przyślą tę nową? - Spojrzał na drzwi, nachylił się do ucha Gilewskiemu i szepnął: - Mam pilną sprawę. Niech pan przyjdzie do magazynu.

- Którego? - mruknął Gilewski. Położył rękę na słuchawce ale jej nie podniósł.

- Skór surowych.

- Tam jest przecież ten szczeniak.

- Wilczyński? To równy chłopak, dyrektorze. Nie wygada. Ja zaraz u niego będę i zaczekam na pana.

- Dobrze. - Uniósł słuchawkę: - Niech mnie pani połączy z Michalakiem... Słuchaj, kiedy przyślą wreszcie tę nową wyglądzarkę?... Co?... Ja chcę wiedzieć konkretnie: kiedy?... No, to zrób awanturę, kto ci broni? Od sześciu miesięcy mają nasze zamówienie... To mnie nic nie obchodzi, oni są od użerania się z zagranicą, nie ja. Im za to płacą... Co? No dobrze. Ale w przyszłym tygodniu ja chcę widzieć nową wyglądzarkę w naszej wykańczalni. Do widzenia.

Spojrzał na Olańskiego i westchnął.

- Michalak powinien wreszcie to załatwić - rzekł majster zmierzając już do drzwi. - Wstąpię po niego, chcę, żeby i on był przy tym, co powiem. On ma łeb do takich spraw.

Wyszedł. Dyrektor zapalił papierosa, po czym znowu sięgnął po telefon

- Z radą zakładową... Dzień dobry, towarzyszu Kaw-czyński. Jak tam zdrowie?... Reumatyzm? Powinniście wziąć sobie wczasy lecznicze, albo skierowanie do sanatorium... Już ja wiem co mówię. Reumatyzm trzeba leczyć zawczasu. Pogadam jutro z naszym lekarzem, niech was skieruje do Ciechocinka czy gdzie tam trzeba... Nie ma za co, zdrowie najważniejsze. Co to ja chciałem -aha, czy Marcinowski opróżnił już mieszkanie?... Widzicie, towarzyszu, moja teściowa nie może się jakoś pogodzić z nami i wolałaby mieszkać osobno. Starsze kobiety są drażliwe, byle co je denerwuje, no a ja nie lubię, jak mi baba głowę zawraca... Wiem, wasza też nie aniołek. Więc myślałem, że może by jej przydzielić ten pokoik po

Marcinowskim?... Co?... Kto chciał?... No, to poczeka jeszcze parę miesięcy, wielkie rzeczy... Ojej, czy nie możecie tego sami załatwić, bez całej rady?... Bardzo wam dziękuję. A skierowanie do sanatorium macie tak jakby już w kieszeni... Cześć, do widzenia.

Odłożył słuchawkę, zagwizdał parę taktów jakiejś piosenki. Był bardzo zadowolony. Kawczyński dostanie sanatorium i premię świąteczną. Innym też zatka się gęby, z funduszu dyrektorskiego została jeszcze prawie połowa. Nie na darmo obcinał, gdzie mógł, nagrody i premie. Tylko na ósmego marca nie poskąpił; bał się krzyków przewodniczącej koła Ligi Kobiet. Jej opinia miała duże znaczenie.

Gdy wszedł do magazynu, Olański i Michalak już tam byli. Wilczyński liczył świeżo dostarczone skóry, zerkając ciekawie w stronę rozmawiających.

- No, co się stało? - spytał dyrektor, witając się z magazynierem.

- To się stało, że Biernacki może sypnąć - odparł Olański z tłumioną pasją. - Wczoraj uchlał się w „Orłówce” na Żelaznej i zaczął się przed jednym obcym facetem spowiadać.

- Co mówił? I kto słyszał?

96

97

- Słyszała ruda Franka. Byłem u niej parę razy... nie śmieję się pan głupio, bo w interesach chodzę - to odnosiło się do Wilczyńskiego - i przygadałem sobie babkę za parę groszy, żeby uszy miała w pogotowiu jak w knajpie siedzi. Dziś rano, zanim jeszcze do pracy wyszedłem, ktoś zapukał do drzwi, żebym na dół zeszedł, bo Franka chce mi coś powiedzieć. Powtórzyła, a chyba nie skłamała, bo pytam się dziś Biernackiego: „Byłeś wczoraj w „Orłówce”? A on tylko spojrzał na mnie i na łeb pokazał, że go jeszcze boli. - Kaca mam jak stonoga - powiedział. - Jeszcze mi nigdy tak do głowy nie poszło jak wczoraj”.

- Co mówił w knajpie, o ile nie zełgała?

- Zwierzał się gościowi, że ma forsy jak lodu, bo z państwowej skóry żyje. Pokazywał setki, rozrzucał po stole, pili razem z tym obcym, aż ich znajomy kelner wyprowadził i Biernackiego załadował do taksówki.

- Nie wie pan co z tamtym?

Olański wzruszył ramionami. Przez chwilę milczeli, dyrektor palił papierosa, zaciągając się silnie.

- To już drugi raz - powiedział wreszcie Michalak. - Drugi raz ta świnią zaczyna gadać w knajpie. Cholera wie, co on tam jeszcze napyskował.

Gilewski cisnął na podłogę niedopałek, zdeptał go starannie i spojrzał na zegarek. Dochodziła czwarta.

- Panie Wilczyński - rzucił w jego stronę, nie patrząc.

- Słucham, panie dyrektorze. - Jan zbliżył się i ze strachem popatrzył na pobladałą z gniewu twarz swego

zwierzchnika.

- Niech pan idzie do oddziału mokrego i przyprowadzi tu Biernackiego. Tylko niech mu pan nie mówi, że my tu wszyscy jesteśmy. Proszę powiedzieć, że majster Olański prosi go do magazynu w pilnej sprawie. Jak już obaj wejdziecie, zamknij pan natychmiast drzwi na klucz i nie wpuść nikogo. Zrozumiał pan? Ni-ko-go.

- Rozumiem, panie dyrektorze. A... jeżeli on nie będzie chciał przyjść?

- To go pan do tego nakłoni, słyszy pan? - głos Gilewskiego brzmiał tak groźnie, że na Wilczyńskim ścierpła skóra.

- Najlepiej powiedzieć, że mam dla niego gotówkę - rzucił Olański i parsknął śmiechem. - Po forszę to zaraz przyleci.

Jan wszedł do wielkiej, mrocznej hali i stanął w progu. Obok olbrzymich, wpuszczonych w podłogę wanien, w których moczyły się skóry, kręciło się kilku robotników w mokrych fartuchach i wysokich gumowych butach. Skóry przyczepione były do oślizłych, długich, dość sporej grubości prętów, położonych w poprzek wanien. W powietrzu unosił się i wdzierał w nozdrza przykry zapach chemikaliów.

Wilczyński rozejrzał się dokoła, szukając wzrokiem majstra oddziału. Któryś z garbarzy potrącił go w pośpiechu. Jan pośliznął się i o mało nie wleciał do gęstej wody. Zaklął, chwytając się brzegu jakiejś skrzyni. Betonowa podłoga pokryta była kilkucentymetrową warstwą błota i szlamu.

- Panie Biernacki - krzyknął w stronę szklanego kantorka.

Biernacki wynurzył się nagle z półmroku i stanął tuż przy nim. Był również w fartuchu gumowym, zachlapanym wodą i jakimś roztworem. Jego okrągła, nalana twarz podobna była teraz do pyzatego księżycy. Spojrzał na Wilczyńskiego pytająco.

- Niech pan przyjdzie zaraz do mojego magazynu. Czekają tam na pana - rzucił Jan, usiłując nie okazać zdenerwowania.

Biernacki niespokojnie zamrugnął oczami.

- Kto czeka?

- Olański.

- Teraz? Ja mam robotę. Czego on chce?

- Nie wiem - Jan wzruszył ostentacyjnie ramionami. - Coś tam ma dla pana. Chodźmy, bo mi się śpieszy. Już czwarta, muszę zamknąć magazyn.

- Przecież on wie, że ja zostaję na drugiej zmianie. Mam dziś dyżur przy kąpieli namokowej. Jak odejdę, mogą mi tu zepsuć cały roztwór. Czego on chce? - powtórzył. Nagle przysunął swoją twarz do twarzy Wilczyńskiego i spytał cicho: - Panie Jasiu, czy on jest sam?

Jan odsunął się trochę i schwycił majstra za rękaw kurtki.

98

99

- Niechże pan już idzie - rzucił szorstko. Niejasno przeczuwał, że rozprawa tamtych z Biernackim będzie poważna. Przypomniawszy sobie wyraz oczu Gilewskiego i znów obleciał go strach. - Chodźmy, już późno. Olański przyniósł forszę, rozumie pan? Prędszej...

Majster oddziału wahał się jeszcze przez chwilę, wreszcie mruknął:

- Zrzucę tylko fartuch, bo mokry.

Zawrócił do kantorka. Wilczyński szedł za nim jak cień, wciąż mając w pamięci twarz dyrektora. Majster zamknął drzwi, wsunął klucz do kieszeni, krzyknął na jednego z garbarzy, że za chwilę wraca i wyszli na podwórze.

Przed magazynem skór surowych znów się zatrzymał. Spojrzał Janowi prosto w oczy i zapytał:

- To mówi pan, że Olański jest sam? Bez Michalaka?

- Bez, przecież mówię.

- Kłamiesz, ty swołocz! - syknął nagle, widząc otwierające się drzwi do magazynu. Ale w tej samej chwili czyjeś mocne ręce schwyciły go i wciągnęły do środka. Wilczyński wskoczył tuż za nim, zatrzasnął drzwi, przekręcił klucz i oparł się o niego plecami.

- O co chodzi? - zaczął Biernacki na pozór spokojnie, ale głos mu dygotał. Dojrzał Gilewskiego siedzącego przy stole, na którym magazynier trzymał zwykle swoje rachunki, i wargi zaczęły mu się trząść.

- Zaraz się dowiesz - odparł Michalak. - Byłeś wczoraj w „Orłówce”?

Biernacki spojrzał nienawistnie na Olańskiego.

- Ścierwo - mruknął. - Już doniosłeś? Ty szpiegu dyrektorski!

Olański nie zareagował na obelgę. Jan dojrzał jednak, jak kark majstra wykończalni zaczyna powoli czerwienieć z tłumionej pasji.

- Byłeś w „Orłówce” czy nie? - indagował kierownik nieubłaganie.

- Byłem i co z tego? - wybuchnął Biernacki. - A ty po knajpach nie chodzisz? A on? - pokazał na Olańskiego. -

A ten - machnął w stronę drzwi ręką. - Jużście zapomnieli, jak się uchlał w „Cristalu”?

- Coś ty naszczekał jakiemuś facetowi po pijanemu? - Michalak podchodził teraz krok za krokiem, powoli,

coraz bliżej do Biernackiego, a jego ostra, zacięta twarz siniała z gniewu. - Nie pamiętasz? To my ci tu zaraz przypomnimy.

- Ja nie... Nieprawda! - krzyknął Biernacki, zastaniając się rękami. - Olański zełgał, nie wierzcie mu. Z nikim nie gadałem, ja wam przysięgam... dyrektorze, ja nigdy... ludzie, to nieprawda-a-a... - głos mu się nagle załamał, bo Michalak schwycił go za gardło.

- Nie krzycz. O skórach gadałeś z obcymi. Byli tacy, co cię widzieli i słyszeli. Nie krzycz, bo cię tak przycisnę, że dech stracisz. Coś mówił tamtemu? Tylko nie łzyj, my i tak wiemy.

Biernacki milczał dysząc ciężko. Nagle szarpnął się, wyrwał i rzucił na kolana przed Gilewskim. Jan zobaczył, że po jego rumianej zwykle, a teraz bladej jak płótno twarzy ściekają łzy. „Płacze?” - pomyślał ze zdumieniem. I zrozumiał, że majster płacze ze strachu o życie. „Chyba go nie będą zabijać?” - wzdrygnął się. Zrobiło mu się mdło.

Dyrektor wstał z krzesła i odszedł do okna, a po chwili powiedział:

- Trzeba z tym skończyć. Dajcie mu dobrze po mordzie... na razie. A potem zobaczymy.

Odwrócił się tyłem, założył ręce na plecy i pogwizdywał cicho. Biernacki podniósł się z klęczek, jeszcze nie wierząc, co go naprawdę czeka. Ale Olański już podwinął rękaw koszuli na prawej ręce, zamachnął się i uderzył - raz, potem drugi i trzeci. Tamten stęknął głucho, kaszlnął, poruszył ustami i wypluł dwa zęby. Nie uciekał po pierwszym ciosie. Wiedział, że mogło skończyć się o wiele gorzej, a nie był pewien, czy Gilewski jeszcze się nie rozmyśli. Toteż stał jak wielka, nieruchoma kukła, bez oporu poddając się uderzeniom. Chciał ich rozbroić tą pokorą i dopiął swego. Po trzecim ciosie Olański niezdecydowanie opuścił rękę.

100

101

- Stoi jak słupek - mruknął. - Bić w taką trąbę... - wzruszył ramionami. - Chyba ma dość.

Biernacki splunął parę razy krwią, odchrząknął i spojrzał na dyrektorskie plecy, a potem na Michalaka. Ten skrzywił się.

- Co teraz, dyrektorze? - spytał, zapalając papierosa.

Gilewski odwrócił się od okna, przyjrzał uważnie zaczerwienionej i opuchniętej twarzy majstra i rzekł niechętnie:

- Z taką gębą nie może wracać do oddziału. Dostanie dwa dni zwolnienia, posiedzi w domu. Porozmyśla sobie

o wszystkim, to mu dobrze zrobi. A na drugi raz, to się bracie takim łatwym kosztem nie wywiniesz.

Zapamiętaj sobie! U mnie nie ma chlania po knajpach i chlastania ozorem. Kto nie umie wypić jak człowiek, ten do lokalu nie ma po co chodzić. Chcesz pić, to pij w domu. Kto ci dał tyle zarobić, żeś sobie

dom w Międzyzlesiu postawił?

- Pan dyrektor - odparł Biernacki, sepleniąc przez dziury wybite w uzębieniu.

- Skąd twoja żona ma trzy futra? Kto ci dał na samochód? Na telewizor? Na hodowlę nerek?

- Pan dyrektor - powtórzył majster cichym głosem. Patrzył teraz na Gilewskiego wzrokiem zbitego psa, który chce za wszelką cenę przypodobać się swemu panu. Aby tylko nie bił.

- Zapamiętaj sobie, coś sam potwierdził. A teraz idź do domu - powiedział Gilewski, którego zawsze rozbrajała czyjaś pokora. - Przyłóż na twarz mokry okład. Jutro zastąpi cię w oddziale Toruński. Idziemy, panowie! - zwrócił się do tamtych. - Na dziś koniec roboty.

Wyszli pierwsi. Biernacki odczekał jeszcze parę minut, spoglądając na Wilczyńskiego spode łba. Gdy był już we drzwiach, syknął ze złością w jego stronę:

- My się jeszcze porachujemy, ty łgarzu zawszony! -

i pogroził mu pięścią.

Jan wzruszył obojętnie ramionami. Był ośpiały i znużony, jak po jakimś ogromnym wysiłku fizycznym. W oczach miał wciąż jedną i tę samą scenę, jak Olański zawija sta-

rannie rękaw koszuli, podchodzi do tamtego, uderza go z całej siły po twarzy... i jak z tej twarzy cieknie ciemna struga krwi. Pomyślał, że i jego mogło coś takiego spotkać za ten «Cristal», gdyby był obserwowany przez którąś z prostytutek, znajomych majstra czy Michalaka. On przecież też rozmawiał z obcymi ludźmi, dał się przez nich odwieźć do domu. Bóg wie, co im wtedy po drodze nagadał. Poczuł nagłą wdzięczność do Olańskiego, że go nie wydał.

Wdzięczność... Uśmiechnął się ironicznie. Trudno byłoby określić wszystkie uczucia, jakie zebrały się ostatnio w jego sercu w stosunku do całego gangu. Niewątpliwie była tam i swoista wdzięczność za umożliwienie dobrych i łatwych zarobków. Był pewnego rodzaju podziw dla sprytu i pomysłowości Gilewskiego, dla tej całej „roboty”. Ale była i nienawiść. Teraz zaś był również strach.

Pomyślał z nagłą rozpaczą, że nie ma już odwrotu i musi być z nimi do końca. Do jakiego końca? Czym to wszystko może się skończyć? Powiedzmy, że będą kradli jeszcze miesiąc. Nawet jeszcze rok. Nawet dwa. Wystarczy, że ich złapią przy którymś wyjeździe do Anina. Może wówczas Gilewski, za pomocą jemu tylko wiadomych chodów i pleców sprawę zatuszuje. Ale następnym razem zatuszować się nie da. A wtedy co?...

Zamknął magazyn i powlókł się w stronę portierni. Oddał klucze, odburknął coś na przyjazne zagadnięcie wartownika, postawił wysoko futrzany kołnierz nowego płaszcza i wyszedł na ulicę.

Chwilę po nim od zewnętrznej ściany muru okalającego Centralę oderwał się jakiś cień, który zaczął sunąć za idącym wytrwale, aż do przystanku, a gdy magazynier wszedł do tramwaju - odszedł i przepadł w mroku ulicy. Wynurzył się z niej dopiero na placu Dzierżyńskiego, minął „ogonek” przed kinem

„Muranów", skręcił do Pałacu Mostowskich i po chwili zapukał do drzwi jednego z pokoiów w Komendzie Miasta Milicji Obywatelskiej.

- Proszę - powiedział kapitan Szczęsny. A na widok wchodzącego, spytał z zaciekawieniem w głosie: - Coś nowego, kapralu? Siadajcie.

102

103

- Tak - odparł wywiadowca, rozpinając szarą jesionkę i wyciągnął paczkę „Sportów". - Mieli dziś między sobą niewąskie porachunki, kapitanie. Zeszli się do magazynu skór surowych: dyrektor Gilewski, Michalak - kierownik administracyjno-gospodarczy, majster Olański z wykańczalni i Wilczyński, ten ich nowy magazynier, „wyciągnięty" przez majstra z biura na miejsce Zawadzkiego. Magazyniera posłali do któregoś z budynków, zdaje się, że do oddziału mokrego, bo po paru minutach wrócił razem z tamtejszym majstrem Biernackim. On też do nich należy. Nie mogłem dobrze zaobserwować, ale wydaje mi się, że jak szedł z Wilczyńskim, to miał jakąś niewyraźną minę. Siedzieli w tym magazynie krótko, nawet nie pół godziny. Nie słyszałem żadnego krzyku, ale tam coś się musiało stać, bo wprawdzie wyszło trzech, a po chwili Biernacki z twarzą całą zalaną krwią. Przykładał sobie chustkę, pluł kilka razy na ziemię, chwiał się na nogach. Jak przechodził koło mnie, to kłął paskudnie. Ostatni wyszedł Wilczyński, też mocno osowiały.

- Może Biernacki po prostu się przewrócił i uderzył?

- To chyba tamci by go opatryli, zaprowadzili do taksówki czy do ambulatorium.

- Tak, sądzę, że macie rację. To by się zresztą zgadzało z tym, co mówił mi dziś rano plutonowy Kozioł. Biernacki był wczoraj w „Orłówce", pił na grandę, potem przysiadł się do niego i zwierzał mu się, że żyje z państwowej skóry. Miał dobrze wypchany portfel, rozrzucił pieniądze po stoliku, aż Kozioł musiał mu je po parę razy wkładać z powrotem do portfela.

- Skąd Kozioł wiedział, że Biernacki będzie w „Orłówce"?

- Ma go na oku od kilku dni.

- Kapitanie, oni chyba nie poprzestaną na tym mordo-biciu... - kapral spojrzał na Szczęsnego z powątpiewaniem. - Jak wychodzili, Gilewski coś cicho mówił kierownikowi, usłyszałem tylko: „ale on się już nie zmieni, mówię ci, ja go znam". Jeżeli Gilewski uważa, że Biernacki już się nie zmieni, to znaczy: nie poprawi, no to... sami rozumiecie, kapitanie. Wystarczy, że wpadnie „przypadkiem" do

104

kadzi ze skórami i zapłacze się pomiędzy nie na parę minut. Tam woda gęsta, pełna chemikaliów, żrąca... Tam trup może i dobę przeleżeć pod skórami. Nikt im potem nie udowodni. Wypadek, i tyle. Zdarza się przy pracy. Uważam, kapitanie, że o ile będą go rzeczywiście chcieli sprzątnąć, to właśnie tam, w Centrali. Tam najłatwiej.

- Ilu robotników pracuje w oddziale mokrym?

- Na jednej zmianie? Nie wiem dokładnie, ale tam jest kilka hal. Bardzo duże, ciemne, zabłocone... ślisko i mokro. Pełno pary czy jakiegoś dymu. Może to skóra tak paruje, albo te chemikalia. Wiem, że są takie momenty, w których na przykład w jednej połowie hali nie ma nikogo. Robotnicy przechodzą, wyciągają albo wpuszczają skóry do wanien, potem wychodzą na podwórze czy do drugiej hali. To nie fabryka włókiennicza, gdzie krosna koło krosien i z pięćdziesiąt ludzi widzi się wzajemnie.

Szczęśny słuchał uważnie i przytakiwał ruchem głowy. Kapral Wojtczak niewątpliwie miał rację, Biernackim trzeba było się zaopiekować. Ale jak? Sprowokować kłótnię czy bójkę w knajpie, przetrzymać parę dni w areszcie... i co dalej? Trzeba wypuścić. Zatrzymanie na dłużej oznaczało konieczność aresztowania całej bandy, a tego jeszcze nie można było zrobić. Pozostawało więc jedynie...

- Słuchajcie, kapralu - zaczął z namysłem - zgłosicie się jutro do pracy w oddziale mokrym. Będziecie mieli polecenie z komitetu pomocy społecznej waszej rady dzielnicowej. Ja to załatwię. Jako robotnik niewykwalifikowany, zajmiecie się pewnie noszeniem skór, czyszczeniem kadzi, czy inną, diabli wiedzą, jaką robotą. To w końcu nieważne. Ale będziecie uważać na Biernackiego. Gdyby wam się udało złapać kogoś na gorącym uczynku, to znaczy na próbie morderstwa, ocalicie jedno życie ludzkie, a przestępcy będą w naszych rękach. Oczywiście ja wiem, że to tak ładnie wygląda w słowach, a w rzeczywistości może być zupełnie inaczej. Możecie tkwić tam przy paskudnej, śmierdzącej robocie przez wiele dni i albo nic się nie stanie i wasza praca pójdzie na marne, albo nie uda się wam ich przyłapać. Trudno... będziecie mieli do czynienia

105

z bardzo przebiegłą i dobrze zorganizowaną bandą, która już nieraz wywiodła nas w pole.

- Mnie nie nabierze - odparł kapral Wojtczak.

Wilczyński wysiadł z tramwaju na rogu Alej Jerozolimskich i Marszałkowskiej. Kupił w kiosku papierosy, przystanął w bramie obok hotelu „Polonia”, zapalił i patrzył niechętnie na śpieszących się przechodniów. On nie śpieszył się nigdzie. Ani do domu, ani do kawiarni, kina, czy na pociąg. Po chwili stwierdził z lekkim zdziwieniem, że właściwie najchętniej nie ruszałby się z tej bramy, przytulniejszej niż dom czy kino...

Nie mógłby teraz wrócić do Marii, do dzieci. Nie mógłby milczeć dłużej - a mówić nie było mu wolno. W zeszłym tygodniu dał jej kilka tysięcy złotych. Właściwie położył na stole i mruknął, że wygrał znowu w „totka”. Poprosił, żeby kupiła co trzeba sobie i dzieciom. Mówiąc to, nie patrzył na nią, zaraz potem ubrał się i wyszedł na miasto.

Kiedy wrócił późnym wieczorem, pieniądze leżały na stole nieruszone. Pierwszy raz od wielu lat nie rozmawiali ze sobą przez cały następny dzień.

Trzeciego dnia zabrał nieszczęsne pieniądze, nakupował co mu tylko przyszło do głowy, przydźwigał do domu wypchaną teczkę słodyczy, owoców, butelkę wina, sardynki, wędlinę. Henryk i Basia rzucili się z

radosnym piskiem na czekoladki i pomarańcze. Maria patrzyła na to wszystko bez słowa. Miała podkrążone oczy i zaczerwienione powieki, jakby od płaczu.

Zbliżył się do niej nieśmiało, jak winowajca. Patrzyli na siebie przez chwilę i nagle Maria wybuchnęła płaczem. Kiedy objął ją i tulił, a dzieci umilkły przestraszone, zaczęła go nagle całować i przepraszać, szepcząc oderwane słowa, których nie bardzo mógł zrozumieć. Tej nocy znów byli razem i Janowi zdawało się, że może jeszcze w jakiś cudowny sposób wszystko się poprawi.

A teraz wiedział już na pewno, że nic naprawić się nie da.

- Czemu pan taki smutny?

106

Drgnął i obejrzał się w stronę, skąd głos dochodził. Po drugiej stronie bramy stała szczupła, młoda dziewczyna w kusym płaszczyku z włochatej tkaniny, w czerwonych pończochach i wysokiej, puchatej czapie na głowie.

- Pani do mnie mówiła? - spytał niepewnie.

- Nie, do krasnoludków. Cierpi pan za miliony? Mimo woli uśmiechnął się.

- O, widzi pan, od razu ładniej pan wygląda. Nie warto się martwić na tym zakichanym świecie. Ma pan papierosa?

Podał jej pudełko i zapalkę, ale zgasła na wietrze, więc przysunął się bliżej. Dostrzegł wtedy, że dziewczyna ma ładne, ciemne oczy i chyba nie więcej niż dwadzieścia lat.

- Co pan mi się tak przygląda? Brrr - wstrząsnęła się - zimno tu. Warto by się gdzieś rozgrzać.

- Wobec tego chodźmy do jakiegoś lokalu. O ile ma pani ochotę na moje towarzystwo - dodał żartobliwie.

- Ojej, czemu nie? Każdy lepszy niż żaden. Ale pan stawia - zastrzegła się. - Bo ja dziś jestem bez forsy. Mamusia w mamrze, tato wyjdzie w lato. Chodźmy!

Wilczyński ujął ją pod ramię. Poczul ostry zapach tanich perfum i ciepło ciała dziewczyny. Przeszedł go dreszcz. Zdecydowanie przeprowadził ją na drugą stronę, zmierzając w kierunku Pałacu Kultury, do restauracji „Pod iglicą”.

Kiedy usiedli przy stoliku, zamówili wódkę, zakąski i dwa bryzole z nieodłącznymi pieczarkami. Wypili, po czym Jan natychmiast nalał drugą kolejkę.

- Mam na imię Baśka. Możesz mi mówić ty - oznajmiła dziewczyna, pałaszując z apetytem sałatkę z drobiu w majonezie. - A tobie jak na imię?

Zawahał się sekundę.

- Zbyszek - skłamał, nie bardzo wiedząc dlaczego. Zachichotała, przypatrując mu się lekko zmrużonymi oczami.

- Niech będzie Zbyszek - mruknęła. - Co mi do tego...

- Nie wierzysz? - obraził się. Nalał następną kolejkę. -Masz rację. Mam zupełnie inne imię, ale to przecież nic nie zmienia.

107

Kelner przyniósł bryzole i mrugnął do dziewczyny porozumiewawczo. Wilczyński zauważył to i spochmurniał. Gdy zostali sami, rzucił opryskliwie:

- To twój znajomy?

- Kelner? - uśmiechnęła się przelotnie. - Kuzyn. Cioteczny brat siostry żony mego stryjecznego brata. - Parsknęła śmiechem.

- Czego nudzisz? Jedz bryzol, bo wystygnie.

Gdy wychodzili z Pałacu Kultury, Jan czuł przyjemny szum w głowie. Nie pamiętał już o żadnych zmartwieniach i kłopotach, odegnał je od siebie ćwiartką wódki i rozmową z obcą, głupią, ale ładną dziewczyną, którą trzymał teraz mocno pod rękę w obawie, aby mu nie uciekła. Sama jej obecność stwarzała pozory jakiegoś innego życia niż to, które dotychczas prowadził. Życie bez Centrali, bez pracy, Olańskiego i tamtych... bez Marii nawet...

- Chodź - pociągnął Baškę w stronę sklepu „Jubilera”. - Kupię ci coś ładnego.

Przystanęli przed wystawą. Dziewczyna patrzyła krytycznym okiem na rozłożone świecidełka, pudła ze srebrnymi sztuccami, kunsztownej roboty cukiernice i tace, zagraniczne zegarki, obrączki, bransolety.

- Jak chcesz mi coś ofiarować na przyjaźń, to kup... czekaj, nie tu. Pójdziemy w Aleje. W „Aligatorze” widziałam takie fajne czerwone botki zagraniczne, mówię ci, szafowe. Za pół patyka, czy nawet trochę taniej. Z zamkiem błyskawicznym na boku.

Botki rzeczywiście były śliczne. Baška aż poczerwieniła z emocji. Żadna z jej znajomych nie miała takich, a ten głupi frajer gotów był, zdaje się, kupić jej nie tylko botki... Wobec tego, już w nowym sprawunku na nogach, zaciągnęła go jeszcze do Cedetu po nylony bez szwu i różową nylonową koszulę z czarną koronką.

Jan kupował bez protestu, jak w transie, uśmiechając się, dobrodusznie na widok rozpromienionych oczu dziewczyny. Było mu dobrze. Oto nareszcie ktoś cieszy się z podarunków, nie pyta skąd ma pieniądze, nie płacze, nie podejrzewa... I tylko kiedy wychodzili ze sklepu, za każ-

dym razem ścisnął ją za ramię, wciąż bojąc się, że nagle gdzieś mu zniknie, a on zostanie znowu sam, ze wszystkimi kłopotami i ciężarem rosnącej winy.

W momencie, gdy przechodzili przez jezdnię na drugą stronę Alej, jakaś kobieta w ciemnopopielatym płaszczu drgnęła na ich widok i zatrzymała się w miejscu jak wryta. Jan spojrzał przelotnie na tę kobietę, twarz jej zdawała mu się znajoma, ale oczy przesłaniała mu równa mgiełka alkoholu, a pamięć nie chciała teraz pracować. „Potem, potem sobie przypomnę” - pomyślał, odruchowo przyspieszając kroku, bo na przeciwnym chodniku zapaliło się już żółte światło.

Baśka zupełnie inaczej tłumaczyła sobie przyciskanie jej ramienia i zadowolony uśmiech „Zbyszka”. Była w swoisty sposób uczciwa, za taki obiad i tyle prezentów gościowi należała się zabawa do samego rana. Miała też cichą nadzieję, że hojny portfel nie jest jeszcze zupełnie pusty i o świcie zawartość jego zmniejszy się o parę setek. Toteż uznawszy, że dalsza wędrówka po sklepach byłaby już przeciąganiem struny, przywołała ruchem ręki taksówkę i wepchnąwszy na siedzenie swego towarzysza, wskoczyła za nim, rzucając kierowcy wiadomy sobie adres.

Dochodziła siódma wieczór. Na oknach wystawowych spiesznie zapuszczano żaluzje, ostatni klienci łapali ostatnie bochenki chleba lubelskiego, ćwiartki masła czy topiony serek, sprzedawczynie nawoływały niecierpliwie: - Zamykamy, proszę państwa! - a kupujący jak zwykle, mruzczyli niechętnie, że z otwarciem to sklep się nigdy nie śpieszy, zaś zamykaniem to jak po ogień.

Taksówka zatrzymała się przed jedną ze starych, odrapanych kamienic. Jan, drzemiący dotychczas, ocknął się i rozejrzał dokoła nieprzytomnym wzrokiem. Na nagłący szept Baśki zapłacił, a właściwie rzucił kierowcy nie patrząc dwadzieścia złotych, co ten przyjął uprzejmym: „dziękuję państwu”, dodając po chwili: „życzę dobrej zabawy”. To już było typowo warszawskim, filuternym dodatkiem. Kierowca znał bowiem ten adres i sam się nim czasem interesował.

108

109

Wilczyński szedł posłusznie za dziewczyną, nie myśląc dokąd przyjechali ani po co. Weszli na drugie piętro, po czym Baśka zastukała w umówiony sposób do drzwi. Otworzyła im stara, siwowłosa kobieta, o bystrym spojrzeniu wyblakłych oczu. Miała wąskie, prawie niewidoczne wargi i brodę cofniętą do tyłu, przez co twarz jej przypominała ptaka.

- Dobry wieczór - pozdrowiła ją Baśka. - Gościa mam, pani Gołowska - i pokazała na stojącego za nią, chwiejącego się trochę na nogach Wilczyńskiego.

Stara przyjrzała mu się wprawnym okiem i zamruczała:

- Jak na parę godzin, to stowa. A jak do rana, to dwie. Gość pod muchą pewnie zaraz zaśnie. Pieniądze z góry musowo. Łóżko jest wolne.

- W którym?

- W pierwszym. Drugi pokój zajęty, tam lepsze goście już wczoraj wynajęli.

- A Wojtuś?

- Co ci dziecko przeszkadza? Dawno już śpi. No, jak ma być? Na całą noc?

Baśka odwróciła się do Wilczyńskiego, który przysłuchiwał się rozmowie z niezmaconym spokojem, nie bardzo wiedząc, czego ona dotyczy. Jakieś dziecko, goście pokój.

- Daj dwieście złotych. Szybko, co będziemy tak stać na schodach.

Dać, to dać. Wyjął portfel, podał dziewczynie dwie setki, a ona z kolei wręczyła je starej kobiecie. Po czym już z pewnością siebie, którą dawały pieniądze, pociągnęła Jana za rękaw, kierując się do pierwszego z brzegu pokoju.

Ciemno tam było, tylko przez siatkowe firanki wpadało trochę siwawego światła z jarzeniowej latarni. Baśka, nie zapalając lampy podeszła do łóżka wciśniętego w róg małego pokoiku i pomogła Wilczyńskiemu ściągnąć płaszcz z ramion. Sama rozebrała się szybko i sprawnie, układając starannie na krześle sukienkę i bieliznę. Nowe botki po krótkim namyśle wsunęła pod poduszkę.

- Nigdy nic nie wiadomo - mruknęła sceptycznie. A zobaczywszy, że Jan stoi wciąż nieruchomo przy łóżku, spy-

tała zdziwiona: - Czemu się nie rozbierasz? Nie bój się, ona zmienia pościel co tydzień. Tu jest czysto.

Wilczyński zdjął marynarkę. Nagle w drugim kącie pokoju ktoś się poruszył i zakaszłał.

- Kto tam jest? - zapytał zdziwiony i zaniepokojony.

- To Wojtuś. No, jej wnuk. Ma sześć lat, nic nie rozumie. Kładź się, on zaraz zaśnie.

W półmroku dojrzał jej błyszczące oczy i ciemne włosy, rozrzucone na poduszce. Nagie ręce założyła pod głowę i patrzyła na niego wyczekująco. A jemu tak bardzo chciało się spać...

Z tłumionym westchnieniem zaczął się rozbierać. Pomyślał o swoim wygodnym tapczanie, o domu. Nagle z ręką przy sznurowadle jednego buta znieruchomiał. Teraz już wiedział, kim była kobieta, którą minęli, przechodząc jezdnię. Zobaczył w pamięci jej twarz, tak wyraźnie, jakby ją miał tuż przed sobą. To była ich najbliższa sąsiadka, Irena Słońska, żona nauczyciela rosyjskiego.

Odkrycie przeraziło go do tego stopnia, że siadł ciężko na łóżku z butem w rękę, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu, blady i spotniały. Słońska... Na pewno ich widziała. Przechodziła przecież tuż obok, a on jak idiota uśmiechał się do wszystkich przechodniów i nawet jej się nie uklonił.

Baśka wyczuła widać, że coś się z nim dzieje, bo usiadła i zarzuciła mu ręce na szyję. Zaczęła go całować, wpięrk z obowiązku, potem coraz goręcej, bo w gruncie rzeczy jej się podobał, nawet był przystojny z tymi smutnymi, brązowymi oczami i pociągłą twarzą. Nieczęsto trafiał jej się klient młody, ładny i przy forsie.

- Nic się nie martw - szeptała muskając ustami koniuszek jego ucha. - Pluń na wszystko, mamy całą noc przed sobą... Najgorzej myśleć. Człowiek się robi potem do niczego. Chcesz wódki? Stara na pewno ma. Chcesz, to przyniosę...

Z nagłą objął ją silnie i przytulił. „Oto - myślał - jedyna naprawdę życzliwa mi osoba. O nic nie pyta, całuje, oddaje mi się, może nawet kocha...”

- Kochasz mnie? - szepnął z oczami pełnymi łez.

- Kocham, bardzo cię kocham - odparła bez namysłu, wciąż mając w pamięci piękne, czerwone botki, pończochy i koszulę. Wcale nie było trudno udawać wielką miłość dla takiego hojnego faceta.

- Chcesz wódki? - powtórzyła.

Kiwnął głową. Gdy wróciła z butelką i dwoma kieliszkami z grubego szkła, leżał już pod kołdrą, a ubranie i bielizna walały się beztładnie na podłodze. Ułożyła wszystko na krześle, podała mu pełny kieliszek. Wypił, przyciągnął ją do siebie, potem pili oboje z butelki, raz jedno, raz drugie.

- Ty tu mieszkasz? - zapytał w pewnej chwili, odstawiając pustą butelkę na podłogę. Dziecko w kącie znów poruszyło się i zaczęło kaszleć.

- Nie, skądże. Mieszkałam u starej Gołowskiej jak uciekałam z domu, ale to było dawno. Chyba z pół roku temu.

- Uciekałaś z domu? Dlaczego?

- Bo ja wiem... Tak sobie. A co miałam robić. Z babką byłam, bo matka poszła do kicia za handel. A ojciec siedzi od trzech lat. Nie, teraz już będzie od czterech. Babka ma tylko rentę kolejarską, choruje, nie dostyszy, ciągle tylko trzeba jej krzyczeć do ucha. Poszłam do pracy w fabryce, wiesz tej wielkiej, co tam robią mydła, wody kwiatowe, szminki... Nawet mi się podobało.

- I odeszłaś?

- Mhm.

- Dlaczego?

- Coś ty, milicjant, czy co? Wszystko chcesz wiedzieć. Tak sobie odeszłam, bo mi się chciało... No, szminek trochę sobie zabrałam. Dla znajomych. Jedna baba, strasznie wredna, mnie nakryła. Musiałam wiać.

- Kradłaś? - spytał surowym tonem. Roześmiała się ochryple, była już pijana.

- A ty nie kradniesz? - odparła zapytaniem. - Wszyscy kradną. W sklepach, w restauracjach, w urzędach, w fabryce... Jak się dobrze umie, to można bardzo długo ciągnąć. Ja nie miałam wprawy, to wpadłam. Teraz już umiem. - A widząc jego odruch niechęci, dodała szybko: -Nie bój się, ciebie nie okradnę. Ty jesteś cholerny frajer,

ale mi się podobasz. Tylko natura u ciebie chłodna jakaś taka, pewnieś dawno kobiety nie miał, co?

- Co jemu jest? - spytał Jan, aby uniknąć rozmowy

o swojej naturze. - Zawsze tak kaszle?

- Chyba już rok. Pewnie chory na płuca, matka była gruźliczką. U babki ma dobrze. Stara o niego dba, mleko mu kupuje, masło. Klientów na noc ma zawsze pełno, to

i pieniędzy jej nie brak.

Janowi przyszło na myśl, że zdrowie tego dziecka jest w jakimś stopniu uzależnione od zarobków uzyskanych z kuplerstwa jego babki i uśmiechnął się ironicznie. Ależ głupi jest ten świat. Przyłgnął do gorącego ciała dziewczyny. Zapomniał o Marii. O wszystkim.

ROZDZIAŁ 6

Porucznik Kręglewski poprawił szarą cyklistówkę i zaciągnął pasek na futrzanej kurtce, po czym rzekł pół żartobliwie:

- Jak do rana nie wrócę, zmów za mnie wieczny odpoczynek. Słyszysz?

- Słyszę - odparł kapitan Szczęsny, zajęty czyszczeniem pistoletu. - Sprawdzałeś aparaturę?

- Tak. Wczoraj Nowak poprawił przewód od mikrofonu, bo był nadszarpnięty. Jaka częstotliwość?

- Dwieście sześćdziesiąt trzy megaherce.

- Co?

- Jeżeli wolisz, to megacykle, tumanie. Poducz się trochę terminologii radiowej. Oczywiście numer fali pamiętasz?

- Czternaście. Będiesz na nasłuchu?

- Tak. Pewnie usnę z nudów. Czego ty się właściwie spodziewasz po tym całym Niemczaku? Nic ci facet nie powie, bo cię nie zna. Najwyżej wyrzuci za drzwi.

112

113

- Niech spróbuje. Serwus, Szczęsny. Fala czternaście...

- Trzymaj się, detektywie z bazaru. Za godzinę będę w Komendzie.

Kręglewski zbiegł szybko z piątego piętra, przeskakując po dwa stopnie, przeszedł równym, sprężystym krokiem przez jezdnię i wpadł prosto w ramiona milicjanta z Komendy Ruchu, który od dobrej chwili szykował się na przechodnia, lekceważącego czerwone światło. Zażenowany porucznik bąknął coś na usprawiedliwienie i potulnie zapłacił mandat, nie chcąc się demaskować. Klnąc w duchu, wystuchał jeszcze pouczenia na temat przepisów drogowych, aż milicjant zdziwiony jego milczeniem, pomyślał, że gość może przygłuchy i przeprosiwszy, odszedł lekko speszony.

Mały porucznik wsiadł do tramwaju idącego na Pragę. Po pół godzinie wchodził ostrożnie na ciemne,

drewniane schody starej kamienicy, wdychał zapach kwaśnej kapusty i stęchlizny, wiejącej ze wszystkich kątów i rozglądał się dokoła, szukając wskazanego mu numeru. Słaba żarówka na drugim piętrze ukazała niewyraźne „24”, a obok kredą białe litery: K.M.B., przeplatane krzyżykami. Poniżej odkrył napis „Balcerzak, dzwonić dwa razy”, sięgnął więc do dzwonka i nacisnął dwukrotnie.

Po dobrej chwili drzwi uchyliły się i stanął w nich wysoki, tęgi mężczyzna, w rozpiętej na piersiach koszuli i spodniach z welwetu. Był nieogolony i jakby zaspany.

- Pan do kogo? - spytał, drapiąc się po szczeciniastym podbródku i ziewnął szeroko. Ziało od niego alkoholem.

- Ja do pana Niemczaka. Jest w domu?

Po twarzy nieogolonego przeleciało coś jakby zdumienie.

- Dla jednego jest, a dla drugiego nie ma. - odparł niedbale. - Pan z interesem? Od kogo?

- Od nikogo. Albo jak pan wolisz: od samego siebie. Woźniak jestem. Wincenty. Z Radomia. „Stasiek” mnie tu skierował, ale widzę, że w niegościnniej dom trafił, a ja nie przywykłem interesu na schodach omawiać. Szanowanie.

Odwrócił się i powoli zaczął schodzić ze schodów.

- Czekaj pan! - usłyszał za sobą. - Coś pan taki prędki, jak pragnę zdrowia. Proszę - otworzył drzwi szeroko. - Proszę hrabiego, kłaniam się nisko. W lewo, gdzie otwarte.

Kręglewski wszedł do dużego pokoju, ciasno zastawionego meblami, pamiętającymi chyba pierwszą wojnę światową. Jakieś pluszowe kanapy, z których sypało się włosie i kłaki brudnej waty, jakieś antyczne krzesła z powyginanymi poręczami, rzeźbionymi w liście i winogrona, olbrzymi kredens z imitacji hebanu - wszystko to rozpaczliwie i na siłę upchnięte pod ścianami, pachniało kurzem i starością.

- Poczekaj pan tu - wysoki mężczyzna wskazał mu jeden z foteli, po czym znikł za drzwiami.

Kręglewski usiadł i zapadł się w miękką głąb aż po brodę. Zerwał się szybko. Tutaj stanowczo bezpieczniej było stać. Oparty o kredens, nadśłuchiwał uważnie szmerów i szelestów, dobiegających z mieszkania. Ktoś rozmawiał jakby przez telefon, słychać było szczykanie garnków i szum wody z kranu, na górze zapłakało dziecko.

Minęły może dwie minuty, kiedy drzwi otworzyły się znowu i pojawił się w nich ten sam nieogolony.

- Proszę - ruchem głowy pokazał, że ma iść za nim. Przeszli przez korytarz, minęli kuchnię, w której jakaś starsza kobieta kręciła mięso przez maszynkę, spoglądając na nich ciekawie, potem wysoki mężczyzna zatrzymał się przed jednymi drzwiami i rzekł krótko: -Tu.

Kręglewski zastukał, w głębi pokoju ktoś powiedział: -Proszę - więc wszedł. Nieogolony został na korytarzu, albo odszedł do siebie.

Z fotela pod oknem podniósł się mężczyzna w sile wieku, dobrze zbudowany, o twarzy zawodowego boksera, z charakterystycznie złamaną kością nosową. Ubrany był w elegancki garnitur z granatowej eksportowej wełny, na lewej ręce miał ciężki złoty pierścionek z połyskującym kamieniem.

Nie mówiąc słowa wyciągnął do Kręglewskiego dużą rękę o mocnych palcach i uściśnął ją lekko. Porucznik po-

114

115

myślał, że gdyby tamten chciał, mógłby mu zgruchotać kości jednym uściskiem tej ręki.

- Niemczak - powiedział mężczyzna, przyglądając mu się uważnie spod ciemnych gęstych brwi. Oczy miał niewielkie, patrzące bystro i chłodno.

- Woźniak Wincenty, z Radomia - przedstawił się oficer i usiadł na wskazanym mu krześle. Światło palącej się na bocznym stole lampy padało mu prosto na twarz, natomiast Niemczak na swoim fotelu ukryty był w zielonkawym cieniu. Było to tak oczywiste, że Kręglewski odsunął krzesło na bok i uśmiechnął się ironicznie.

- Co pan tak gościa oświetlasz, jak nie przymierzając gliny na przesłuchaniu? - rzucił i od razu przeszedł do interesu. - Panie Niemczak, sprawa idzie o niewąską gotówkę. Potrzebuję dwieście albo trzysta sztuk dobrej skóry. Jak mówię „dobrej”, to panu chyba nie potrzebuję tłumaczyć jakiej. Płacę gotówką przy odbiorze. Podaj pan swoje ceny na każdy towar.

Niemczak milczał przez chwilę, obserwując gościa spod oka, wreszcie zapytał:

- Co pan robi w Radomiu?

- Do kina chodzę - odparł porucznik niecierpliwie. - Takie gadki to sobie pan schowaj dla swoich ludzi. Ja nikomu sprawozdania z tego co robię, zdawać nie będę. Chyba na tamtym świecie. Zresztą... - wyciągnął z wewnętrznej kieszeni portfela i pokazał gruby plik pięćsetek. - Ot, co robię. To robię. Starczy?

Niemczak nagle uśmiechnął się.

- Na kiedy chcesz pan towar? - spytał już innym tonem. Kręglewski odetchnął nieznacznie. Najtrudniejszy moment miał chyba za sobą. Podrapał się w głowę z namysłem.

- Muszę zamówić ciężarówkę - rozważał na głos - albo i dwie. Ludziom też trzeba dać znać. Powiedzmy, na pojutrze. Skąd mam skóry odebrać?

Niemczak zastanawiał się przez chwilę.

- Z Ronda Waszyngtona - odparł. - Tam co wieczór przejeżdża sporo wozów z budowy. Podjedzie pan najpierw jedną ciężarówką, nasza będzie stała z papą albo z deska-

mi na wierzchu. Przerzuci się skóry i jedna odjedzie. Potem przeczekamy patrol, naładujemy drugą. Chce pan więcej grubych, podeszwowych czy miękkich?

- Mam zbyt i na jedne, i na drugie. Na ten raz może być więcej miękkich. Niech pan poda ceny.

Uzgadnianie transakcji trwało dobre pół godziny. Kręglewski kłócił się o każdą złotówkę, czym do reszty rozproszył nieufność Niemczaka. Wreszcie dobili targu i porucznik wstał.

- No, to do pojutra - wyciągnął rękę.

Pożegnali się niemal serdecznie. Niemczak odprowadził go do drzwi wejściowych. W chwili, gdy je otwierał, po schodach wchodził właśnie jakiś młody mężczyzna z kluczem w ręku, widać jeden z lokatorów kilkupokojowego mieszkania. Spojrzał na Kręglewskiego i nagły błysk zdumienia pojawił się w jego oczach. Przepuścił go, szybko wszedł do przedpokoju, a gdy Niemczak z resztką uśmiechu na ustach zamykał drzwi, tamten szarpnął go za ramię.

- Franek, co on tu robi? - szepnął przestraszony.

- Kto? - spytał Niemczak. - Ten, co wyszedł? Z interesem przyszedł. Towar kupuje.

- Ten? - mówiący zaczął dygotać z wrażenia. - Przecież to glina. Franek, ja go znam. Przesłuchiwał mnie kiedyś w Pałacu Mostowskich.

Twarz Niemczaka nagle przybrała złowrogi wyraz, oczy zwęziły się.

- Nie mylisz się, Ignaś? - ręka jego szybko zagłębiła się w prawej kieszeni spodni. - Czy twój wóz stoi przed bramą?

- Gdzież tam! Glina, jak amen. Wóz stoi. Po co ci? Ale Niemczak już otwierał drzwi.

- Chodź! - syknął, zbiegając cicho ze schodów w pantoflach na mikrogumie. Nachylił się nad poręczą i zawołał: - Panie Woźniak!...

Kręglewski zatrzymał się w połowie pierwszego piętra.

- A co tam? - spytał zdziwiony. Pomyślał, że Niemczak zmienił z jakiejś przyczyny dzień albo godzinę odbioru skóry.

Tamci zbliżyli się i handlarz powiedział:

116

117

- Zapoznaj pan się z kolegą, a potem pojedziemy w jedno miejsce.

Porucznik uściśnął podaną mu wielką sękatą łapę, usłyszał jakieś mruknięcie zamiast nazwiska, wymienił swoje, po czym spytał:

- Dokąd pan chcesz jechać o tej porze? Ja już nie mam czasu.

- Niedaleko. Pokażę panu nowy transport, który kolega właśnie przywiózł. Obejrzyś pan sobie i wybierzesz, co ładniejsze. Idziem, bo czasu szkoda.

Oficer poczuł nagle jakiś niepokój. W tej sytuacji były jednak tylko dwa wyjścia: albo jechać z nimi, albo zdemaskować się i popsuć całą robotę. Wybrał więc to pierwsze, wyszedł na ulicę i wsiadł wraz z Niemczakiem do granatowej warszawy, a obcy mężczyzna zajął miejsce za kierownicą.

- Gdzie to jest, panie Niemczak? Bo ja mam naprawdę mało czasu - rzekł z nieudany niepokojem, usiłując niepostrzeżenie zapamiętać wnętrza wozu. Jechali z dużą szybkością Aleją Waszyngtona, minęli ulicę Grenadierów, skręcili w Grochowską.

- Niedaleko.

- A skąd ten transp... - zaczął Kręglewski i nagle uczył potężny cios między oczy. Zdawało mu się, że jego czaszka rozpada się na dwoje, w oczach pociemniało, potem jeszcze zapadał się w czarną, pustą otchłań bez dna...

Niemczak zarzucił mu na twarz swój szalik i powiedział:

- Śpiesz się, Ignaś, polecimy na Otwock. Tam jest gęsty las...

Przytomność zaczęła mu wracać, gdy przystanęli. Niemczak wziął go na ręce i wyrzucił z auta jak worek na zeschniętą jesienną trawę. Obmacał go pobieżnie, zabrał portfel, do kieszonki jednak, ukrytej przemyślnie w grubym kozuchu kurtki, nie zajrzał. Kręglewski wolno zbierał myśli, niezupełnie jeszcze przytomny, ale już czujny na każdy swój ruch, rozumiejąc, iż nie wolno mu zdradzić się, że żyje. Przez maleńką szparę w przymkniętych powiekach dostrzegł w świetle reflektorów samochodu, że mło-

118

dy mężczyzna otwiera bagażnik i wyjmuje stamtąd łopatę. „Zabiją i zagrzebią” - pomyślał. Uczuł lodowate zimno z tyłu czaszki, zacisnął zęby. Bardzo ostrożnie poruszył nogami, potem rękoma. Lekko uniół głowę, poczuł przejmujący ból w oczodołach, ale był w stanie go znieść.

Nagle znieruchomiał i zamknął szczelnie powieki. Niemczak podszedł do niego, przyjrzał mu się uważnie, kopnął w brzuch. Porucznik leżał jak wór z piaskiem, nie drgnął nawet na powtórne kopnięcie.

- Zdechł - mruknął handlarz. - To i lepiej. Nie trza rąk brudzić. Chodź Ignaś, wykopiemy trochę dalej od drogi.

- Zgaś światło, widać z szosy - mruknął młody mężczyzna, sięgając do wyłącznika. Po chwili ciemność spadła na drogę i las, tylko mała latarka w ręku Niemczaka pobły-skiwała żółtym światłem. Oddalili się o kilkanaście kroków, pogadując do siebie z cicha.

Wtedy porucznik najpierw powolutku, potem coraz szybciej zaczął czołgać się w odwrotną stronę, a kiedy zastąpiły go krzaki, wstał, syknął z bólu, przebiegł przez drogę i znikł w głębi gęstych, młodych

sosenek.

Czuł jednak, że zbyt daleko nie ujdzie. Z rozbitej twarzy nad nosem sączyła się krew, bał się, że może stracić przytomność. Przedarł się więc przez zagajnik aż do większych drzew, wybrał kępę wysokich, dobrze rozgałęzionych brzoź, wdrapał się na jedną, jęcząc cicho z bólu i umieścił między konarami. Przez chwilę czekał, czy nie usłyszy szelestu i kroków pogoni, potem wymacał w ukrytej kieszonce aparaturę nadawczo-odbiorczą i odetchnął z ulgą. Wyciągnął antenę, wyjął słuchawki, wsadził je do uszu, wziął do ręki maleńki mikrofon i włączył nadajnik. Skala zajaśniała zielonym światłem. Nastawił pasmo częstotliwości, rozpoczął wywoływanie. Ale gdy przeszedł na odbiór nie usłyszał nic, prócz trzasków i szmerów.

Zmarszczył brwi. Czyżby Szczęsny zawiódł? To się jeszcze nie zdarzyło. Zresztą, mieli tam dyżurować na zmianę z kapitanem Śliwińskim. Pilnie wsłuchiwał się w eter, znów przechodził na nadawanie, znów na odbiór. Cisza.

119

Wyjął słuchawki z uszu, przywarł do pnia i wlepił wzrok w ciemną przestrzeń pod nogami. Zdawało mu się, że ktoś przedziera się przez las, to znowu, że słyszy jakieś nawołujące się głosy. Przetarł oczy, rozumiał, że ogarnia go gorączka. Włożył z powrotem słuchawki, cierpliwie zaczął wywoływać: - Krzemień, krzemień... tu mika, krzemień, tu mika... krzemień...

Nic. Spojrzał na granatowe niebo nad głową, pełno błyszczących gwiazd. Gdzie oni go właściwie przywieźli? I jak długo był nieprzytomny... Nagle zrozumiał. Widocznie znajdował się już poza zasięgiem swojego transceivera.

To była klęska. Nie mógł się porozumieć, nie mógł podać przebiegu rozmowy z Niemczakiem, wskazać terminu dostarczenia skór. Jeżeli go nawet słyszą - tam, w Komendzie, to tak słabo, że niewiele zdołają z tego zrozumieć. Pozostaje mu więc tylko wydostać się z tego lasu, gdziekolwiek on się znajduje, i poszukać najbliższego posterunku milicji.

Tak. Ale czy Niemczak i jego „kolega” pozwolą mu uciec? Z pewnością już zauważyli, że nie ma go przy samochodzie. Mają latarki, mają na pewno i broń.

A może jednak w Komendzie słyszą go na tyle, że rozumieją? „Trzeba zaryzykować” - pomyślał. Wywołał hasło i zaczął mówić:

- Szczęsny, jeżeli mnie słyszysz, zapisz co mówię. Ja nic nie odbieram tylko trzaski, ale może ty mnie słyszysz... Z wiadomym ci człowiekiem zawarłem umowę na trzysta sztuk, pojutrze o szesnastej trzydzieści, na Rondzie Waszyngtona, ciężarówka z cegłami lub innym materiałem budowlanym, a pod spodem towar... Ktoś mnie chyba rozpoznał, bo dostałem między oczy i wywieźli mnie w jakiś las. Jechaliśmy Aleją Waszyngtona, potem skręciliśmy w Grochowską, dalej nie wiem...

Urwał. Zastanowił się chwilę, potem zaczął znowu:

- Jeżeli słyszy mnie Komenda Milicji Obywatelskiej, niech notuje co mówię... Nie wiem gdzie jestem, ale zapiszcie i przekażcie kapitanowi Szczęsnemu...

120

*

Kapitan Szczęsny sięgnął po papierosa. Był zdenerwowany i niespokojny. Od godziny powinni mieć łączność z porucznikiem Kręglewskim, albo on sam powinien był już wrócić do Komendy Miasta. Tymczasem jednak, prócz trzasków i gwizdów, nie odebrali ani słowa. Fala czternaście milczała.

Kapitan Śliwiński, inżynier-radiomechanik z zawodu i z zamiłowania, cierpliwie regulował skalę, wymienił przepalony bezpiecznik, co kilka chwil nastawiał „czternastkę” i powtarzał wyraźnie i głośno:

- Tu krzemień, tu krzemień... mika, odezwij się... czy mnie słyszysz?... Tu krzemień, tu krzemień...

Ale „mika” nie odzywała się.

Podpułkownik Daniłowicz dwukrotnie telefonował, wpierw ze swego gabinetu, a potem z mieszkania, dopytując o Kręglewskiego i Szczęsny dwukrotnie powtarzał:

- Jak dotąd nic.

Dochodziła północ, kiedy w drzwiach centralnej radiostacji ukazał się milicjant w płaszczu i czapce, z paskiem zsuniętym pod brodę, zasałutował i powiedział:

- Obywatelu kapitanie, na dole czeka jakiś porucznik. Wojskowy. Mówi, że ma pilną sprawę.

- Wojskowy? - zdziwił się Szczęsny. - Sprawdźcie dokumenty i niech przyjdzie. Tylko przyprowadźcie go, niech sam nie łązi po gmachu. Cholera wie, kto to jest.

Po paru minutach do drzwi zastukano i wszedł, eskortowany przez milicjanta, młody porucznik w mundurze wojskowym.

- Słucham was, poruczniku - rzekł Szczęsny podchodząc i witając się. - Jestem kapitan Szczęsny. Macie coś do mnie?

- Tak - odparł wojskowy. - Obsługa stacji pelengato-rów z naszej jednostki dostarczyła mi przed chwilą meldunek, który chyba was dotyczy. Proszę.

Obaj kapitanowie pochylili się nad blankietem i Szczęsny wykrzyknął ze zdumieniem:

- To Kazik!

121

- Ustaliliśmy miejsce, skąd radiogram został nadany -dodał porucznik z lekką dumą w głosie. - To jest tutaj -podszedł do mapy województwa warszawskiego. - Z dokładnością do pięciu metrów. Na blankiecie

macie napisane współrzędne.

Kapitan Śliwiński przyjrzał się mapie i określił miejscowość. Szczęśny już wkładał płaszcz, mówiąc do słuchawki:

- Dwa radiowozy, majorze... Tak, Śliwiński jedzie ze mną. Zabierzemy też porucznika, o ile zechce... - spojrzał na niego pytająco, wojskowy skinął głową. - Zawiadomcie, proszę, naczelnika.

Po chwili zbiegali pędem po schodach, głośno stukając butami i rzucając w pośpiechu oderwane słowa. Każda minuta była im teraz droga.

- Uważaj, porucznik Kręglewski może być na szosie. Ja go znam. Jeżeli tylko nie stracił przytomności, to idzie w kierunku Warszawy. On ma psi węż, z najgorszej dziury wylezie.

Ujechali jeszcze kilka kilometrów. Porucznik mruknął, że to chyba gdzieś tutaj, a gdy reflektory samochodu padły na otwierający się przed nimi zakręt, Szczęśny poderwał się z siedzenia i krzyknął:

- Nie mówiłem? Lezie drogą. Ach, żeby go jasna!... Wóz zahamował i Biały Kapitan wyskoczył jakby się paliło... Kręglewski dojrzał i poznał radiowóz, bo z daleka machnął im ręką. Nie spytał nawet, czy go usłyszeli, spojrzał tylko na wojskowego, mruknął: - Cześć, masz u mnie litra... i zaraz zaczął gorączkowo określać Szczęśnemu miejsce, w którym Niemczak szykował jego grób.

Ale w lesie przy piaszczystej drodze nie było już samochodu ani obu handlarzy. Znaleźli natomiast świeżo wykopany dół i w mocnym świetle reflektorów radiowozu, dość wyraźne ślady opon warszawy. Kręglewski zapamiętał numer wozu, choć nie wierzył, aby mogło to się na coś przydać. Numer na pewno został już zmieniony wraz z całą tabliczką i znakami rejestracyjnymi, a samochód pędził pewnie gdzieś w mroku nocy, oddalając się od Warszawy na bezpieczną odległość.

Mimo to „wyprawa” porucznika dała większe rezultaty niż on sam z początku przypuszczał. Oczywiście w pokoju Niemczaka nie było już nikogo, a wszelkie papiery czy kwity zabrane lub zniszczone dokumentnie - tym niemniej dokładne oględziny mieszkania oraz wielogodzinne przesłuchiwanie Balcerzaka i jego żony posunęło sprawę, noszącą kryptonim „Skóra”, o poważny krok naprzód.

Pętla zaciskała się powoli, ale nieubłaganie.

Dyrektor Gilewski uniósł w górę kieliszek i uśmiechnął się.

- Dziękuję, serdecznie dziękuję - mówił wzruszony.

Mężczyźni z hałasem odsuwali krzeselka i podchodzili do niego, aby trącić się kieliszkiem, kobiety przesyłały uśmiechy lub wyciągały ręce przez stół, aby ucisnąć mu dłoń. Powstało lekkie zamieszanie, ktoś wylał na obrus sos tatarski, a Olański wygłosił krótkie, lecz treściwe przemówienie, w którym było wiele ciepłych słów dla solenizanta.

Gilewski powtarzał co chwila, że przecież on urodzin nie obchodzi, a do imienin jeszcze daleko, ale nie dawali mu skończyć, śpiewając „Sto lat” na całe gardło.

Jego żona, ubrana na tę uroczystość w nową suknię z czarnej mieniącej się tafty i kilka sznurów pereł, rozmawiała z siedzącym obok niej Toruńskim, który wypił trochę za wiele i coraz bardziej się do niej przysuwał.

Majster oddziału mokrego, Biernacki, zajął skromne miejsce na końcu stołu i nie odzywał się prawie. Jan, który obserwował go nieznacznie, zastanawiał się o czym myśli i co czuje ten człowiek, niedawno przecież zbity do krwi przez siedzącego przy dyrektorze Olańskiego, upokorzony przez nich, okłamany i sponiewierany, a teraz goszczony na równi z innymi, jak gdyby nic nie zaszło wówczas w magazynie.

Biernacki jadł mało i pił ostrożnie, drobnymi łykami, uśmiechając się, gdy napotkał czyjeś spojrzenie. Widać było, że wszelkimi siłami stara się dopasować do ogólnego nastroju bawiących się, ale łatwo mu to nie przychodzi.

122

123

„Nie może zapomnieć” - pomyślał Jan i przestał się nim zajmować. Po swojej lewej ręce miał żonę Michalaka, kobietę rozrośniętą i tęgą, o wyrazistych czarnych oczach, zapatrzoną i zasłuchaną w to całe towarzystwo, w którym nieczęsto bywała. Na żartobliwe uwagi Wilczyńskiego, z początku nie reagowała, potem zaś rozweseliła się na dobre, wybuchając co chwila głośnym śmiechem.

Tymczasem rozmowa mężczyzn zesłała niespodziewanie na interesy. Gilewski niepokoił się dość długą nieobecnością Niemczaka i brakiem od niego jakiegokolwiek wiadomości. Dwa transporty skóry czekały w ukrytym magazynie, ale handlarz nie zjawił się ani w umówionym terminie, ani w dni następne. Gilewska, wysłana na zwiady do jego mieszkania, na próżno dzwoniła i stukąta do drzwi, Nikt jej nie otworzył, co było tym dziwniejsze, że mieszkał tam jeszcze Balcerzak z żoną i młody „Iгнаś”, prawa ręka Niemczaka.

- Może wyjechali wszyscy do Krakowa? - rzekł w pewnej chwili brakarz Sanicki, ogryzając starannie udko gęsie. Tłuszcz spływał mu po brodzie, więc wytarł ją starannie chusteczką i dodał: - Z pewnością odezwą się lada dzień. Skóry mogą tutaj poczekać.

Ale Gilewski nie podzielał jego beztroski. Nieobecność Niemczaka była mu mocno nie na rękę, a poza tym obawiał się poważnie, że jednak handlarzowi mogło coś się przytrafić.

- Powinien w każdym razie zawiadomić o wyjeździe - rzekł sięgając widelcem po różowy płat szynki. - Słuchaj, w przyszłym tygodniu trzeba będzie pojechać do Lublina - zwrócił się do Michalaka, który w skupieniu przeżuwał kanapkę z pasztetem.

- Do spółdzielni? - spytał kierownik, patrząc na dyrektora swym zimnym, ostrym wzrokiem.

- Tak. Musisz dogadać się z magazynierem Witkowskim, wiesz, tym garbatym, żeby kwitował naszemu konwojentowi odpowiednio większą ilość skór niż dostaje. Chłopak jest już prawie urobiony, rozchodzi się tylko o jakieś głupie parę tysięcy. Możesz mu dać, pies go drapał.

Wilczyński przerwał bawienie Michalakowej i odwrócił się w prawo, do magazyniera skór gotowych w Centrali, Różańskiego, z którym dotychczas prawie się nie widywał. Różański miał długą, końską twarz, ozdobioną rudawym wąsikiem, a jego jasne, wyblakłe oczy pełne były melancholii i jakiegoś rozżalenia. Wypił już niejedną kieliszek, więc zaczął się zwierzać Janowi, że go wszyscy chcą „wykiwać”.

- Taki Gilewski - szeptał mu do ucha - bierze zawsze osiemnaście procent od każdej transakcji, czy jest przy tym, czy nie. Olański ma dwanaście i pół, Michalak i Toruński po dziewięć. A ja co? Raptem sto dwadzieścia patyków mi opylili. Jak z łaski. Inni sobie już wille powystawiali, a ja głupiego chevroleta nie mogę się dochrapać.

- To dyrektor ma osiemnaście procent? - zdumiał się Jan. - Ile on już wziął do tej pory, jak pan myśli?

- On? - Różański zmrużył jedno oko. - Dałbym głowę, że ładny milionik. A może i więcej. No, policz pan, rozejrzyj się dokoła. Zobacz te dywany, obrazy, meble, te kryształ i zastawy stołowe... obejrzyj sobie całą willę, a skąd pan wiesz, że to tylko jedna? W Warszawie jedna, a w drugim końcu Polski może jeszcze ze trzy. Ten jego mercedes, to chyba ze dwieście wart. Zobacz pan, jak jego baba ubrana, ile forsy ma na tych krzywych paluchach...

Jan słuchał uważnie, nachylając głowę, bo magazynier mówił szeptem, ledwie poruszając wargami.

- Sądzi pan, że więcej niż milion? - spytał, gdy Różański skończył i wbił widelec w kawałek czerwonej, wędzonej polędwicy.

- A pewnie.

To była dla Wilczyńskiego rewelacja. Wydawało mu się dotychczas, że zarobki dyrektora, Olańskiego i tamtych kilku z kierownictwa gangu wynoszą - no, kilkaset tysięcy złotych. W Centrali przebąkiwano, że willę Gilewski postawił za pieniądze otrzymane ze sprzedaży paczek zagranicznych, które dostawał w znacznych ilościach. Nikt przecież z robotników nie widział tej willi wewnątrz, a mało który z zewnątrz. O Michalaku mówiono, że żona wniosła mu duży posag, uzyskany ze sprzedaży gospodarstwa

wiejskiego, gdzieś w Rzeszowskiem. O Olańskim najchętniej nie mówiono nic. Bano się go.

Milion... Spojrzał na Gilewskiego, jakby go po raz pierwszy zobaczył... „Tak wygląda właściciel miliona złotych” - myślał raczej ze zdumieniem niż zawiścią. I nagle przyszło mu do głowy, że gdyby się bardzo usilnie upierał, tak za wszelką cenę, kosztem innych - to może i on doszedłby do miliona. A wówczas...

- Nic podobnego - powiedział twardo Gilewski, a głos jego rozległ się donośnie w z nagłą zapadłej ciszy. - Za sto metrów kwadratowych miękkiej cielecej musimy wziąć minimum osiemdziesiąt tysięcy złotych.

- Rzeczywista wartość... - zaczął Różański z wahaniem, ale dyrektor machnął ręką niecierpliwie.

- Mnie nie obchodzi rzeczywista wartość. Ja mam swoją wyliczoną, taką, która nam się opłaca.

Rzeczywista wartość jednej tony skóry twardej wynosi około stu dwudziestu tysięcy, a ja biorę sto dziewięćdziesiąt. Na tym polega dobry interes.

- Słusznie! - wykrzyknął Olański i uniósł w górę kieliszek. - Za pomyślność naszych dobrych interesów!

„Mówi: ja, moja, ja biorę... - myślał Jan, wychylając swój kieliszek - tak jakby to były tylko jego prywatne interesy. Uważa się za wodza. Za dyrektora nie tylko Centrali, ale i naszej grupy. Cóż... może ma i rację. Gdyby nie on, nie zarobiliśmy ani połowy tego, co przy jego pomocy. On decyduje, wylicza, ustala... Milioner”.

Była dziewiąta wieczór, kiedy opuścił willę Gilewskiego, kierując się w stronę przystanku kolejki elektrycznej. Rozchodzili się po jednym, aby nikomu nie podpadło, że dyrektor urządza jakieś przyjęcie. Zresztą większość z zebranych mieszkała w dalszym lub bliższym sąsiedztwie.

Wskoczył do prawie pustego przedziału, ulokował się przy oknie i zapatrzył w migającą za oknami przestrzeń. Od paru dni nie mieszkał już w domu z Marią i dziećmi. Gilewski, któremu zwierzył się z osobistych kłopotów, przydzielił mu chwilowo pokój w domu należącym do Centrali. Pokój ten czekał na jakiegoś inży-

niera, którego sprowadzano z Olsztyna, a którego przyjazd się opóźniał.

Jan kupił sobie składane łóżko, kilka krzesel i parę drobiazgów, aby pokój nabrał jakiegoś przytulnego wyglądu. Od sąsiadów wypożyczył stół, szafę i mały stolik, na którym postawił „Szarotkę”.

Baśka pierwszego dnia przyniosła wazonik i parę kwiatków, a potem powiedziała po prostu, że się do niego wprowadza. Wilczyński najpierw się tego pomysłu przestraszył, następnie pomyślał, że właściwie po co ma chodzić z nią do jakiejś meliny, kiedy można to wszystko urządzić w jego pokoju. Kupił więc duży, dwuosobowy tapczan, a łóżko, odstąpił znajomemu, Baśka założyła firanki, postawiła jakieś figurki porcelanowe i gliniane, ułożyła swoje rzeczy w szafie i łazience.

Tego wieczoru Jan przyniósł parę butelek wódki i wina, wędlinę, słodycze i pił do nieprzytomności, aż przerażona, sama zresztą na wpeł przytomna dziewczyna, zawlokła go do łazienki, wrzuciła z wysiłkiem w ubraniu do wanny, napuściła zimnej jak lód wody i pod wpływem tej radykalnej kuracji Jan z miejsca otrzeźwiał.

Do domu przyszedł tylko raz, na drugi dzień po zawarciu znajomości z Baśką. Maria była w mieszkaniu. Szyła coś dla dzieci, które poszły do sąsiadów oglądać w telewizorze film kukielkowy. Kiedy Jan otworzył drzwi i wszedł do mieszkania, odłożyła robotę i powiedziała spokojnym, ale stanowczym tonem:

- Tak dalej być nie może, Janku. Musisz mi dzisiaj wszystko wyjaśnić. Nie pytam już o wczorajszą noc, ale chodzi mi o pieniądze, które co jakiś czas wygrywasz podobno w totka. Ty przecież wcale nie grasz...

- Nie - odparł krótko. I on uważał, że tak dalej być nie może. Maria nie należała do kobiet, które można okłamywać na dłuższą metę.

- A więc skąd je masz?

Przez chwilę nie odpowiadał, patrząc nie na nią, a gdzieś w bok. Potem rzekł oschłym tonem, bo żal dławił go za gardło:

126

127

- To moja sprawa.

- Nie, Janku. To nasza sprawa. Jesteśmy małżeństwem, mamy dzieci, razem żyjemy... przynajmniej żyliśmy razem do tej pory. Jeżeli nie chcesz mi powiedzieć, gdzie i za co dostajesz duże ilości pieniędzy, to... - urwała.

- To co?

- To nie możemy dłużej być razem. Ja nie chcę i nie mogę korzystać z pieniędzy, o których nie wiem, skąd pochodzą. Och, Janku, dlaczego ty nie chcesz mi tego powiedzieć! - wykrzyknęła nagle, wybuchając płaczem. Ukryła twarz w dłoniach i zanosila się rozpaczliwym, niepowstrzymanym szlochem.

Patrzył na nią bez słowa. Bał się, że i on za chwilę się rozpłaczę, nie mógł znieść jej łez. Ale nie mógł również nic powiedzieć.

- Już i tak za późno - szepnęła na wpół do siebie. Zerwał się z krzesła, zacisnął dłonie, podszedł do okna. - Teraz już nic zmienić nie mogę.

Poczuł nagle, że Maria oplata go ramionami, a jej zapłakane, gorące od łez policzki tulą się do jego ramienia.

- Janku, to nieprawda! Na pewno nie jest za późno, na pewno można jeszcze wszystko naprawić. Powiedz mi, a z pewnością znajdziemy wspólnie jakąś radę. Nie ma takiej sytuacji, z której nie byłoby uczciwego wyjścia, cokolwiek by człowiek zrobił... Janku, posłuchaj mnie, przecież ja cię wciąż jeszcze kocham. Zrób to dla mnie, dla naszych dzieci.

Pochylił głowę i pocałował jej skronie, potem oczy. Jak bardzo kiedyś kochał te śliczne, szare oczy w ciemnym obramowaniu długich rzęs. Kiedyś... A teraz? Dokąd on właściwie zaszedł w tej swojej krótkiej karierze magazyniera... A może Maria ma rację? Może jest jeszcze dziś jakieś uczciwe wyjście? I w tej samej chwili stanęła mu przed oczami scena, której był świadkiem nie tak dawno temu. Zobaczył zakrwawioną, zbitą twarz Biernackiego - potem ostre, zimne spojrzenie Michalaka, potem wyraz oczu Gilewskiego...

Nie! Jego w każdym razie za nic bić nie będą. Oderwał od ramion ręce Marii, odsunął od siebie i potrząsnął gło-

wą. Podszedł stanowczym krokiem do szafy, wyjął z górnej półki swoje koszule, piżamy, zaczął to wszystko układać w walizce. Nie odzywał się. Maria przyglądała się temu co robi z twarzą nieruchomą, mokrą jeszcze od łez.

- Dokąd ty idziesz? - spytała drżącym głosem.

- Nie wiem - mruknął. - Skoro nie możesz żyć ze mną razem, muszę gdzieś wyprowadzić się.

- Boisz się, że cię wydam - powiedziała nagle. Piżama, którą trzymał w ręku, wysunęła się i upadła na podłogę. Wolno odwrócił się w stronę siedzącej na krześle kobiety.

- Coś, ty powiedziała? - szepnął blednąc.

- Boisz się, że cię wydam - powtórzyła martwym głosem. - Ty ukradłeś te pieniądze!

Później nie mógł sobie przypomnieć, jak to się właściwie stało, że uderzył Marię, po raz pierwszy w życiu. Coś, jakby czerwona mgła, przysłoniła mu oczy. Poczł strach i wściekłość, że oto, prócz wszystkich tamtych spraw, musi się strzec własnej żony... Pomyślał, że tego już za wiele, że więcej nie znieśie, że ma dość - dość!

Kiedy się ocknął, zobaczył krew na swojej pięści i usłyszał czyjś krzyk, wołanie o pomoc. Machinalnie przetarł oczy. W kącie pokoju, oparta o ścianę, stała Maria, jakoś dziwnie przechylona w bok, a po twarzy jej spływały krople krwi. Oddychała prędko, wargi jej drżały, a w szarych pięknych oczach widniał gniew i rozpacz.

Uderzył ją... Pięścią uderzył ją po twarzy - on, jej mąż, który tak bardzo ją przecież kochał. To był już koniec.

- Nie bój się - powiedział ochryple. - Ja więcej...

Machnął ręką desperacko. Wrzucił do walizki resztę rzeczy, byle jak je upchał i zatrzasnął wieko, aby prędzej stąd wyjść i nie widzieć zakrwawionej twarzy Marii. Nie ruszała się z miejsca, śledząc jego ruchy jak przyczajone zwierzę. Chciał do niej podejść, pożegnać się, ale kiedy zrobił dwa kroki w jej stronę, krzyknęła i zastłoniła się rękami. Wtedy szybko porwał walizkę, narzucił płaszcz i wybiegł na schody.

W bramie zatrzymał się, zapiął płaszcz, wcisnął na głowę kapelusz. Potem przywołał z chodnika taksówkę. Ale

128

129

kiedy wsiadł i kierowca spytał: - dokąd? - Jan zrozumiał, że nie ma dokąd jechać. Nie miał w Centrali żadnego człowieka, któremu chciałby się zwierzyć i który dałby mu naprawdę dobrą radę. Może Olański czy nawet Gilewski przyjęliby go na kilka dni do swoich willi, ale zrobiliby to niechętnie i Jan nie czułby się tam swobodnie. ..

Wtedy przyszła mu na myśl Baśka i mieszkanie, w którym spędził z nią pierwszą noc. Podał szoferowi adres. Właścicielka meliny, Gołowska, przyjęła go łaskawie, zdziwiona nieco, że przychodzi sam. Łóżko w pierwszym pokoju było wolne, więc zapłacił za całą noc i przespał ją twardo, wypiwszy przedtem do

poduszki blisko pół litra wódki.

Na drugi dzień powiedział dyrektorowi, że wyprowadził się z domu i nie ma gdzie mieszkać. Gilewski spytał o powód. Wtedy Jan bez zająknięcia odparł, że żona straszy go milicją i że czuje się z nią niepewnie. Dyrektor pokiwał głową, zadzwonił do rady zakładowej i polecił Kawczyńskiemu ulokować magazyniera w służbowym mieszkaniu.

Zadzwonił do drzwi, bo Baśka miała jego klucze. Otworzyła po dłuższej chwili, zaspana i trochę zła. Burknęła coś, kiedy tłumaczył przyciszonym głosem, że był u znajomych na urodzinach. Udobruchała się dopiero, kiedy wręczył jej nowy upominek - małą wieczorową torebkę ze złotej lamy, na którą od dawna miała ochotę. Dziękowała mu jak umiała, pieszczotami i pocałunkami, a on myślał z ironią, że kupuje sobie jej uczucia, które skończyłyby się bardzo prędko wraz z wyczerpaniem pieniędzy.

Dziewczyna odczuła po chwili jego nastrój, bo odsunęła się i patrząc na niego badawczo, spytała:

- Jesteś zły?

Potrząsnął głową. Nie chciało mu się mówić. Ale z Bašką sprawa nie była łatwa, miała w sobie upór komara, wracającego po wiele razy do tej samej ofiary.

Wreszcie, aby się odczepić, odparł, że chciałby zarabiać tyle, ile jego szef.

- A gdzie ty właściwie pracujesz?

- Co ci do tego... Przecież wiesz, że w garbarstwie.

130

- Bo w garbarniach można grube hopy zarobić. Ale trzeba być magazynierem albo czymś takim. Majstrem czy kierownikiem. Co tak na mnie patrzysz, jakbyś nie wiedział. Garbarze zawsze robią na lewo.

- Nie wszyscy - mruknął, wtulając twarz w jej nagie ramię.

- O, wielkie rzeczy. Prawie wszyscy, co za różnica. Pewnie, kto nie ma dostępu, to nie. Albo kto nie potrafi. Skąd by na bazarach było tyle lewej skóry, jakby nie wychodziła gdzieś bokiem z państwowych garbarni. Powiedz, a ty czym tam jesteś?

- Referentem w biurze.

- Mnie możesz nie łąć. Referent by akurat tyle zarabiał, żeby mieć i na kolację, i na dziewczynę. Chcesz, to cię zapoznam z takim jednym. Co na Bazarze Różyckiego skórą handluje. „Stasiek” na niego wołają, to jego pseudo. Czarna Walerka z nim sypiała, jak miał wiele forsy, bo domy na Żoliborzu stawiał i sprzedawał. Na tym też się dobrze zarabia. A twój szef ile ma?

- Milion.

Aż usiadła na tapczanie z wrażenia. Oplotła kolana rękami, patrząc na niego okrągłymi ze zdumienia oczyma.

- Milion? - powtórzyła szeptem, jakby to wielkie słowo nie można było powiedzieć tak po prostu, głośno jak inne. - Czym on jest?

- Nudzisz - bąknął, żałując, że wdał się w niebezpieczną dyskusję. - Połóż się, spać mi się chce. Ja też kiedyś będę miał milion.

Zaśmiała się, a potem spoważniała. Pomyślała, że może on teraz mówi prawdę. Na wszelki wypadek lepiej mieć go w ręku. Niech się dowie któraś z „polonistek”, zaraz się do niego dobierze.

Postulsiwie ułożyła się tuż przy nim, rozpoczynając nowy atak pieszczot. Ale Jan był naprawdę śpiący, toteż odwrócił się na drugi bok i ostentacyjnie chrapał. Chciał, żeby wreszcie umilkła i żeby mógł trochę pomyśleć. Milion Gilewskiego nie dawał mu spokoju. Postanowił zaraz jutro porozmawiać z Olańskim, niech mu również wyznaczą procent od przeprowadzanych transakcji. Ostatecznie, nie

131

jest już początkującym, wciągnął się w interesy na dobre i powinni to ocenić.

- Nie udawaj, że śpisz - szepnęła Baśka tuż nad jego uchem.

- Śpię. Daj mi spokój.

- Gdybyś mi powiedział, gdzie pracujesz, ja bym cię nauczyła, jak zarobić ten milion.

Mimo woli roześmiał się.

- Ty byś mnie nauczyła?

- No! Nie ma się z czego śmiać - Jak mówi Ofierski w „Podwieczorku przy mikrofonie”. Stasiiek zna różne sposoby. Czarna Walerka zarobiła przy nim osiemdziesiąt patyków i otworzyła stragan na bazarze. To nawet nie jest trudne, trzeba tylko wiedzieć, komu i ile dać łapówki. A ze zbytem nie ma kłopotu, na skórę każdy łakomy. Stasiiek kiedyś kupił, razem ze swym bratem, cały samochód takiej pięknej, czarnej skóry na damskie buty, schowali w budzie na podgórzu. Tam gdzie Stasiiek mieszka. Na Saskiej Kępie. A potem sprzedawał po trochu, po trochu i zarobił na tym trzydzieści dwa kawałki. Wiem, że kupił od takiego, co jest majstrem w jednej garbarni. Olański się nazywa.

Jan drgnął i zaczął słuchać uważnie.

- Ten majster zarobił wówczas sto pięćdziesiąt tysięcy.

- Nie wiesz, kiedy to było? - spytał na pozór obojętnie.

- Niedawno, Ze dwa, albo trzy tygodnie temu.

- Ach! - mruknął, otulając się szczerlnie kołdrą. Pamiętał tę transakcję. Olański powiedział mu potem, że

odbiorca dał wyjątkowo mało, bo skóra była niezbyt ładna i ze smutnym uśmiechem wręczył Wilczyńskiemu sześć tysięcy złotych. A sam okazuje się... Bydlę!

- Ty go znasz? - Spytała Baśka zdziwiona.

- Nie, skądże. Tak sobie powiedziałem. Sprytny musi być chłopak, że tyle zarobił.

- Właśnie, a ty też w garbarstwie siedzisz. I też mógłbyś tyle samo, co on. Chcesz, to powiem o tobie Staśkowi.

- Ani mi się waź! - burknął. - Sam wiem, co mam robić. Obraziła się.

- A po dziadowsku żyjesz - odparła wzgardliwie. - Nawet na samochód cię nie stać. Motoru też nie masz, ani mieszkania. A tamten majster, to ma jedną willę pod Warszawą, a drugą gdzieś w Radomiu czy w Łodzi, już nie pamiętam dobrze.

- Skąd to wiesz? Stasiek ci mówił?

- Stasiek i inni. Ludzie znają jedni drugich. Słuchaj, pójdziemy jutro do tego sklepu na Szpitalnej? Wiesz, tam gdzie się pije czekoladę.

- Pójdziemy - odparł sennie.

ROZDZIAŁ 7

- Proszę dwa w szklance, trzy bułki z masłem, dużą kawę...

- Zupę jarzynową i kotlety ziemniaczane.

- Dwa razy leniwe i kisiel...

Przy kasie i przy okienku baru mlecznego ciągnęły się długie kolejki, jak zwykle w porze obiadowej. Tłum śpieszących się, zgłodniałych ludzi przesuwali się od kasy do okienka, od okienka - wraz z talerzami - do któregoś ze stolików, jadł prędko, wymyślając czasami na przypalone mleko albo mało słodki kisiel, po czym w tym samym pośpiechu opuszczał lokal, ustępując miejsca innym.

Maria wraz z dziećmi zajęła wolny stolik pod oknem i przy pomocy Henryka przyniosła trzy talerze zupy pomidorowej, a potem trzy z leniwymi pierożkami. Nie gotowała dziś obiadu w domu, bo przez cały rano była składaniem dokumentów i wypełnianiem ankiety oraz rozmową z dyrektorem w swym nowym miejscu pracy.

Dyrektor przeegzaminował ją krótko z księgowości, podyktował pół strony jakiegoś listu, który napisała na maszynie, a potem kazał stenografować.

- Dobrze - powiedział i spojrzał na nią uważnie. Była zupełnie opanowana, spokojnie siedziała przy wskazanym

jej biurku, a jej młoda twarz z ładnymi szarymi oczami robiła przyjemne wrażenie.

- Potrzebuję sekretarki - rzekł i zamyślił się na chwilę. Czy nie było to jednak ryzyko angażować na bądź co bądź odpowiedzialne stanowisko osobę, która nigdy jeszcze nie pracowała...

- Panie dyrektorze - szepnęła Maria, wstając z krzesła. - Ja potrafię... Znam niemiecki i francuski, potrafię... Proszę, niech pan mnie przyjmie.

- Ależ droga pani - dyrektor był trochę zmieszany -przecież pani kwalifikacje, w porównaniu z umiejętnością innych sekretarek, są naprawdę bardzo wysokie. Nie mówię tego, żeby pani prawić komplementy, to jest szczerza prawda.

W tej chwili przypomniało mu się, że Marię polecił mu przecież inspektor Kowalski z Państwowego Biura Kontroli, więc dodał spiesznie: - Oczywiście, że panią przyjmę, zastanawiam się tylko, jakie mogę pani dać wynagrodzenie. Właściwie jest pani początkującą urzędniczką, ale... Pani ma zdaje się dwoje dzieci?

- Tak, córeczkę i syna.

- A mąż pani zarabia? Maria pobladła.

- Przepraszam - rzekł dyrektor, który zapomniał, co mu mówił Kowalski o mężu Marli - może... czy coś się z nim stało?

- Ja rozstałam się z mężem - odparła, z trudem opanowując drżenie ust. - Mieszkam sama z dziećmi, muszę wyżywić ze swojej pracy trzy osoby, ze mną licząc. Wyżywić, ubrać, zapłacić świadczenia.

- Ach, tak - dyrektorowi nagle przypomniało się, co słyszał o Wilczyńskim, więc speszył się, namarszczył i rzekł: - Coś niecoś pani pomoże dodatek rodzinny. A dzieci w szkole?

- Syn chodzi do pierwszej klasy, córeczka jeszcze mała, ma pięć lat. Od pierwszego stycznia mam dla niej miejsce w przedszkolu.

- Tak? To dobrze. U nas też jest przedszkole. Mamy własne ambulatorium i zupełnie dobrą stołówkę. Tylko denty-

stka jest do niczego. Tak... Więc dostanie pani na początek tysiąc pięćset złotych i oddzielny dodatek za znajomość obcych języków. To wynosi, zdaje się, sto osiemdziesiąt złotych. Jak wszystko będzie dobrze, dam pani za pół roku podwyżkę. Ale z góry mówię, że na posadzie sekretarki wysoko pani nie zajędzie. Radziłbym wieczorami chodzić na jakieś kursy specjalistyczne, teraz jest takich mnóstwo.

- Dobrze. Bardzo panu dziękuję, panie dyrektorze. Nie wie pan nawet, czym dla mnie jest ta praca. W mojej sytuacji... - urwała, w oczach jej pojawiły się łzy.

- Wiem, wiem - rzekł dyrektor, przestraszony tym widokiem - nie powinna pani się martwić. Jakoś się wszystko ułoży. Więc czekam na panią pierwszego, a raczej drugiego stycznia o godzinie dziewiątej rano.

Do widzenia -podał jej rękę, uśmiechnął się przyjaźnie.

Odwzajemniła się uśmiechem. Dzieci czekały na parterze wielkiego gmachu w hallu, obok kiosku z gazetami. Sprzedawczyni, oczarowana urodą małej Basi i rozsądnymi odpowiedziami Henryka, dała im do oglądania świeży numer „Misia”. Były tak pochłonięte obrazkami, że nie zauważyły nawet, jak Maria stanęła przed nimi z radosnym uśmiechem.

- Od razu widać, że się pani powiodło - zauważyła sprzedawczyni.

- Mamo, dostałaś pracę? - spytał Henio, przytulając się do jej ręki.

- Tak, dziecino, dostałam.

- Tutaj, u nas? - spytała sprzedawczyni.

- Tak, od Nowego Roku. Do widzenia pani, dziękuję za opiekę nad dziećmi.

Zjedli obiad w barze mlecznym, a potem pojechali tramwajem do Pałacu Kultury i w Teatrze „Lalka” oglądali piękne przedstawienie „Tymoteusz Rymcimci”. Trzeba było przecież jakoś uczcić ten wielki, dobry dzień.

*

Sylwestrowy wieczór tego roku był wyjątkowo ciepły, pozbawiony całkowicie uroków śniegu i lekkiego mrozu, ale jak zwykle przepełniony nastrojem zabawy. Sylwester

134

135

w radio, w telewizji, w salach wszystkich niemal instytucji, fabryk, klubów, w kinach i restauracjach, w wielu mieszkaniach na „prywatkach”. Kto się nie bawił, kładł do uszu watę, a na głowę poduszkę, złożąc sąsiadom.

Gdzieś około szóstej po południu Jan wszedł do SAM-u na Nowogrodzkiej po ostatnie sylwestrowe sprawunki. Postanowił z Bašką spędzić ten wieczór na prywatnym przyjęciu u jednego z dawnych swoich kolegów, który pracował w jakimś warsztacie i dysponował dwoma dużymi pokojami, a mieszkał sam.

Jan wahał się wprawdzie, czy może wprowadzić do niego Baškę. Jak mógł się przekonać, dziewczyna była dość znana w kręgu stołecznym, zaczynającym się w „Stylowej”, a kończącym w „Polonii”. Niejeden z mężczyzn zaczepiał ją poufale, kiedy wchodzili do jakiegoś lokalu i Jan wciąż miał ochotę wywołać awanturę albo postać dziewczynę do diabła. Jeśli tego nie zrobił, to dlatego, że w ostatnim czasie popadł w dziwną apatię i niechęć do jakiegokolwiek energiczniejszego działania.

Łażenie z Bašką po lokalach, wódka i wydawanie pieniędzy na prezenty dla dziewczyny - to było wszystko, co robił poza godzinami pracy, chyba że wypadła jakaś jazda ze skórą do Anina czy inna „robota”.

Na sylwestrowy wieczór każdy miał przynieść coś do zjedzenia lub wypicia. Jan obiecał że dostarczy wędlinę i parę pudełek sardynek. Wszedł więc do samoobsługowego sklepu pewny, że nie będzie tutaj stał w kolejce. W istocie, kupił co chciał dość szybko, zapłacił, życząc kasjerce dobrego Nowego Roku, odstawił koszyczek i już miał wyjść, kiedy ktoś dotknął jego ramienia. Obejrzał się i zdumiał. Był to Adamczak.

Odkąd Jan przeszedł do pracy w magazynie, ze swymi dawnymi kolegami biurowymi prawie się nie spotykał. Mówiąc szczerze, unikał ich. Adamczaka nie cierpiał, tym bardziej więc miał powody, aby obchodzić go z daleka. Tamten zresztą robił to samo. Toteż teraz Wilczyński był bardziej zdziwiony niż rozgniewany niespodziewaną zaczepką.

- Czego chcesz? - spytał nieuprzejmie.

Wyszli ze sklepu, aby nie tamować przejścia i stanęli na chodniku. Adamczak trzymał w ręce butelkę wina czy wódki, owiniętą w biały papier i patrzył na Wilczyńskiego z twarzą zaciętą i złą.

- Chcę ci coś powiedzieć - odparł - ale nie tutaj. Wejdźmy na chwilę do bramy.

Jan pomyślał, nie wiadomo dlaczego, że tamten chce go pobić, ale zaraz odrzucił tę myśl jako niedorzeczną. Adamczak nie miał ostatecznie żadnego powodu, aby rzucać się na niego czy uderzyć.

Wszedł więc do bramy, stanął tak, aby być widzianym przez ludzi idących chodnikiem i spytał szorstko:

- O co chodzi? Pośpiesz się, nie mam czasu.

- Słuchaj - Adamczak mówił głosem zniżonym, nabrzmiałym gniewem. - To, co robisz w magazynie, razem z całą chwalebnią kompanią Olańskiego, to jest twoja rzecz. I to mnie zupełnie nie obchodzi. Nie ja będę za to siedział. Czekaaj, nie przerywaj - rzucił głośnie, widząc, że Jan chce się wtrącić. - Ale żeś zostawił Marię i twoje własne, małe dzieci... żeś wyniósł się z domu i zamieszkał z prostytutką... że Maria sprzedała wszystko, co mogła sprzedać, aby żyć, bo pracę dostaje dopiero od stycznia, a dzieciakom trzeba dać jeść. Żeś to właśnie zrobił, to chcę ci powiedzieć jedno: drugiej takiej świni jak ty - nie znam! To wszystko, co chciałem ci powiedzieć w ostatni dzień roku.

Odwrócił się na pięcie i, zanim Jan zdolał zareagować na jego słowa, wyszedł z bramy i znikł, skręcając w Bracką. Wilczyński wybiegł i chciał go zatrzymać, zapytać, skąd wie o Marii, ale Adamczak wmieszał się widocznie w tłum przechodniów, bo na próżno rozglądał się za nim na wszystkie strony. Stał tak przez chwilę z torbą pełną sprawunków i rozchylonymi ustami, aż go ktoś go potrącił, ktoś drugi zajrzał mu w twarz i mruknął: - Już zalany?

Skręcił więc w stronę Alej, aby dostać się do tramwaju, bo o taksówce o tej porze trudno było marzyć. Idąc myślał o tym, co przed chwilą usłyszał i czuł, że coś dławi go za gardło. „Przecież Maria miała jeszcze pieniądze” - przypomniał

sobie i aż przystanął na chodniku, bo zrozumiał nagle, że wolą sprzedać rzeczy, niż zużytkować tamte pieniądze.

- Balonik dla szanownego pana? - sprzedawca pochylił się w jego stronę, a różowy, chłodny balon musnął mu policzek.

- Niedrogo, tylko trzydzieści złocisz.

- Nie trzeba - mruknął i poszedł dalej.

Adamczak powiedział, że od stycznia Maria będzie pracować, ale nie dodał gdzie. Może umyślnie. Skąd on wie

o Baśce? Kto mu mógł powiedzieć? Pewnie widzieli go w jakimś lokalu. Psiakrew, co za cholerne miasto, wszystko ludzie wiedzą...

- Marina, Marina, Mariiina! - zaryczał mu ktoś nad uchem i zatoczył się, chwytając za połę płaszcza. Jan szarpnął się gniewnie. Do pijaka podszedł milicjant

i przyjrzał mu się krytycznym okiem, oceniając, czy „dojrzały” już do Izby Wyrzeźwień, czy jeszcze nie. Dzisiejszy wieczór zapowiadał komplet, należało więc odwozić do niej tylko wlanych na zupełnego „trupa”.

Jan wcisnął się z trudem do przedniego tramwaju. Niektóre kobiety miały już włosy posypane błyszczącym brokatem, wiele głów było rudokasztanowatych, a niektóre czarne jak u kruka. Aby nie popsuć fryzury, tego wieczoru mało która z kobiet włożyła tak modną i zwykle chętnie noszoną włoską czapkę. Mężczyźni mieli twarze zatroskane myślą o konieczności włożenia nieskazitelnie białej koszuli, czarnego ubrania i wąskich, przeważnie niewygodnych butów. Większość z nich po cichu marzyła o nocy spędzonej spokojnie w domu, ewentualnie przy telewizorze, ale w piżamie i rozkładanych pantoflach. Na przedniej platformie jechała jakaś pięcioosobowa orkiestra, gniotąc ludziom boki i brzuchy instrumentami w czarnych pudłach.

Kiedy Jan wszedł na schody domu, w którym mieszkał jego kolega, zobaczył że Baśka czeka na niego w połowie pierwszego piętra. Zdziwił się, bo umówili się, że zostawi sprawunki, aby gospodarz mógł wcześniej przygotować przyjęcie i wróci po nią do mieszkania.

- Dlaczegoś tu sama przyszła? - spytał niezadowolony. Ale twarz dziewczyny była niespokojna. Chwyła go za

ramię i zaczęła szeptać do ucha:

- Jakiś tajniak był u nas. Pytał o ciebie, gdzie jesteś, kiedy cię można zastać i takie tam różne. Odpowiedziałam na wszystko, że nic nie wiem.

Zmarszczył brwi.

- Tajniak? Coś ci się przyśniło! Pewnie któryś z kolegów albo z Centrali. Jak wyglądał?

- Niemłody, twarz taka wąska, żółta cera jak u Chińczyka, oczami strzelał dokoła, jakby szpilki wtykał

Roześmiał się.

- To Kowalski, mój dawny znajomy. Nie żaden tajniak... -urwał. Przecież Kowalski był inspektorem Biura Kontroli. Ale skąd miał jego adres? A może przyszedł po prostu w jakiejś sprawie służbowej... Nie, takie rzeczy załatwiłby w Centrali.

Nagle ogarnął go strach. A jeżeli już wiedzą? Jeżeli milicja zabrała tamtych wszystkich, a Kowalski - dawny, dobry znajomy - przyszedł go ostrzec? Chociaż to do niego niepodobne. Jan znał jego niezwykłą uczciwość i poszanowanie prawa i zdawał sobie sprawę, że gdyby co do czego przyszło, inspektor nie ruszyłby palcem, aby pomóc mu w ucieczce czy w zatarciu śladów przestępstwa.

Poczuł, że musi za wszelką cenę upewnić się, czy u Olańskiego i reszty wszystko jest w porządku. Trzeba tam zadzwonić pod byle pretekstem. Wprawdzie składali już sobie wzajemne życzenia noworoczne, ale może udać, że zapomniał albo coś w tym rodzaju. W ostateczności pomyślą, że jest pijany.

Spojrzał na Baškę, oddał jej torbę ze sprawunkami i rzekł:

- Poczekaj tutaj na mnie. Zaraz wrócę.

Nie był pewien, czy kolega ma w mieszkaniu telefon, wybiegł więc na ulicę, rozglądając się za budką z automatem. Znalazł ją za rogiem, na szczęście wolną i, o dziwo, z niezepsutym aparatem. Najwygodniej było dzwonić do Różańskiego, bo mieszkał w Warszawie, nie w Aninie i nie wybierał się nigdzie na Sylwestra.

138

139

Ale telefon Różańskiego nie odpowiadał. Jan czekał długo, wsłuchując się w cierpliwy głos sygnału, nikt jednak nie podnosił słuchawki. Spojrzał na zegarek. Dochodziła szósta. Wiedział, że Gilewski urzęduje u siebie przyjęcie o charakterze rodzinnym, powinien więc o tej porze być już w domu. A jak nie on, to jego żona.

Wykręcił numer na tarczy, pomylił się i zabrakło mu pięćdziesięciogroszówek. Wyszedł więc z budki i powiedział do stojącego przy chodniku starszego mężczyzny:

- Czy mógłby mi pan rozmienić dwa złote?

- Proszę bardzo - odparł starszy pan, obrzucając go przelotnym spojrzeniem. Wyjął portmonetkę i podał Janowi cztery monety. A gdy tamten wszedł z powrotem do budki, oparł się o nią, paląc papierosa. Zdawało się, że czeka, aż telefon będzie wolny.

Wilczyński uważnie nakręcił numer mieszkania dyrektora. Usłyszał dwukrotnie sygnał, a potem ktoś po drugiej stronie podniósł słuchawkę. - Halo - odezwał się. Nie był to głos Gilewskiego.

- Czy mogę prosić pana dyrektora? - spytał Jan uprzejmie.

- Nie ma go.

- Czy mogę... a kiedy będzie?

- A kto mówi?

Jan zawahał się. To był chyba ktoś z rodziny, może brat, albo szwagier.

- Mówi Wilczyński - odparł - czy nie wie pan, kiedy dyrektor wróci? Chciałem mu złożyć życzenia noworoczne.

- Życzenia? - w głosie mówiącego zadrgał jakby tłumiony śmiech. Jan usłyszał stukot odkładanej słuchawki.

- Halo! - zawołał zdziwiony tą całą rozmową. - Halo! Co za głupie kawały! - krzyknął, a potem przestraszył się, że po tamtej stronie ktoś usłyszy i powiesi słuchawkę na widełki. Co to miało znaczyć? Może Gilewski nie chciał z nim rozmawiać? Może obraził się o coś... ale o co?

Wyjął kalendarzyk, w którym notował numery telefonów i odszukał numer Olańskiego, ale był zajęty. Spróbował jeszcze dzwonić do Michalaka, ale z tym samym skutkiem, więc zrezygnował. Ostatecznie, gdyby u dyrektora

była milicja, to by inaczej ten ktoś z nim rozmawiał. Nie miało sensu psuć sobie i Baśce ostatniego wieczoru roku.

Wyszedł z budki, a zobaczywszy starszego pana, rzekł z uśmiechem:

- Już wolny. Do widzenia.

- Do widzenia - odparł mężczyzna. Odczekawszy chwilę, z wolna ruszył w jego ślady. Zaczął padać śnieg, więc postawił kołnierz płaszcza i wcisnął głębiej na czoło rondo starego kapelusza.

Wilczyński wbiegł na schody, powiedział do Baśki, że wszystko w porządku i poszli od razu do mieszkania kolegi. Ten przywitał ich z entuzjazmem, bo właśnie zamierzał zabrać się do robienia kanapek. Oświadczył więc bezceremonialnie, że muszą mu pomóc, bo już późno.

O piątej rano wciąż jeszcze prószył śnieg, i topniał natychmiast pod nogami przechodniów, wracających z zabawy. Wśród nich nie zwracał uwagi wysoki, chudy mężczyzna o końskiej twarzy, który spiesznie przemyczał się pod murami domów, trzymając na sznurku kolorowy balonik.

Gdyby jednak ktoś spojrzał na niego z bliska, przestraszyłby się wyrazu obłądnego przerażenia, jaki zastygł w jego oczach i w skrzywieniu wąskich warg. Do tej twarzy zupełnie nie pasował balonik, śmieszny rekwizyt karnawałowego nastroju.

Mężczyzna minął jakąś dobrze podpiętą, roześmianą grupę osób, potracił starszego pana w zniszczonym

kapeluszu, który wychodził właśnie z bramy jednego domu, bąknął: - Przepraszam! - i wbiegł do tego domu, dysząc ze zmęczenia. Zatrzymał się dopiero na trzecim piętrze, łapiąc powietrze otwartymi ustami. Serce waliło mu jak młotem.

Obejrzał się na schody, czy ktoś za nim nie idzie, a potem nacisnął dzwonek u drzwi. Trzymał palec, nie odrywając go tak długo, aż za drzwiami coś zaszurało, ktoś zaklął, odkaslnął i ochryply głos zapytał:

- Kto tam, u diabła ciężkiego?!

- Niech pan otworzy, szybko - odparł niecierpliwie.

140

141

- Ale kto tam jest?

- To ja, Różański. Szybko!

Klucz zgrzytnął w zamku i na progu pojawił się Wilczyński, na wpół przytomny ze snu i niezupełnie jeszcze trzeźwy. Chwiejąc się na nogach, patrzył na magazyniera zapuchłymi oczami, mrużąc coś gniewnie. Ale Różański odepchnął go bez ceremonii, zamknął drzwi i ująwszy Jana silnie za ramiona, szepnął, potrząsając nim, aby oprzytomniał:

- Zabrali naszych! Słyszysz pan? Wzięli Olańskiego, Michalaka, Biernackiego i jeszcze innych... Ktoś sypanął!

Jan przetarł oczy, usiłując zebrać myśli. Głowa bolała go straszliwie po przepitej nocy, więc owinął ją mokrym ręcznikiem. Stał teraz w przybrudzonym turbanie i kraciastym szlafroku, w jednym pantoflu, bo drugi zgubił w połowie korytarza.

- Co pan mówi, kto ich zabrał? - jęknął, zrzucając ręcznik, który wysechł już i grzał, zamiast chłodzić.

- Milicja.

Nagle Wilczyński poczuł, że oblewa go zimny pot, a serce podchodzi gdzieś do gardła. Oczy rozszerzyły mu się z przerażenia.

- Milicja? - powtórzył ze zgrozą. - A dyrektor?

- Nie wiem. Do mnie późnym wieczorem przyszedł sorter z naszej Centrali, Malicki, i na siłę wyciągnął mnie na zabawę do Związku. Bawiliśmy się gdzieś do pierwszej, potem żona Malickiego zachorowała, bo coś niedobrego zjadła, więc pojechali do domu, a ja zostałem z Olańskimi i Michalakami, którzy też tam byli. Około drugiej przylazł Biernacki, zalany na potęgę. Nagle Olański mówi, że warto by teraz pojechać do nich, do Anina. Byliśmy wszyscy dobrze pod muchą i zaczynało być nudno, więc zgodziliśmy się, tym bardziej, że Olański zawsze ma w domu coś do wypicia, a jego żona powiedziała, że nam da dobrą kolację. Wpakowaliśmy się wszyscy do wozu Michalaka, który był najtrzeźwiejszy i jakoś zajechaliśmy do tego Anina. Jedliśmy kolację, właściwie raczej śniadanie, bo było przecież po trzeciej rano, kiedy mnie się

zrobiło niedobrze i wyszedłem do ogródka. Chciało mi się rzygać, ale

w ogródku było jakoś niezręcznie. Wyszedłem za furtkę, aż tu na drodze widzę światła samochodu. Coś mnie tknęło, uskokczyłem w bok za drzewa. Tam jest od razu za ogrodem las. Patrzę - aż mnie ciarki przeszły: radiowóz milicyjny, za nim drugi... Podjechały do furtki i stanęły. Nie czekałem dłużej, tylko wycofałem się przez las, na piechotę gnałem cały jeden przystanek kolejki elektrycznej, potem wsiadłem i przyjechałem do Warszawy. Jakiemuś pijakowi, co leżał w bramie, zabrałem balonik żeby wyglądało, że z zabawy wracam i przygnałem tu do pana... Co teraz robić? Co robić?!

Jan, w miarę jak słuchał, odzyskiwał przytomność i ogarniał go coraz silniejszy lęk.

- Co robić? - powtórzył. - Myśli pan, że ja wiem... Jezus Maria, a co z dyrektorem? Olański mówił zawsze, że w razie jakiejś wyspy dyrektor wszystko załatwi.

Nagle przypomniała mu się wczorajsza dziwna rozmowa telefoniczna z Aninem i zmartwił. Widocznie to był ktoś z milicji. Albo aresztowali dyrektora, albo rzeczywiście nie było go wówczas w domu i na niego czekali.

- A ja mu powiedziałem, kto mówił - zawołał i walnął się pięścią w czoło. - Cóż za straszny głupiec ze mnie.

Jan powtórzył mu treść rozmowy. Magazynier osądził po namyśle, że to chyba był milicjant.

- Komu pan powiedział? - spytał Różański.

- A może jednak nie? - zaczął z nadzieją w głosie. - Może dyrektor rzeczywiście był wówczas jeszcze w Warszawie, coś tam załatwiał czy kupował, a dzisiaj czy jutro wszystko wyjaśni. Nie wiemy zresztą, czy wie już w tej chwili o aresztowaniach. Panie Jasiu - Różański spojrzał na niego błagalnie - a może by pan pojechał do dyrektora?

- Pan chyba oszalał! Ja mam jechać? Ja, który przedstawiłem się w telefonie temu milicjantowi i może już... -Urwał. Zawrócił do pokoju i, nie zważając na śpiącą Baśkę, zaczął się szybko ubierać, mówiąc jednocześnie do magazyniera: - Trzeba, zanim się coś wyjaśni, ukryć się gdziekolwiek i zobaczyć, co będzie dalej. - Wysunął spod tapczanu walizkę, otworzył szafę i zaczął z pośpiechem,

142

143

byle jak, wrzucać do niej swoje rzeczy. - Niech pan pobiegnie do Malewskiego, naszego kierowcy. On mieszka gdzieś na Hożej... nie, na Nowogrodzkiej. Obok restauracji. A potem niech pan wróci do domu, ja do pana wieczorem zadzwonię.

- Akurat - mruknął Różański, przyglądając się Baśce spod oka - pan wieje, a ja mam siedzieć w domu? Nie ma głupich. Ale do Malewskiego mogę pójść. Może skomunikujemy się przez tę panią? - pokazała na dziewczynę, która na wpół przebudzona przeciągała się sennie.

- Można - Wilczyński wzruszył ramionami. Kiedy indziej wyrzuciłby magazyniera z pokoju, w którym spała jego dziewczyna, ale teraz myślał tylko o własnej skórze.

- Baśka, obudź się! - szarpnął ją za ramię. A kiedy usiadła na pościeli, mrużąc oczy od światła lampy, zaczął jej spieszenie tłumaczyć, co się stało i co ma teraz zrobić.

- Ten pan, mój kolega - pokazał na Różańskiego - będzie z tobą w kontakcie. A jak nie on, to ktoś za niego -dodał, bo przyszło mu na myśl, że przecież Różański należał do gangu w tym samym stopniu co on i jeżeli przyjdą, to po obydwóch.

- Dobra - dziewczyna spojrzała na Różańskiego i nagle zaniepokoiła się - słuchaj, a co z mieszkaniem? Mogę tu siedzieć?

- Na razie możesz. Masz tu klucze - rzucił jej na kołdrę - a na wszystkie pytania co do mnie, odpowiadaj: nic nie wiem. Rozumiesz?

- Oczywiście. Zostaw mi trochę pieniędzy. Wyciągnął portfel, przeliczył i podał jej pięćsetkę, a kiedy się skrzywiła, rzekł szorstko:

- Zarobisz sobie. Mnie teraz forsa bardziej potrzebna niż tobie na łąchy.

Wpadł jeszcze na chwilę do łazienki, przemył twarz zimną wodą, zabrał z kołka ręcznik, zamknął walizkę i podszedł do dziewczyny:

- No, Baśka, liczę na ciebie. Musisz mi pomóc. Będę cię szukał - zabrał walizkę i wyszli. Na schodach Jan zatrzymał się i nadśluchiwał, czy ktoś nie nadchodzi, ale w bra-

mie panowała cisza. Świąteczny ranek nowego roku wstawał ospały i senny po sylwestrowej zabawie.

Śnieg przestał już padać, na ulicach było błoto. Pożegnali się krótko uściskiem dłoni. Jan, zasłoniwszy twarz podniesionym wysoko kołnierzem palta, ruszył na piechotę w stronę Dworca Głównego.

Nie wiedział właściwie, co ma robić i dokąd jechać - zostać w Warszawie jednak nie mógł. Postanowił zaszyć się na dzień, dwa gdziekolwiek, dopóki sytuacja się nie wyjaśni. Nie wierzył w aresztowanie Gilewskiego. Jeżeli nawet po niego przyszli, to wystarczy przecież, że da w łapę komu trzeba, aby cała sprawa została zatuszowana. Podobno już raz tak było.

Gdy dotarł do dworca, miał mokre nogi, bo w pośpiechu włożył cienkie, wieczorowe trzewiki, a sportowe buty wrzucił do walizki. Ręka zdrętwiała mu od dźwigania, w żołądku czuł przykre ssanie i zgagę. Marzył o szklance gorącej kawy, ale wątpił, czy gdziekolwiek znajdzie otwarty lokal w święto, o szóstej rano. Niespodziewanie jednak, restauracja „Orbisu” na dworcu była czynna i zaspany kelner podał mu kawę. Zjadł do tego ciastko, aby zapełnić czymś pusty żołądek, zapłacił, a kiedy wstawał od stolika, zobaczył w drzwiach sali szaroniebieski mundur milicjanta.

Ze strachu zrobiło mu się niedobrze. Usiadł z powrotem i zasłonił twarz otwartą kartą menu w plastikowej oprawie. Widząc to kelner zbliżył się znów do niego i zapytał czy jeszcze coś podać. Jan

udawał, że się namyśla, kątem oka śledząc milicjanta, który wszedł na salę i przystanął na środku, jakby nad czymś się zastanawiając. Wreszcie podszedł do nich, zasalutował i spytał kelnera, czy mógłby dostać szklanekę gorącej herbaty.

Jan odetchnął głęboko. Milicjant miał szeroką, szczerą twarz o zatroskanych oczach, teraz podkrążonych ze zmęczenia po nocnej służbie. Jan uśmiechnął się do niego i powiedział:

- Wszystkiego dobrego w Nowym Roku.

- Dziękuję panu - milicjant znów zasalutował i podał mu rękę.

144

145

- Już po służbie?

- Nie bardzo. Jeszcze do dziesiątej rano. A pan rozpoczyna Nowy Rok od podróży?

- Tak wypadło. Jadę do Katowic. Właściwie wracam, bo w Warszawie byłem tydzień u rodziny, na święta. Pracuję w kopalni.

- No, to pozdrów pan górników - rzekł milicjant, uśmiechając się. - Do widzenia.

- Do widzenia.

Dźwignął walizkę, pozdrowił kelnera, który ukłonił mu się z nudów, bo na sali nie było więcej gości, i wyszedł. Zdawało mu się, że postąpił niezwykle zręcznie, opowiadając milicjantowi o rzekomym wyjeździe na Śląsk. W razie czego będzie świadczył, że mężczyzna o podobnym wyglądzie jechał do Katowic, a on tymczasem ma w kieszeni bilet do Radomia. Zapomniał tylko, że rozmawiając z milicjantem, zwrócił na siebie jego uwagę i pozwolił dobrze zapamiętać wygląd.

W pociągu do Radomia było prawie pusto. Na wszelki wypadek jednak nie zdjął płaszcza ani kapelusza, choć w przedziale było ciepło, pocił się i drzemał, budząc się co chwila i wyglądając przez okno, aby nie przespać swojej stacji. Za oknami robiło się coraz jaśniej, zapowiadał się dzień chłodny i dżdżysty.

Portier hotelowy na widok pierwszego w tym roku gościa złożył mu wpierw noworoczne życzenia, a potem z ubolewaniem rozłożył ręce.

- Niestety, proszę pana... Nie mam żadnego wolnego pokoju.

Jan nie miał sił na dyskusję i zwykłe w takich przypadkach użeranie się o miejsce. Bez słowa wyciągnął portfel i położył przed portierem setkę, ziewając ostentacyjnie. Było mu zimno, chciał spać za wszelką cenę i portier dobrze to zrozumiał.

- Chyba, żebym dał panu pokój, zamówiony przez jednego inżyniera z Warszawy - zaczął z namysłem, udając, że przegląda listę gości.

- Daj pan, co chcesz. Tylko prędko.

- Siedemnastka. Proszę klucz. Życzę panu dobrej nocy. Proszę zostawić swój dowód osobisty, a ja już za pana wypełnię meldunek. Pan się później podpisze i będzie fertig.

Dał portierowi dowód i powlókł się na piętro, ciągnąc walizkę po schodach jak tobół. W pokoju rozebrał się, zamknął drzwi na klucz, wsunął się drżąc z zimna w chłodną pościel i natychmiast zasnął.

Kiedy się zbudził, na dworze było jasno. Czuł potężny głód, ból głowy minął bez śladu. Spojrzał na zegarek. Wpół do dziewiątej. A więc przespał cały tamten dzień i noc...

Przeciągnął się, skrzyżował ręce nad głową i zaczął się zastanawiać, co robić dalej. Sytuacja nie była wesoła. W portfelu miał wprawdzie coś około szesnastu tysięcy złotych. Za to mógł przetrwać, przy oszczędnym trybie życia, nawet kilka miesięcy - o ile nie wpadną na jego trop. A co potem?

„Przede wszystkim - rozmyślał - trzeba dowiedzieć się, co tam się właściwie stało. Może to jakieś nieporozumienie, może Różańskiemu coś się przywidziało... Pewnie Gilewski wszystko już załatwił, a on siedzi tutaj jak głupi i boi się wrócić”.

Nagle zerwał się i wyskoczył z łóżka. Przecież w Radomiu mieszka i pracuje kierownik spółdzielni garbarsko-fu-trzanej „Nowa siła”, Zientarek. Ten Zientarek, przypomniał sobie teraz wyraźnie, brał od nich dwa razy lewy transport skór. Był nawet raz u dyrektora i Jan zamienił z nim wówczas parę słów. Wyglądał na sprytnego człowieka.

Umył się, ogolił starannie, włożył świeżą koszulę i sportowe buty, wyciągnięte z walizki. Potem zszedł na dół, podpisał kartkę zameldowania, zjadł śniadanie w hotelowej restauracji i odnalazł w książce telefonicznej adres spółdzielni.

Nie znał Radomia, spytał więc jakiegoś przechodnia o drogę i poszedł we wskazanym kierunku. „Nowa siła” mieściła się w długim, starym budynku. Administracja była na piętrze.

146

147

Wilczyński wszedł do pokoju, który miał na drzwiach tabliczkę z napisem „Kierownik - sekretariat” i zapytał

o Zientarkę.

- Pan kierownik jest u siebie - odparła sekretarka

i zmierzyła go nieufnym spojrzeniem. - A pan w jakiej sprawie? Bo kierownik zajęty.

- Ja z... — zająknął się. - Jestem jego znajomym. Proszę powiedzieć, że w ważnej sprawie.

- Każdy tak mówi - mruknęła zgryźliwie, ale podniosła się zza biurka i weszła do gabinetu. Po chwili

ukazała się wraz z Zientarkiem, który poznał go od razu i poprosił do siebie.

- Co słycać dobrego? - spytał, częstując przybyłego papierosem. - Nic nie wiedziałem, że ma pan przyjechać do Radomia, byłbym zamówił hotel.

Jan przyjął papierosa i odparł:

- Bo ja sam nie wiedziałem, że przyjadę. Widzi pan, że zaszła taka historia, że... jednym słowem, obawiam się

o wyspę w Centrali.

Zientarek zerwał się z miejsca, sprawdził, czy drzwi są zamknięte, a potem przysunął się z krzesłem do Wilczyńskiego i spytał trwożnym szeptem:

- Co pan mówi! Jak to się stało?

- Właśnie że wiem bardzo niewiele i być może nie jest tak źle. Musimy jednak za wszelką cenę sprawdzić, co się dzieje w Centrali.

Opowiedział kierownikowi co usłyszał od Różańskiego

i dodał:

- Trzeba zadzwonić do Warszawy i dlatego do pana przyszedłem. Czy nie ma pan tam kogoś, kto mógłby się dowiedzieć, nie ściągając na siebie podejrzania? Nie wiem, czy pan mnie rozumie: nie możemy dzwonić ani ja, ani pan, bo jeżeli to jest prawda, to w Centrali siedzi milicja i prokurator. Nasz telefon ściągnie tylko ich uwagę na Radom. No i na mnie. Ja uciekłem wczoraj rano.

Zientarek słuchał ze zmarszczonymi brwiami i zastanawiał się. Wreszcie odparł:

- Do Centrali dzwonić nie można. Spróbuję porozumieć się z ludźmi, którzy tam nie pracują, ale mogą się dowie-

dzieć to i owo. Niech pan wraca do hotelu i czeka na mnie. Jak już będę coś wiedział, to przyjdę. A teraz niech pan już idzie. Niedobrze, żeby pana tutaj więcej osób widziało.

W pokoju hotelowym była sprzątaczką, więc Jan zszedł znowu na dół, kupił w kiosku wszystkie warszawskie gazety, kilka paczek papierosów i zapałki. W restauracji zamówił do pokoju obiad, co zostało przyjęte przez kelnera z niechętnym zdziwieniem. Ustąpiło ono jednak szybko, pod wpływem dwudziestozłotowego banknotu i kelner obiecał nawet przynieść kotlet schabowy, mimo poniedziałku.

Przeszło południe, zrobiło się szaro. Jan zjadł obiad, drzemał godzinę, przeczytał gazety - a Zientarka nie było. Wreszcie zaczął się niepokoić. A jeżeli tamci w Warszawie zaczęli sypać i milicja dowiedziała się już o interesach, prowadzonych z „Nową siłą”?

Leżał na łóżku, palił papierosa za papierosem. Zdenerwowanie jego rosnęło z każdą minutą. A kiedy był już

pewny, że zaszło coś złego i postanowił opuścić Radom, zapukano ostrożnie do drzwi.

- Nareszcie! Co tak długo - wybuchnął na widok kierownika spółdzielni. Ale spojrzawszy na jego twarz, pobrał. - Niech pan mówi.

Zientarek rozpiął palto, usiadł na fotelu i sięgnął po papierosa. Ręce mu drżały.

- Dopiero przed pół godziną przyjechał mój znajomy z Warszawy - zaczął ściszym głosem. - Jest bardzo źle. Różański mówi prawdę, milicja zabrała Olańskiego, Michalaka, Toruńskiego - wyliczał rozstawiając palce u ręki - dalej: Biernackiego, Malewskiego, tego kierowcę... W południe przyszli do Centrali i wzięli jeszcze Różańskiego, kogoś z wykańczalni, sortera Malickiego, dwóch konwojentów - nie pamiętam ich nazwisk. Sądnym dzień w Centrali! Wstrzymali na niektórych oddziałach produkcję, w magazynach siedzą eksperci z Komendy Głównej podobno, a w biurze prokurator. Zdaje się, że nawet dwóch.

- Co z dyrektorem?

- Nie wiadomo. Ale i na Bazarze Różyckiego poaresztowano kilka osób. Na przykład tego Staśka, co galanterię

148

149

handlował - no i skórą też. Podobno gdzieś w Białymstoku czy Gdańsku złapali Niemczaka, głównego machera z bazaru. Listy gończe za nim były i ktoś go na ulicy rozpoznał. Razem to aresztowano chyba ze dwadzieścia osób. Albo i więcej.

Siedzieli kilka minut w milczeniu. Jan czuł świdrujący ból żołądka i nieprzyjemne kołatanie serca. Podniósł rękę do czoła, było mokre. Otarł je chustką i spojrzał na Zien-tarka bezradnie.

- Co teraz robić? - szepnął. - Myśli pan, że dyrektor nie uratuje sprawy?

Zientarek potrząsnął głową.

- Wygląda na to, że nie - odparł również szeptem. - Znajomy mówił, że podobno ktoś tam okropnie sypie. Od razu, jak po niego przyszli, to wołał, że wszystko powie, żeby tylko dostał mniejszą karę.

- Pytali o mnie?

- Tak Szukali pana w Centrali, no i pewnie w domu.

- Ja w domu nie mieszkałem. Pokłóciłem się z żoną i...

- urwał. Nie miało sensu opowiadać Zientarkowi o wszystkim. - Co robić - powtórzył.

- Nie wiem.

Nagle Jan zerwał się spiesznie i wyciągnął z szafy walizkę.

- Jeżeli mnie szukali, to i tutaj znajdą - mruknął, zbierając z półeczki nad umywalnią drobiazgi toaletowe.
- Nie mogę mieszkać w hotelu. Muszę gdzieś wyjechać, ukryć się... Tylko gdzie?

Zientarek przyglądał mu się przez chwile, gryząc dolną wargę.

- Wziąłbym pana do siebie, ale i po mnie mogą przyjść

- rzekł otwarcie. - Ma pan pieniądze?

- Tak. Na jakiś czas starczy.

- Mogę panu dać adres jednego gajowego. Daleko, w Białostockiem. Pies z kulawą nogą tam nie zajrzy. Może i ja za dwa, trzy dni u niego się zjawię.

- Dobrze. Dziękuję panu. Trzeba jechać do Białegostoku, prawda?

- Tak. A potem w bok, do Knyszyna i już dalej na piechotę albo jakąś furmanką. Dam panu do niego list. On się nazywa Zarzycki. Za pieniądze przechowa nawet diabła. Tylko nie mów mu pan, ile ich masz, i nie pokazuj przy nim gotówki. Można by nawet urządzić to inaczej: pan mi zostawi pieniądze, a ja będę przysyłał co miesiąc na jego nazwisko.

Jan zastanowił się chwilę.

- Nie, to nie byłoby dobrze - odparł. - Bo widzi pan, może będę musiał stamtąd wiać, a wtedy byłbym bez pieniędzy. Już ja to jakoś z nim załatwię, wymyślę coś.

Kierownik spojrzął na zegarek.

- Pociąg do Warszawy ma pan za trzy kwadransy, a stamtąd prawie zaraz do Białegostoku. Na rano pan zajedzie, o pociąg do Knyszyna to już pan się tam zapyta.

Napisał na kartce z notesu krótki list do gajowego i podając go Janowi, rzekł:

- Jak będę znał bliższe szczegóły aresztowań, to wyślę do pana list na adres i nazwisko Zarzyckiego.

Wilczyński podziękował mu za wszystko, ubrał się i, załatwiwszy hotelowe formalności, wyszedł na dworzec. W cztery godziny później siedział już w pociągu jadącym do Białegostoku. Przedział był zapchany, duszny, w nogi niemiłosiernie grzała rura spod ławki, a od okna wiało. Jan, wciśnięty pomiędzy dwie grube kobiety, przymknął oczy i rozmyślał. Przypomniała mu się rozmowa z Bašką. „Milioner... - powiedział jej wtedy - ja też będę milionerem”.

Usta wykrzywiły mu się ironicznym uśmiechem. Milioner siedzi teraz w przedziale drugiej klasy osobowego pociągu i ucieka na zapadłą wieś czy do jakiegoś lasu, aby tam - jeżeli los pozwoli - przetrwonić resztę swego kapitału.

- A co potem? Potem - odpowiedział sam sobie - będzie to wielkie szczęście, o ile uda mu się dostać pracę w tymże lesie, bo to zapewni mu wolność. Przynajmniej na jakiś czas.

A potem?... Zaczął się zastanawiać, jakie są kary za kradzież mienia państwowego. Nie miał nigdy do czynienia z kodeksem karnym, nie znał jego artykułów i paragrafów. W gazetach omijał starannie wiadomości o prze-

150

151

stępstwach gospodarczych, nie chcąc - jak sobie mówił -kusić złego. Zło jednak przyszło samo, bez kuszenia.

ROZDZIAŁ 8

Minął już tydzień, odkąd zamieszkał u gajowego Karola Zarzyckiego, w leśniczówce oddalonej o sześć kilometrów od najbliższego miasteczka.

Gajowy przyjął go bez specjalnego entuzjazmu, ale i bez niechęci. Żona jego, wiecznie zapracowana i zatroskana kobiecina, wyszukała „na górce” malutki pokoik z żelaznym łóżkiem i stołkiem o trzech nogach. W pokoju nie było pieca, bo gospodarze wynajmowali go tylko letnikom, a zimą wcale nie używali. Jan marzył więc pod dwoma cienkimi kocami, przeziębził się i kaszłał.

Chodził trochę po lesie, wpierw z gajowym, potem sam, bo Zarzycki był mruk i nie zdradzał ochoty do bawienia swego gościa. W południe zjadał wraz z gospodarzami dość obfity posiłek, przeważnie zbyt tłusty i ciężko strawny na jego nieprzywykły, miejski żołądek. Potem z nudów pomagał Zarzyckiej trochę w gospodarstwie. Gdy robiło się ciemno, szedł zwykle do swego pokoju, zapalał naftową lampkę, czytał ze znużeniem książki, zostawione któregoś lata przez wczasowiczów, albo kładł się na łóżko, nakrywał kocami i rozmyślał.

Wreszcie któregoś dnia Zarzycki wrócił z miasteczka i podał mu list w niebieskiej kopercie.

- To, musi, do pana - mruknął po swojemu i odszedł.

Jan zaszył się w swoim pokoju i z trudem odcyfrował nerwowe, niewyraźne pismo Zientarka.

„Panie W. - pisał kierownik. - Dopiero teraz mogę coś więcej panu napisać. Z tymi, o których panu mówiłem, bez zmian. Jeszcze paru nowych doszło. G. od początku, jak się okazuje, był na takie rzeczy przygotowany, bo ślad

po nim zaginął. Widocznie zdążył, zanim przyszli do jego willi. Więc nie ma mowy o tym, żeby coś załatwił. W gazetach jeszcze nic o tym wszystkim nie było, choć pilnie śledzę. W naszym mieście na szczęście spokój, jak dotychczas. Jak się coś więcej dowiem, znów napiszę. Na razie do widzenia, życzę panu wszystkiego dobrego -Zientarek”.

A więc Gilewski uciekł... To przekreślało oczywiście wszelką możliwość interwencji z jego strony. Gdyby czuł, że potrafi wstrzymać aresztowania, to by nie uciekał. Tymczasem zaś, widocznie nie jest pewien nawet swojej nietykalności.

Jan rzucił list na podłogę i wyciągnął się na łóżku. Jeżeli dyrektor uciekł za granicę, zabierając w dodatku z sobą odpowiednią ilość dolarów czy biżuterii, to wygrał sprawę. Chociaż, kto wie... Zagranica rozczuła się tylko nad zbiegami politycznymi, a kryminalnych przestępców podobno odstawia z powrotem do granicy.

Sięgnął po papierosa. Ile można dostać za to? On był w końcu przywódcą i głównym organizatorem kradzieży. Jemu więc chyba wymierziliby największą karę. Ile to może być? Dziesięć lat? Może osiem? A może jeszcze mniej. W takim razie jemu groziłoby nie więcej niż dwa, trzy. Cóż, ostatecznie... Potem można nawet zmienić nazwisko, wyjechać do innego miasta, zacząć życie od początku. Po trzech latach miałby dopiero trzydzieści jeden. Zupełnie młody wiek.

Złapał się na tym, że zaczyna przyzwyczajać się do myśli o więzieniu. Przeszedł go dreszcz, otulił się szczelnie kocami. Więzienie... Jak tam jest? Ostatecznie, ludzie wychodzą z więzienia i jakoś potem żyją...

Wyobraził sobie twarze dawnych znajomych - inspektora Kowalskiego, Adamczaka, Namitkiewicza, jak spotyka ich na ulicy po wyjściu z więzienia i jak oni odwracają głowy w drugą stronę, udając, że go nie widzą.

Złodziej. Kto poda rękę złodziejowi. Tylko drugi złodziej, taki sam, albo jeszcze gorszy. Mówi się, że w Polsce teraz wszyscy kradną, ale on sam wie najlepiej, że to nie-

152

153

prawda. Tak się tylko gada... Jakby co do czego przyszło, tamci na pewno by mu ręki nie podali. A Maria?

Wszystkie książki były już przeczytane. Janowi zabrakło papierosów, nafty do lampy i mydła. Chciał kupić sobie gruby, ciepły sweter i jeszcze jeden koc. Potrzebował też jakiegoś lekarstwa od kaszlu. Wybrał się więc któregoś dnia sam do miasteczka. Do tej pory powierzał wszystkie swoje sprawunki gajowemu, bojąc się pokazywać na ulicy. Teraz jednak wyrosła mu spora broda, zmieniając twarz do niepoznania.

Od jego ucieczki upłynęły przeszło dwa miesiące. Zien-tarek nie odezwał się więcej i Jan zaczął przypuszczać, że go aresztowano. Urwał się przez to jego jedyne kontakty z Warszawą,

Pożyczył od Zarzyckiego grubą kurtkę i starą czapkę, włożył ciemne okulary, w które zaopatrzył się jeszcze w Białymstoku i wczesnym rankiem, jak tylko się rozwidniło, ruszył do miasteczka.

Odwykł od dłuższego chodzenia i po trzech kilometrach rozboleły go nogi. Szedł jednak bez ociągania, bo na dworze był mróz, i przepocona wełna ocierała pięty, co wprawiało go w zły humor, który nie pozwalał na żaden odpoczynek. Miał podarte skarpetki. Pomyślał, że trzeba kupić parę igieł i bawełnę do cerowania czy jakieś nici.

Zamarzyła mu się nagle kąpiel w gorącej wodzie, pieniące mydło, puszysty ręcznik, a potem czysta, ładnie wyprasowana piżama. U Zarzyckich prał sobie sam, suszył bieliznę na kuchennym piecu, na której były później ślady sadzy z komina.

Kąpiel... Ciepły pokój, wesola muzyka z głośnika radiowego, mocna kawa, kino... Po raz pierwszy od paru tygodni zatęsknił za domem. Co Maria powiedziała o nim dzieciom? Malarzka Basia i tak niewiele rozumie, ale Henryk - rozumny, kochany chłopak o poważnych oczach matki i uroczym uśmiechu... co myśli o swym ojcu jego mały syn?

154

Splunął w błoto, odkaslnął. Zabolało go w płucach, pewnie miał podwyższoną temperaturę. Dochodził już do pierwszych domów miasteczka, rozrzuconego półkuliście pod gęstym lasem. Pomyślał, że trzeba będzie zaopatrzyć się w gazety i może kilka ciekawych książek. Czymś trzeba było zapełnić beznadziejną nudę, długie wieczory.

Wszedł pomiędzy dwa szeregi domów, potykając się od czasu do czasu na mokrych kocich łbach wąskiej uliczki. Tutaj nie było jeszcze sklepów, więc przyspieszył kroku, aby już prędzej znaleźć się w okolicach rynku. Tam, jak mówił gajowy, była apteka, sklepy i kiosk „Ruchu”. Była też gospoda ludowa, podobno niezła.

Przechodnie, których mijał nie patrząc i chowając twarz w kołnierz kurtki, oglądali się za nim ciekawie. Niektórzy nawet przystawali, długo śledząc wzrokiem nieznanego przybysza. W tym małym prowincjonalnym miasteczku wszystko, co przerywało monotonię codziennego życia, było interesujące.

Nie lubił tych spojrzeń. Zdawało mu się, że za chwilę ktoś zawoła go po nazwisku, a wtedy wszyscy będą już wiedzieli kim jest ten obcy, który kryje się w ich mieście.

Wreszcie dotarł do rynku. Najpierw odnalazł kiosk i kupił wszystkie warszawskie gazety, jakie były, kilka tygodników ilustrowanych, dziesięć paczek papierosów i zapałki. Zobaczył żyletki, ale przypomniał sobie, że ma brodę i są mu niepotrzebne. Kioskarz zaproponował wodę kołońską i proszki od bólu głowy. Kupił jedno i drugie, poro-zmieszczał po kieszeniach i ruszył na poszukiwanie apteki. Odnalazł ją na jednym, z czterech rogów rynku - duży, na biało malowany budynek, nie wiadomo dlaczego ozdobiony jakimś rzeźbionym herbem i girlandą. W aptece było tłoczno. Baby wiejskie, zakutane w chustki, z koszami w ręku cierpliwie przestępowały z nogi na nogę, nabożnie śledząc ruchy rąk pani magister i chłonąc każde jej słowo.

Stanął jako ostatni, powoli przesunął się do okienka z matową szybą, wreszcie poprosił coś od kaszlu, polopirynę i bellacorn, który pomagał mu w nerwicowym bólu żołądka.

155

- Na receptę? - spytała farmaceutka, nie podnosząc oczu od bloczka z paragonami.

- Nie. Tak zwyczajnie... - odparł, poprawiając okulary. Zawahała się.

- Właściwie - powiedziała niezdecydowanie - bellacorn powinien być na receptę.

- No, kiedy nie mam. Zawsze brałem bez recepty.

- U nas? - zdziwiła się. Spojrzała na niego i potrząsnęła głową.

- Nie, w Warszawie... - urwał i przygryzł wargi.

- To pan z Warszawy? I nie mógł pan stamtąd sobie przywieźć?

- Zapomniałem. Jak nie można, to trudno. Proszę tylko o syrop na kaszel i polopirynę - chciał czym prędzej skończyć rozmowę.

Zastanawiała się przez chwilę.

- Zobaczę, może będę mogła panu dać ten bellacorn. Spytam kierownika - odłożyła ołówek i wyszła do drugiego pokoju.

Czekał parę minut, potem zaniepokoił się. Nagle drzwi łączące pokój apteczny z sąsiednim laboratorium odchyliły się lekko pod wpływem przeciągu i Jan zobaczył, że farmaceutka rozmawia z kimś przez telefon. Zmartwił. Pewnie podpadła jej ta Warszawa i zawiadomia teraz posterunek milicji.

Rzucił się ku drzwiom wyjściowym, roztrącając wchodzących ludzi i wybiegł na ulicę. Nie myślał już o kupowaniu czegokolwiek. Chciał tylko za wszelką cenę znaleźć się jak najszybciej u Zarzyckich.

Pomyliły mu się ulice, zaczął iść jedną, ale po kilkunastu krokach zorientował się, że tędy nie szedł. Zawrócił więc, spocony i przerażony, jeszcze raz próbował i jeszcze raz zawrócił, zanim znalazł „swoją” drogę, wiodącą do zbawczego lasu.

Do leśniczówki dotarł już o świetle księżyca, zmarznięty i wygłodzony, pełen najgorszych przeczuc i obaw. Zarzycka odgrzała mu obiad, szepcząc coś o plamach z błota, które naniósł na czysto wymytą podłogę, ale nie reagował na jej słowa.

Zjadł, podziękował i zaszył się na górcie, kupiwszy od gajowego trochę nafty do lampy. Zrzucił mokre buty, wyciągnął się na łóżku i rozłożył gazety.

Od razu z pierwszej strony jednego z dzienników spojrzała na niego twarz Gilewskiego. Serce zabiło mu spiesznie, nierówno. Drżącymi palcami ujął gazetę i przysunął się z nią bliżej do światła.

To był list gończy Prokuratury Stołecznej w Warszawie i Komendy Miasta Milicji Obywatelskiej za Euzebiuszem Gilewskim, byłym dyrektorem Centrali Garbarskiej, podejrzanym o „DOKONANIE SZEREGU POWAŻNYCH NADUŻYĆ GOSPODARCZYCH. PROKURATURA WZYWA KAŻDEGO, KTO ZNA MIEJSCE POBYTU EUZEBIUSZA GILEWSKIEGO, ABY ZAWIADOMIŁ...”

Każdy, kto zna... Szukają go. Może tak samo, jak on, czyta w tej chwili gazetę i patrzy na swoją fotografię, zastanawiając się co robić dalej. Milioner. Wszechwładny, tak wpływowy podobno, tak wysoko ustosunkowany pan dyrektor - poszukiwany listem gończym przez milicję. Byle pętać może mu zajrzeć w twarz i krzyknąć do milicjanta: „Chwytaj złodzieja!” Byle frajer może go rozpoznać i zawiadomić prokuratora.

Dyrektor Gilewski. Sześciopokojowa willa, czarny mercedes, perskie dywany, ręcznie kute kandelabry,

srebrne sztucce, biżuteria, złoto... Pan dyrektor siedzi może teraz w jakiejś chałupie, za grubą forszę przygarnięty przez chłopą i trzęsie portkami na każde stuknięcie do drzwi czy okna.

Zmiał ze złością gazetę i cisnął ją w kąt pokoju. Nagle zerwał się, oblany potem, bo do jego drzwi ktoś zastukał. Rzucił się do okna, potem odetchnął głęboko i wzruszył ramionami. To był Zarzycki.

Gajowy siadł na parapecie okna i popatrzył uważnie na swego lokatora.

- Był pan w miasteczku? - spytał, śliniąc bibułkę od papierosa.

- Mhm. A bo co?

- Nic, tak.

156

157

Milczeli chwilę.

- Gazety pan czytał?

Spojrzenie Jana powędrowało w kąt.

- Czytałem - mruknął niechętnie.

- Tam stoi o nim...

- Wiem. To co?

- Nic, tak.

Znowu milczenie. Zarzycki w skupieniu zaciągał się papierosem.

- Mam się wynosić? - wybuchnął wreszcie Jan, nie mogąc znieść tego milczenia.

Gajowy wzruszył ramionami. Nie odpowiadał.

- No, to czego pan chce, u diabła ciężkiego?

W oczach tamtego coś niebezpiecznego błysnęło. Jan pohamował z wysiłkiem swój gniew. Ostatecznie, był przecież całkowicie w jego rękach.

- Co mam robić - spytał bezradnie. - Jechać do miasta?

- Na posterunku pytali o pana. Kto, po co i takie tam... Mam pana zameldować?

- Czy w gazetach było też o mnie? Zarzycki skinął głową.

- Było? - Jan poblądł, schylił się i sięgnął po zmięty łach papieru. Rozwinął go, przebiegł oczami dalsze

strony... Jest. Zdjęcie, to legitymacyjne sprzed dwóch lat. I list gończy. „Prokuratura Wojewódzka dla miasta stołecznego Warszawy... Jana Karola Wilczyńskiego, syna Józefa i Stanisławy z domu... działając wspólnie przywłaszczył sobie mienie państwowe...”

Opuścił ręce z gazetą i zapatrzył się w ciemną noc za oknem.

To już był koniec. List gończy przeczytają setki tysięcy osób. Nie ma już gdzie się ukryć, nie ma dokąd iść. Nagle wezbrała w nim wściekłość.

- To przez nich! - krzyknął, czując, że wargi mu się trzęsą, a po policzkach biegną gorące łzy. - To przez tych drani, łobuzów, przez nich wszystko! Zmarnowali mi życie, zmarnowali mi młodość, rozbili dom, rodzinę... Ach, cholerne dranie - płakał i klął, załamując ręce, aż stawy

trzeszczały, pełen rozpacz i żalu nad tym wszystkim, co utracił.

Gajowy przypatrywał mu się obojętnie, potem strzyknął śliną na podłogę, wytarł butem i powtórzył:

- Mam zameldować czy nie?

- Oszalał pan? - wybuchnął - meldować, kiedy wysłali za mną listy gończe? Żeby za dwie godziny po mnie przyszli?

- Bo jak nie - podjął Zarzycki - to trzeba jechać.

- Dokąd?

- A, to już nie moja rzecz. Tam, gdzie pana nie znajdują.

- Dobrze. Pojadę. Jeszcze dzisiaj wieczorem.

- Należy mi się sześćset złotych, za pokój i wikt. Jan spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Przecież dopiero przedwczoraj dałem panu czterysta złotych.

Gajowy uśmiechnął się lekko.

- Należy się sześćset złotych. A do jutra to już będzie tysiąc.

- Co to znaczy, panie Zarzycki?

- To znaczy, że ja za darmo głowy za pana nie będę nadstawiać. Wszystkich pańskich koleżków połapali i marny widok, żeby ich mieli puścić. To co pan myśli, że jednemu się upiecze? Tego dyrektora tyż złapią. I pana złapią. Do mamra was wszystkich razem wsadzą, będzie wam wesoło.

Roześmiał się grubo, uderzył pięścią w stół.

- Dajesz pan te sześćset złotych?

Jan w milczeniu odliczył sześć setek i położył przed gajowym. Zmierzyli się oczami, w których paliła się

obustronna nienawiść.

- Jeszcze to panu powiem - rzekł gajowy, chowając pieniądze do kieszeni - żeś pan dla mnie nie towarzystwo. Ja takich, co ich policja szuka, w domu mieć nie chcę.

- A chciał pan mnie meldować. Machnął ręką.

- Nie. Chciałem wiedzieć, co pan będzie robił. Może bym zresztą na parę dni jeszcze zameldował, bo mam w miasteczku znajomych, coś by się wykombinowało. Ale

158

159

mi już zbrzydła pańska gęba i to pranie w kuchni, i to, że gdzie się ruszę, tam się na pana natykam!

- Nie musi pan mi tego mówić - odparł Jan, schylając się po walizkę. - Za pół godziny już mnie tu nie będzie.

Pierwszy raz w życiu ktoś tak otwarcie i grubiańsko wyrzucił go za drzwi. Wiedział jednak dobrze, że trzeba zaciąć zęby, a może jeszcze podziękować uprzejmie za gościnę - bądź co bądź przydługą, choć sownie opłaconą - bo przybył tu bez zaproszenia, a w dodatku ścigany przez prawo.

Spakował rzeczy byle jak, szedł na dół, pożegnał się z Zarzycką i z wahaniem wyciągnął rękę do gajowego. Ale ten udał, że nie widzi gestu. Powiedział tylko, wyglądając przez okno, że najkrótsza droga do stacji wiedzie przez las, a pociąg kursuje stąd dwa razy na dobę, najbliższy za trzy godziny.

Jan ujął walizkę, otulił się szczelnie swoją jesionką i zagłębił w las. Prószył drobny, gęsty śnieg zmieszany z deszczem. Droga była na szczęście szeroka i widna, mimo nocy. Przelotnie pomyślał, że w tej okolicy mogą być wilki i wzruszył ramionami. Było mu w tej chwili wszystko jedno, co się z nim stanie. Wilki, bandyci, choroba... Nie, choroby nie chciał. Leżeć tu, w tym obcym lesie, na śniegu... Nie.

Szedł długo, przystawał zmęczony, głodny, bo bez kolacji, z obolałymi nogami. Na którymś tam kilometrze zrozpaczony cisnął w krzaki walizkę, włożył ręce w kieszeń i odetchnął z wyraźną ulgą. Po dwóch godzinach marszu las nagle skończył się i Jan zobaczył przed sobą szeroki kawał zaśnieżonego pola, a dalej jakieś budynki, błyskające żółtym światłem. To była stacja.

W pustej, przeraźliwie zimnej poczekalni czekał długo, aż dyżurny ruchu i kasjer w jednej osobie otworzy okienko. Przez ten czas przestudiował rozkład jazdy pociągów. Postanowił dojechać na razie do Białegostoku, przenocować gdziekolwiek, a potem zastanowić się, co dalej.

Kupił bilet drugiej klasy, zresztą pierwsza na tej linii była mitem. Doczekał się pociągu, który nadbiegł z czarnej nocy, sypiąc tumanem iskier i gwizdząc wesoło. Po-

szukał niezbyt pełnego przedziału i, czując przykre kurcze głodowe, daremnie próbował zasnąć. Nad ranem był Białystok i Jan wysiadł, kierując się natychmiast do stacyjnego bufetu. Zjadł potężną porcję bigosu z dużym kawałem kiełbasy, zagryzł to wszystko dwoma bułkami i popił herbatą koloru słomy.

Kiedy zapalał papierosa, kątem oka dojrzał patrol milicji, który wszedł do poczekalni. Dwóch rostrych mężczyzn w paskach pod brodą rozglądało się dokoła uważnie. „Teraz tylko spokój i zimna krew” - pomyślał. Wstał, podszedł do lady bufetowej i poprosił o kufel piwa. Pił wolno, drobnymi łykami i rozglądał się po gablotach, spytał barmanki czy jest wedlowska czekolada, kupił jedną tabliczkę, i wdał się, ze sprzedawczynią w pogawędkę. Rozmawiała chętnie, znudzona słabym ruchem o tej wczesnej godzinie. Kiedy dostrzegł, że milicjanci podchodzą do lady, ostentacyjnie odstawił kufel, zapłacił i pożegnał barmankę niezwykle serdecznie, nie omieszkając pocałować ją w rękę. Potem odwrócił się z resztą uśmiechu na ustach, przemknął po twarzach obu mężczyzn przelotnie zdziwionym spojrzeniem, i nie spiesząc się, wyszedł z sali. Zdawało mu się, że w nogach ma stukonny motor, który każe mu gnać ile sił, ale stawiał je umyślnie powoli, szurając lekko butami, jak człowiek starszy i schorowany.

Nikt go nie zatrzymał. Na ulicy wtulił twarz w kołnierz palta, ale po chwili odstąpił ją. Osądził, że właśnie chowanie twarzy zwraca uwagę. Należało iść śmiało, pewnie, jakby się było od lat stałym mieszkańcem Białegostoku. Tylko... dokąd iść?

Ach, gdyby miał fałszywe papiery! Gdyby znalazł kogoś, kto potrafiłby zaopatrzyć go w dowód osobisty na jakiegokolwiek nazwisko, aby tylko nie to, które wczoraj widniało na szpalcie gazet pod jego zdjęciem. Bez dowodu nie zameldują go w hotelu, nie wynajmie mieszkania, nie przyjmą go nigdzie do pracy.

- Nie dostał pan pokoju? - usłyszał jakiś głos tuż obok. Obejrzał się. Za nim stał mały, chudy mężczyzna w rogowych okularach i uśmiechał się życzliwie.

160

161

- Jakiego pokoju? - spytał machinalnie. I nagle dostrzegł, że znajduje się przed hotelem „Polonia”. Widać zawędrował tu wiedziony instynktem człowieka poszukującego noclegu.

- Nie dostałem - rzekł ze smutkiem. Po chwili dodał z uśmiechem zażenowania: - Widzi pan, zapomniałem zabrać ze sobą dowód osobisty i nie chcą mnie bez tego zameldować. Głupia historia, będę musiał przez parę dni nocować na dworcu.

- A skąd pan przyjechał?

- Ze wsi, pod Szczupczynem. Mam tam takie małe gospodarstwo rybne. Może pan mi coś poradzi? Strasznie mi się chce spać, pół nocy jechałem.

Mężczyzna pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Człowiek niewyspany jest do niczego - rzekł sentymentalnie. - Wie pan co? Ja tu czasem przychodzę pod hotel i pytam, czy ktoś nie potrzebuje noclegu. Jestem wdowcem, mam dwa pokoje i dorabiam sobie trochę tym noclegiem. Biorę trzydzieści złotych za pokój. Pościel, woda do mycia, ręcznik też... Ciepło jest, napalone. Jakby pan chciał, to proszę.

Jan zgodził się natychmiast. Poszli wąską, krętą uliczką wiodącą trochę w dół, minęli jakieś budujące się

osiedle i nowe kino.

- Śniadanie też może pan dostać - rzekł mężczyzna, wkładając klucz do drzwi jednego z mieszkań na drugim piętrze starej kamienicy. - Może być herbata albo mleko, bułki, masło czy wędlina. To zależy ile pan chce wydać.

- A jak będzie z dowodem i zameldowaniem? - spytał Jan, czując niespokojne bicie serca. Bardzo chciał móc tu zostać, choćby i na miesiąc. Pokój był nieduży ale czyściutki, łóżko białe zasłane, od kaflowego pieca biło miłe ciepło.

Gospodarz machnął ręką.

- W razie czego powiem, że pan jest moim kuzynem. Jak pańska godność?

Jan zawahał się sekundę.

- Nazywam się Kowalski. Zbigniew Kowalski, z Czarnej - przypomniał sobie w porę nazwę wsi, o której opowiada-

ła mu często Zarzycka. Była to jej wieś rodzinna, nad wszystko ukochana i dzięki temu zbiegowi okoliczności Jan orientował się zupełnie nieźle tak w topografii Czarnej, jak i w charakterze jej mieszkańców. Znał też ze słyszenia parę nazwisk.

- A ja jestem Żmigrodzki January. Pochodzę z Białegostoku. Jeżeli pan chce się umyć dokładniej - w tym miejscu gospodarz obrzucił dość wymownym spojrzeniem przybrudzoną postać przybysza i chrząknął - to przyniosę ciepłą wodę. Czy zbudzić pana o jakiejś godzinie?

Jan nie miał żadnej ochoty na wstawanie i włóczenie się po obcym mieście, jednakże pozostanie w łóżku przez cały dzień mogłoby się wydawać podejrzane, odparł więc uprzejmie, że prosi o zbudzenie o jedenastej. Dodał również z uśmiechem, że wprowadzie ma moc interesów do załatwienia, ale jest tak zmęczony, że musi przedtem dobrze wypocząć.

- Chciałbym tu pozostać przez kilka dni, o ile nie ma pan nic przeciwko temu - rzekł, kiedy już wychodził z łazienki, a pan Żmigrodzki strzepywał na korytarzu ście-reczkę od kurzu. - Zapłacę z góry.

- Proszę uprzejmie - odparł gospodarz, który wolał mieć jednego gościa niż codziennie zmieniać pościel. Poza tym przyjezdny wyglądał na skromnego i pocziwego człowieka.

Jan położył się do łóżka i zasnął kamiennym snem, bez marzeń i żadnych widziadeł. Obudzony punktualnie, poprosił o śniadanie, na które wręczył gospodarzowi pieniądze odliczając na cztery dni z góry. Potem leżał jeszcze przez kwadrans, rozkoszując się ciepłem i spokojem.

Żmigrodzki przyniósł mu herbatę, bułki z masłem i ser, jako że był piątek, a on przestrzegał religijnych przepisów nie tylko w stosunku do siebie, ale i swoich gości. Potem wyszedł. Na tacce obok szklanki leżała poranna gazeta. Jan wziął ją do ręki, czując znowu przykry skurcz. Tym razem jednak nie znalazł w niej ani słowa na temat siebie czy Gilewskiego. Nie było też żadnej wzmianki o aresztowaniach w

Centrali.

162

163

Po śniadaniu umył się, starannie rozczesał brodę, nałożył ciemne okulary i wyszedł, upewniwszy się, kiedy jego gospodarz będzie w domu. Nie dostał bowiem klucza od mieszkania, czemu się zresztą nie dziwił. Ostatecznie Żmigrodzki nie mógł wiedzieć, kim są jego przelotni lokatorzy.

Chodził po ulicach do paru sklepów, kupił dwie pary skarpetek, kilka chusteczek do nosa, mydło. Obiad zjadł w małej restauracyjce niedaleko rynku, później poszedł do kina i przesiedział przez dwa seanse na jakiejś mało dowcipnej, niewybrednej komedii. Kiedy wychodził z kina, nagle zatrzymał się jak wryty. Dwóch milicjantów stało przed bramą obserwując wychodzących. Cofnął się, przepchnął aż do widowni i wszedł między krzesła. Schylił się, jakby czegoś szukał. Podeszła bileterka.

- Zgubił pan coś? - spytała uprzejmie.

- Tak - odparł, wciąż pochylony. - Obrączkę. Zdjąłem z palca i bawiłem się nią, a potem spadła mi gdzieś na podłogę...

- To pan nie wie, że obrączki się nie zdejmuje? - zaśmiała się. - To przynosi nieszczęście w małżeństwie.

- Mnie już przyniosło - mruknął. - Czy tu się zamiata po ostatnim seansie?

- Nie, rano. - Zamknęła drzwi za wychodzącymi i weszła pomiędzy rzędy krzeseł. - Teraz jest piętnaście minut przerwy na wietrzenie sali, może pan przez ten czas znajdzie. A jak nie, to proszę zgłosić u kierownika, że pan zgubił obrączkę i jak wyglądała.

Odczekał jeszcze parę minut, wreszcie zawołał z radością:

- O, Jest! - Udał, że wsuwa coś na palec, wyprostował się i pokazał bileterce swoją obrączkę. - Do widzenia pani.

Wypuściła go na podwórze, życząc dobrej nocy. W bramie nie było już niebieskoszarych mundurów. Postawił kołnierz pałta i szybkim krokiem wyszedł na ulicę.

Zjadł kolację w tej samej restauracji przy rynku, napił się piwa, wypalił papierosa i poszedł w kierunku domu, gdzie mieszkał Żmigrodzki. Minął po drodze księgarnię, jeszcze otwartą. Zawahał się, potem wszedł do środka.

164

Brakowało kilka minut do siódmej, dwaj sprzedawcy porządkowali rozrzucone na ladzie książki. Na widok spóźnionego klienta jeden z nich podniósł głowę i spytał:

- Pan sobie czegoś życzy? - A zaraz potem dodał: - Zamykamy już. Siódma.

- Czy dostanę jakiś taki, wie pan zbiór przepisów prawnych i paragrafów... no, jak to się nazywa... kodeks karny czy coś takiego?

- Kodeks karny, proszę bardzo - podał mu małą czerwoną książkę - Jest to wydanie z roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego, ale jest ważne dziś tak samo jak wówczas. Prawo o wykroczeniach też pan tam znajdzie. Trzydzieści złotych.

Jan zapłacił, wsunął do kieszeni kodeks i wyszedł. Żmigrodzki czekał na swego gościa z herbatą i ciepłą wodą do mycia. Porozmawiali chwilę, potem gospodarz ziewnął, przeprosił i poszedł spać. Jan zamknął drzwi na klucz, co dawało mu dziwne poczucie bezpieczeństwa, położył się, wziął książkę do ręki, szukając paragrafu, który miałby ewentualnie skazać go na pewną ilość lat odosobnienia.

Przebiegł oczami uwagi wstępne i kilka pierwszych artykułów. Uśmiechnął się przy artykule dziewiątym, który mówił o „rozbójnictwie morskim, handlu niewolnikami, handlu kobietami lub dziećmi i innych przestępstwach popełnianych przez obywatela za granicą, po czym zamyślił się głęboko nad zasadami odpowiedzialności. Zastanowił go paragraf pierwszy artykułu siedemnastego: „Nie podlega karze, kto w chwili czynu, z powodu niedorozwoju psychicznego, choroby psychicznej lub innego zakłócenia czynności psychicznej nie mógł rozpoznać znaczenia czynu lub pokierować swym postępowaniem”.

- Lub innego zakłócenia czynności psychicznej - powtórzył półgłosem i zamyślił się. Spojrzał dalej. „Nie popełnia przestępstwa kto dopuszcza się czynu pod wpływem przymusu fizycznego, któremu nie mógł się oprzeć”... Usiadł na łóżku, oczy mu rozbłyły. Przecież Olański wyraźnie zastosował wobec niego przymus fizyczny. Przecież

165

złapał go wówczas za gardło i dusił, kiedy chciał zerwać z gangiem, przyrzekając całkowite milczenie.

A więc, w znaczeniu prawnym - on, poszukiwany przez władze Jan Wilczyński, przestępstwa żadnego nie popełnił.

Siedział tak czas jakiś, rozważając w duchu wszystkie pro i contra, ale z wolna zaczęło go ogarniać zniechęcenie. Gdyby był niewinny, nie poszukiwaliby go listem gończym.

- No, ale przecież prokurator nie wie, że tamten mnie zmusił - zawołał i uderzył ręką w stolik nocny, jakby chcąc tym poprzeć swój argument.

Zmusił. Oczywiście, że zmusił. Co prawda, Jan się zgodził... ale właśnie pod wpływem przymusu. Chciał nie kraść, ale tamci go zmusili.

Tak. Wyobraził sobie, jak mówi o tym prokuratorowi i jak przyprowadzony na konfrontację Olański ze wstydem opuszcza głowę.

Akurat. Olański przede wszystkim wyprze się tej całej sceny, jaka rozegrała się pomiędzy nimi w magazynie. A Jan nie ma żadnego świadka, żadnego dowodu na poparcie swoich słów. Zresztą, Olański od razu powie: - Przecież, jeżeli Wilczyński twierdzi, że ja go zmusiłem przez to, że mu kazałem oddać te

osiem tysięcy złotych, no to niech powie, za co je dostał. Najpierw zgodził się na kradzież, potem wziął za to forszę, a teraz zwala na mnie...

Olański tak powie i będzie miał rację. Przynajmniej będzie ją miał wobec prokuratora. Prokurator, bo wszyscy inni z gangu potwierdzą jego wielokrotny udział w kradzieżach. A zwłaszcza - ten pierwszy, za który dostał osiem tysięcy.

Opadł na poduszki pełen rozgoryczenia. Nie. Dziewiętnasty artykuł kodeksu nie ma tutaj żadnego zastosowania. Prokurator może nawet powiedzieć: - Jeżeli pan chciał wrócić na uczciwą drogę, to dlaczego pan do mnie nie przyszedł i nie powiedział o wszystkim szczerze? Oddałby pan nam wielką przysługę, zapobiegając dalszym kradzieżom.

Tak by powiedział prokurator. A w to, że Olański mu groził, nie uwierzy. Pomyśli, że to głupi wykręt. Może, gdyby Jan był na miejscu prokuratora, też by tak pomyślał...

Jan mieszkał u Żmigrodzkiego już czwarty miesiąc. Gospodarz o nic go nie pytał, raz tylko zrobił małą wzmiankę o tym, że musi kupować droższy węgiel, bo tamten do niczego. Wilczyński zareagował natychmiast, podwyższając dobrowolnie opłatę na czterdzieści złotych za dobę, co Żmigrodzki przyjął z zażenowaniem, ale skwapliwie.

Wychodził codziennie na miasto, robił spacerzy dla utrzymania równowagi psychicznej i fizycznej, przestał nawet omijać z daleka milicjantów, którzy zresztą nie zwracali na niego uwagi. Długa broda i ciemne okulary tak dalece zmieniły jego wygląd, że tylko chyba bardzo dobry znajomy przy bliższej rozmowie poznałby go po ruchach i po głosie.

Problem otrzymania jakiegokolwiek pracy wciąż jednak pozostawał nieosiągalny przy braku dowodu na inne nazwisko. A pieniądze topniały z wolna wprawdzie, lecz stale. Nadeszło lato, trzeba było kupić cienkie ubranie, sandały, bieliznę. Z jedenastu tysięcy, z którymi wyjeżdżał z Warszawy, pozostało już teraz tylko niecałe dwa. Jan przestał chodzić na obiady do restauracji, zjadał tylko w barze mlecznym dwa jajka z ziemniakami i kupował owoce, które tutaj były bardzo tanie. Wstydził się jednak, a raczej obawiał powiedzieć Żmigrodzkiemu, że kiedy się nie pali już w piecu, mógłby płacić trzydzieści złotych, jak na początku.

Któregoś dnia, gdy wstawał rano, gospodarz zastukał lekko do drzwi i podał mu poranną gazetę. Jan zdziwił się trochę, ale podziękował, rozłożył ją na stole i, zawiązując krawat, przebiegał oczami płachty papieru. Nagle drgnął. Pośrodku jednej strony, tłustym drukiem biła w oczy notatka z wymownym tytułem: „Szef złodziejskiej szajki garbarskiej - schwytany”.

Chwył gazetę i czytał, czując, jak serce kołacze mu w piersi niespokojnie.

„Komenda Miasta Milicji Obywatelskiej natrafiła na ślad szefa złodziejskiej szajki z Centrali Garbarskiej, dyrektora Euzebiusza Gilewskiego. Jak się okazuje, Gilew-

ski przez cały ten czas ukrywał się w willi jednego ze swych znajomych, Władysława K., na strychu. Znalaziono przy nim adres znanego lekarza, specjalisty operacji plastycznych oraz paszport na nazwisko pewnego cudzoziemca.

Na strychu... Pan dyrektor ukrywał się na strychu, jak zwykły złodziejasek. Nie przydały się widać na nic miliony. Jednak go znaleźli. Pewnie tamtemu się sprykrzyło i wydał.

Spojrzał znów na gazetę i spostrzegł, że notatka na tym się nie kończyła. Czytał dalej:

„Władysław K. otrzymał od dyrektora Gilewskiego sto tysięcy złotych za przechowywanie go. Obaj zostali aresztowani”.

Sto tysięcy. Nie piszą, jak został wykryty. Nagle zaniepokoił się. Dlaczego Żmigrodzki dziś właśnie przyniósł mu gazetę? Przedtem tego nie robił. Czyżby...

Do drzwi znowu delikatnie zapukano:

- Proszę - powiedział Jan ze ściśniętym sercem, bo przeczuwał już co teraz nastąpi.

Żmigrodzki wszedł cicho, prawie na palcach i starannie zamknął za sobą drzwi. Twarz miał nieprzeniknioną, oczy skryte za wielkimi okularami. Usiadł na krześle i popatrzył na Wilczyńskiego, poczym zapytał:

- Czytał pan gazetę?

- Tak.

- Sądzę, że... - urwał. Szukał widać słów, bo milczał przez chwilę, wreszcie powiedział: - Wydaje mi się, że nie może pan dłużej mieszkać u mnie bez zameldowania.

- Ja bardzo... - zaczął Jan, ale tamten przerwał mu łagodnie:

- Nie chcę o niczym wiedzieć, panie... panie Kowalski. Miło mi pana mieć za lokatora, niestety jednak przepisy są przepisami i trzeba je przestrzegać. Poza tym, nasz dzielnicowy pytał mnie wczoraj kim jest ten pan, który mieszka już tyle czasu i... Jednym słowem, powinien pan już wrócić do swego rybnego gospodarstwa, we wsi Czarna, o ile się nie mylę.

Koła pociągu stukały rytmicznie, za oknami była granatowa noc przerywana czasami błyskiem światła na stacjach.

Jan siedział w kącie przedziału i udawał, że drzemie. Jechał do Warszawy. Postanowił za wszelką cenę zobaczyć się z Marią i u niej jakoś szukać pomocy. W portfelu miał już tylko dwieście złotych.

Wa gon był stary, nieprzegrodzony wewnętrznymi ściankami i można było słyszeć, co kto mówił w

sąsiednim przedziale. Jan mimo woli nadśluchiwał, czy obok nie rozmawiają o tym, co było w dzisiejszej gazecie, ale widać albo nie czytali, albo powiedzieli już sobie na ten temat wszystko, co mieli do powiedzenia.

W Tłuszczu do wagonu weszło kilkunastu ludzi z teczkami wypchanymi drugim śniadaniem i kawą w termosie. Jechali do Warszawy na pierwszą zmianę w fabrykach. W przedziałach zrobiło się tłoczno i gwarno. Podróżni z Białegostoku, wyrwani z drzemki, posuwali się niechętnie, robiąc miejsce przybyłym. Ktoś usiadł naprzeciw Jana, spojrzał na niego obojętnie, skrzywił na widok długiej brody, a potem zaczął mu się uważnie przyglądać.

Jan poznał go od pierwszej chwili, gdy tamten wszedł do wagonu. Był to jeden z robotników oddziału mokrego w Centrali - Gawroński.

Przymknął powieki, zostawiając małą szparkę, aby móc obserwować garbarza tak, żeby tamten tego nie zauważył. Swój niewielki tobołek z rzeczami miał tuż przy sobie, a całe ciało naprężyło się jak do skoku. Pociąg jechał teraz trochę wolniej, bo przed Warszawą naprawiali tory. Mijały ich raz po raz elektryczne, podmiejskie i gdyby na jakiejś stacji - albo tuż przed nią - przebiec do któregoś z tamtych pociągów...

- Przepraszam, czy ma pan ogień?

Mimo woli otworzył oczy i zobaczył tuż koło siebie twarz Gawrońskiego, który pochylał się w jego stronę z papierosem w ręku.

Potrząsnął przecząco głową.

169

- Ale te pieniądze to pan jeszcze chyba ma, panie Wilczyński, co?

Było to powiedziane głośno i w przedziale nagle zapanowała cisza. Wszystkie twarze zwróciły się w ich stronę.

- No? - powtórzył garbarz ostro. - Pytam się pana, czy pan ma jeszcze... trzymaj go!!! Trzymaj złodzieja! - krzyknął, bo Jan zerwał się błyskawicznie z siedzenia, trzasnął go pięścią między oczy, jednym gwałtownym ruchem szarpnął drzwi wagonu i dał potężny skok w powietrze. Przekoziółkował przez nasyp, stoczył się w dół na jakąś łąkę czy pastwisko, a nie czując żadnego bólu, zerwał się natychmiast i rozejrzał. Pociąg gwałtownie hamował, widocznie ktoś pociągnął za czerwoną rączkę. Spojrzał w tył. W odległości stu, może stu pięćdziesięciu metrów za nim były zabudowania, ogród, a dalej las. Poderwał się do rozpaczliwego biegu. Po dwudziestu pięciu sekundach był już za ogrodem. Nie oglądał się za siebie, ale słyszał krzyki pogoni. Kiedy poczuł pod stopami miękko uginające się igliwie i mech, odważył się spojrzeć w tamtą stronę.

Pociąg stał wciąż jeszcze na nasypie, widać było jakieś kręcące się obok niego postacie ludzkie. Ale przez ogród parę osób biegło w stronę lasu. Więc dysząc ciężko, zaczął przedzierać się przez gęste w tym miejscu krzaki, krył się za pnie drzew, rozdzierał ubranie o ostre kolce tarniny i wciąż parł naprzód, aby

dalej od ludzi.

Wreszcie przystanął na chwilę, a nie słysząc już za sobą ani żadnych głosów, ani kroków, rzucił się na ziemię, łapiąc powietrze otwartymi ustami.

W lesie było cicho. Leżał długo, póki nie uspokoiło się gwałtownie walące serce i w uszach przestała szumieć krew. Potem podniósł się, usiadł i rozejrzał. Las nie był duży. Siedzieć w nim, znaczyło czekać na milicję, którą albo już zawiadomiono, albo zawiadomią każdej chwili. Trzeba iść dalej. Ale - dokąd?

- Do Warszawy - mruknął do siebie. Dźwignął się z mchu, doprowadził jako tako do porządku ubranie, przycesał palcami włosy, powymmował z nich igły sosnowe i liście. Przez jakiś czas szedł jeszcze lasem, potem wy-

dostał się na jakąś drogę, wiodącą wyraźnie w kierunku Warszawy. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziewiąta. A więc tyle czasu przeleżał w lesie...

Szedł chyba z godzinę, kiedy usłyszał warkot nadjeżdżającego samochodu. Zanim zdążył uskoczyć w bok, tuż obok niego zatrzymała się z piskiem opon kremowo-niebieska syrenka. Siedziało w niej dwóch panów o wyglądzie inteligentów, jeden w okularach samochodowych i sportowej czapce.

- Ej, człowieku! - zawołał z uśmiechem do Wilczyńskiego - Czy nie ma pan ochoty zarobić parę groszy? Muszę zmienić tylnie koło, a mój kolega nie może mi niestety pomóc.

- Dobrze - powiedział Jan i dojrzał, że drugi mężczyzna nie ma prawej ręki. - Co mam robić?

- Proszę podać mi koło, tam z tyłu jest przymocowane, a ja wyjmę lewarek. Panie mecenasie, niech pan sobie tymczasem posiedzi na tej pięknej łące i odetchnie wiejskim powietrzem.

Adwokat wyszedł z wozu, rozglądając się dokoła i wdychając z widoczną przyjemnością słodki zapach łąbinu, który zócił się opodal za łąką. Wyciągnął papierośnicę, ale po namyśle schował ją z powrotem. Grzechem było palić w tak czystym powietrzu.

Mężczyzna w czapce założył lewarek i powoli unosił samochód w górę. Wilczyński odpiął zapasowe koło, przypatrując się to jednemu z rozmawiających, to drugiemu. Nie znał ich.

- Czekaj pania wiele roboty, panie mecenasie - rzucił kierowca, odkręcając śruby starego koła. To olbrzymia sprawa. Pan broni Gilewskiego?

Zapasowe koło wypadło Janowi z rąk i potoczyło się po drodze. Schylił się, zrobił kilka kroków, uniósł je z takim trudem, jakby ważyło sto kilo.

- Tak - odparł adwokat. - Ja i Wielowiejski. Będzie nas tam dwudziestu sześciu, prawdopodobnie.

- Czy to prawda, że prokurator zażądał przeprowadzenia sprawy w trybie doraźnym?

- Owszem. I pewnie, mimo naszego sprzeciwu, pójdzie ona rzeczywiście w tym trybie. Niech pan patrzy, jaki śliczny żółty ptaszek, całkiem podobny do kanarka. Co to może być?

- Pojęcia nie mam, nie znam się na ptakach. Teraz proszę o koło - zwrócił się do Wilczyńskiego. - Dziękuję bardzo. Panie mecenasie, niech mnie pan oświeci, szarego obywatela - zażartował - co to właściwie znaczy: tryb doraźny, czy tym garbarzom grozi większa kara?

- W trybie doraźnym dostać mogą nawet karę śmierci. Ale to nie tylko na tym polega... Można już siadać?

- Proszę bardzo. Chciałbym panu - tu kierowca podał Wilczyńskiemu banknot dwudziestozłotowy - jakoś się odwdzięczyć za pomoc. Jeżeli za mało, to ja chętnie... - zawiesił głós wyczekująco.

Ale Jan stał przed nim, bład jak trup, z rękoma bezradnie opuszczonymi w dół. Potrząsnął głową w milczeniu. Nie wziął pieniędzy.

- Co panu jest? - spytał adwokat. - Czy to nie serce? Może pan się zmęczył dźwiganiem koła?

- Tak - odparł z trudem, przetykając ślinę. - To serce. Dziękuję za pieniądze. Nie trzeba. Przynoszą nieszczęście...

Odwrócił się i zaczął zmierzać z powrotem w stronę lasu. Tamci siedzieli czas jakiś, patrząc za nim, zdumieni jego postawą i słowami. Wreszcie adwokat spojrzął na zegarek.

- Spóźnimy się, panie Tadeuszu - powiedział łagodnie. I kierowca zapuścił motor.

Szedł tą samą drogą, aż przedostał się na polankę, na której leżał rano, po ucieczce z pociągu. Tam usiadł na trawie, opuścił głowę na kolana i trwał tak długo, nieruchomy i milczący.

Wreszcie ocknął się i wstał. Na twarzy miał wyraz determinacji, oczy płonęły jak w gorączce.

- Przekleństwo na was, na wasze rodziny, wasze dzieci - szeptał do siebie spieczonymi wargami. Zdjął pasek od spodni, rozejrzał się dokoła, znalazł to czego szukał i pod-

szedł do grubego drzewa o konarach, które mogły udźwignąć człowieka. Z paska zrobił mocną pętlę, przyjrzał się jej i mruknął: - dobra skóra. Za dobra dla mnie. - I roześmiał się.

Kiedy zarzucił pętlę na szyję usłyszał, że przez las ktoś się przedziera. Po paru sekundach szelest dobiegł go również z innej strony, a potem z tyłu. Zrozumiał. Umocował spieszenie pasek na konarze drzewa, wdrapał się na nie, założył pętlę na szyję i skoczył w dół.

Wyrokiem Sądu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, oskarżony Euzebiusz Gilewski, były dyrektor Centrali Garbarskiej skazany zostaje na karę śmierci oraz grzywny w wysokości trzystu tysięcy złotych;

oskarżony Wacław Olański, majster wykańczalni na karę dożywotniego więzienia i grzywny w wysokości

dwustu tysięcy złotych;

oskarżony Józef Michalak, kierownik administracyjno-gospodarczy, na karę dożywotniego więzienia i grzywny.

W stosunku do oskarżonego Jana Wilczyńskiego, magazyniera, prokurator umorzył sprawę, gdyż wyżej wymieniony targnął się na własne życie i zmarł śmiercią samobójczą.

KONIEC

172

Nota redakcyjna

Powieść Anny Kłodzińskiej „Malwersanci” jest czternastą pozycją, która ukazuje się w Serii z Warszawy. Jednocześnie jest to pierwsze wydanie tego dzieła w formie książkowej. Do tej pory powieść znana była jedynie z druku prasowego w odcinkach. Publikowano ją na łamach „Kurierza Polskiego” w 1961 roku.

Pomysł wydawania serii z Warszawy zrodził się na spotkaniach Klubu Miłośników Polskiej Powieści Milicyjnej MOrd. Dotąd wydaliśmy:

1. Helena Sekuła - „Tęczowy cocktail”
2. Helena Sekuła - „Kieliszek Bordeaux”
3. Helena Sekuła - „Wstęga Kaina”
4. Zygmunt Zeydler-Zborowski - „Czwarty klucz”
5. Piotr Kitrasiewicz - „Sherlock Holmes i koledzy”
6. Zygmunt Zeydler-Zborowski - „Nieudany urlop majora Downara”
7. Anna Kłodzińska - „Królowa Nocy”
8. Anna Kłodzińska - „Jak śmierć jest cicha”
9. Zygmunt Zeydler-Zborowski - „Za dużo kobiet”
10. Jerzy Edigey - „Uparty milicjant”
11. Jerzy Edigey - „Czek dla białego gangu”
12. Helena Sekuła - „Złoty blues”
13. Jerzy Edigey - „Niech pan zdejmie rękawiczki”

Zapraszamy wszystkich zainteresowanych do naszego grona. Prowadzimy stronę internetową Klubu MOrd

www.klubmord.com oraz na Forum Mordu

www.klubmord.fora.pl Nasza inicjatywa ma charakter pasjonacki i skierowana jest do miłośników starych polskich kryminałów.

Pozdrawiam

Grzegorz Cielecki (prezesik13@wp.pl) prezes Klubu Miłośników Polskiej Powieści Milicyjnej MOrd

Wykaz książek Anny Kłodzińskiej

1. Śledztwo prowadzi porucznik Szczęsny (1957) Labirynt
2. Złota bransoleta (1958) Labirynt
3. Srebrzysta śmierć (1959) Labirynt
4. Dwa włosy blond (1960) Labirynt
5. Przegrana stawka (1961) Labirynt
6. Kim jesteś Czarny? (1963) Labirynt
7. Błękitne okulary (1965) Jamnik
8. Jedwabny krawat (1966) Jamnik
9. Nie bój się nocy (1968) Jamnik
10. Świetlista igła (1969) Jamnik
11. Potem przychodzi ktoś inny (1970) Jamnik
12. Nocny gość (1973) Labirynt
13. Wrak (1973) Labirynt
14. Pokolenie dłużników (1973)
15. Czy pan pamięta inżynierze (1975) Labirynt
16. Taniec szkieletów (1977) Labirynt
17. Trzeci gang (1979) Labirynt
18. Szukam tego człowieka (1979) Labirynt
19. Dzieci milionerów (1980, 1982) Labirynt
20. Złocisty przegrywa (1980) Labirynt

21. Grzędawisko (1981) Labirynt
22. W pogardzie prawa (1983) Labirynt
23. Malwina przegrała milion (1984) Labirynt
24. Zdrajca (1984) Labirynt
25. „Nietoperze" (1985) Labirynt
26. Trzy ciosy sztyletem (1986) Labirynt
27. Sygnały śmierci (1988) Labirynt
28. Za progiem mroku (1988) Labirynt
29. Śmierć za karę (1990) Labirynt
30. Zemsta „Wilka" (1990) Labirynt
31. Wynajęty morderca (pod pseudonimem Stanisław Załęski) (1991) Labirynt
32. Królowa Nocy (2009) Seria z Warszawą
33. „Jak śmierć jest cicha" (2010) Seria z Warszawą

174

175

Książki wydawnictwa „Wielki Sen"

do nabycia na stronie internetowej

www.kiubmord.eom

Pierwsza seta

„Serią po kryminałach"

czyli Katalog konesera kryminałów z PRL

MO

PO KRYMINAŁACH

czyu

KATAICSG KONESERA KRYMINAŁÓW Z PRI

Pierwszy tom serii, w której dokonujemy przeglądu wszystkich polskich powieści kryminalnych, jakie ukazały się od roku 1945 do początku lat 90. Staramy się zainteresować Czytelników gatunkiem. Oferujemy ogromną różnorodność podejścia do tematu: są tu teksty, które można uznać za klasyczne recenzje, są noty, luźne refleksje, analizy. Jednych interesuje sposób popełnienia zbrodni, inni oglądają tło społeczno-obyczajowe, zagląдают do lokali gastronomicznych - każdy z Klubowiczów zмага się bowiem z gatunkiem na swój własny sposób.

Miłośnicy powieści kryminalnych z epoki PRL-u mieli do tej pory poważny problem z gromadzeniem ulubionych książek wydawanych w klasycznych seriach: Klub Srebrnego Klucza, z Jamnikiem, Labirynt, Różowa Okładka oraz wielu innych, nie było bowiem żadnego wykazu czy katalogu, grupującego w kompleksowy sposób te bezcenne dla koneserów pozycje. Nasz katalog wypełnia tę bolesną lukę informując, co, kiedy i w jakiej serii wydano, co z pewnością niejednemu ułatwi kompletowanie zbiorów.

Seria z Warszawą

Helena Sekuła

„Tęczowy cocktail”

„Tęczowy cocktail” ukazał się po raz pierwszy w roku 1962 w legendarnej serii kryminalnej wydawnictwa Iskry - Klub Srebrnego Klucza. Już w tej debiutanckiej powieści Heleny Sekuły można dostrzec wiele cech właściwych dla późniejszych dzieł pisarki. Warto zwrócić uwagę przede wszystkim na wielowąt-kowość fabuły, nagłe zwroty akcji, a przede wszystkim galerię intrygujących, mocnych postaci kobiet.

Helena Sekuła

„Kieliszek Bordeaux”

„Kieliszek Bordeaux” może z powodzeniem uchodzić z „Tęczowym cocktailem” za dylogię. Łączy te dzieła czas powstania, trunkowy tytuł oraz osoba śledczego - majora Korosza - „jednego z najzdolniejszych oficerów dochodzeniowych Komendy Głównej Milicji”. Tym razem major Korosz musi odkryć, kóż to był łaskaw otruć tytułowym kieliszkiem wina, wzbogaconym o stosowną dawkę cyjanku potasu, niejakiego Igora Orдона - z zajęcia producenta ceramiki, z zamięłowania zaś hurtowego łamacza serc niewieścich.

Helena Sekuła

„Wstęga Kaina”

„Wstęga Kaina” to trzeci tytuł, który ukazuje się w Serii z Warszawą. Napisana z epickim rozmachem, wypełniona wartką fabułą kryminalną i tchnąca wielkim światem, powieść Heleny Sekuły miała zostać opublikowana przez wydawnictwo Iskry w słynnej serii Klub Srebrnego Klucza. Niestety, nie miała szczęścia. Maszynopis zakwalifikowano do druku dopiero w roku 1990, kiedy seria przestawała istnieć. Dotąd zatem „Wstęga Kaina” jest znana jedynie tym Czytelnikom, którzy mieli szczęście zetknąć się z pierwodrukiem gazetyowym.

Zygmunt Zeydler-Zborowski

„Czwarty klucz”

Powieść kryminalna Zygmunta Zeydlera-Zborow-skiego „Czwarty klucz” nie miała dotąd wydania książkowego. Była publikowana w odcinkach na łamach „Kuriera Polskiego” w roku 1981. Miłośnicy twórczości tego autora na pewno nie będą zawiedzeni. Wielkie emocje i zazdrości kulminują morderstwem przy użyciu sztyletu. Ginie piękna kobieta, a podejrzanych nie brakuje. Brawurowe zwroty akcji, cięte dialogi oraz szczypta erotyki, to niezaprzeczalne atuty „Czwartego klucza”.

Piotr Kitrasiewicz

„Sherlock Holmes i koledzy”

Zygmunt Zeydler-Zborowski

„Nieudany urlop majora Downara”

... ..

Książka Piotra Kitrasiewicza „Sherlock Holmes i koledzy” jest monografią o detektywach - począwszy od pierwszego, którego powołał do życia na kartach swoich powieści Edgar Allan Poe, poprzez wszystkich bardziej lub mniej znanych, aż po Jamesa Bonda. Autor omawia wprawdzie tylko rdzennych detektywów z Zachodu, ale nie wątpimy, że prędzej czy później napisze monografię poświęconą kapitanowi Glebowi, porucznikowi Szczęsnemu, majorowi Downarowi, majorowi Koroszowi i innym tuzom rodzimych organów ścigania.

Prawdziwy oficer milicji jest na służbie zawsze. Jeżeli przebywa na urlopie, to też jest na służbie. Może o tym nie wiedzieć, ale rychło się dowie. Tak jest w wypadku majora Stefana Downara, któremu upragniony odpoczynek przerwał trup i to trup kobiety, znaleziony w sopockim pensjonacie, w którym Downar zamieszkał. Prywatne uciechy muszą poczekać - Downar rzuca się w wir dochodzenia.

Legendarna powieść Zygmunta Zeydlera-Zborow-skiego „Nieudany urlop majora Downara” nie miała dotąd książkowego wydania. Była jedynie publikowana na łamach „Dziennika Łódzkiego” na przełomie 1968 i 1969 roku.

Anna Kłodzińska

„Królowa nocy”

Anna Kłodzińska

„Jak śmierć jest cicha”

Legendarna powieść Anny Kłodzińskiej „Królowa nocy” nie miała dotąd książkowego wydania. Była jedynie publikowana na łamach „Dziennika Zachodniego” w roku 1971.

Dyrektor Derbach miał stosowne stanowisko, odpowiednią do niego żonę oraz perspektywę na awans. Do pełni życiowego szczęścia brakowało mu tylko skoku w bok. Gdy nadarzyła się ku temu okazja,

poszedł w nią jak w dym. Miał jednak pecha. Rychło po zaznaniu cielesnych uciech dyrektor Derbach dostał propozycję nie do odrzucenia. W zamian uzyskał obietnicę nierozpowszechniania pięknych zdjęć wiadomego rodzaju...

Legendarna powieść Anny Kłodzińskiej „Jak śmierć jest cicha” nie miała dotąd książkowego wydania. Była jedynie publikowana na łamach „Ilustrowanego Kuriera Polskiego” w roku 1962.

Po Warszawie grasuje tajemniczy morderca. Najpierw śmiertelne strzały padają na Dworcu Warszawa Główna. Potem akcja przenosi się na prawą stronę Wisły. Kolejny trup na stacji Warszawa Wileńska. Z kolei w wykopie na Mokotowie odkryto czyjeś zwłoki. Czy coś łączy te trzy sytuacje? Kapitan Szczesny, jeden z asów Komendy Stołecznej Milicji, staje przed najtrudniejszym zadaniem w swej karierze...

Zygmunt Zeydler-Zborowski

„Za dużo kobiet”

Jerzy Edigey

„Uparty milicjant”

Legendarna powieść Zygmunta Zeydlera-Zborowskiego „Za dużo kobiet” nie miała dotąd książkowego wydania. Była jedynie publikowana w odcinkach na łamach „Kuriera Polskiego” w roku 1986. Co łączy pracownika spółdzielni krawieckiej i estradową szansonistkę, poza nagłą śmiercią? Jakby dwóch trupów było mało, mamy jeszcze aferę szpiegowską oraz narkotykową. Na okrasę zaś cały tłum kobiet zaciemniających milicji drogę do prawdy. Całe szczęście major Stachurski z kontrwywiadu to spec jakich mało. Sprostą każdemu wyzwaniu.

Powieść Jerzego Edigeja „Uparty milicjant” nie miała dotąd książkowego wydania. Była jedynie publikowana w odcinkach na łamach „Głosu Pracy” w roku 1980.

Jak wynika z tytułu, ważną cechą dobrego milicjanta jest upór. Czasem śledztwo może ciągnąć się latami. Tak właśnie było w przypadku tajemniczego zaginięcia w Kętrzyńskim. Mianowicie zawieruszył się pewien mężczyzna po weselu. Milicja nie dała wiary sugestiom, jakoby zaginiony wyjechał w Kieleckie i tam zszedł z pola widzenia organów ścigania. Latami trwa zмова milczenia w rodzinnej wsi. Milicja jednak na wszystko znajdzie sposób.

Jerzy Edigey

„Czek dla białego gangu”

Helena Sekuła

„Złoty blues”

Warszawska afera cementowa zatacza coraz szersze kręgi. Milicja wyłapała już prawie wszystkich i właśnie wtedy w Alei Szucha zostaje napadnięty pracownik prokuratury. Nieznany sprawca kradnie niezwykle cenny tom akt, do którego dołączony był czek na 80 tys. dolarów - należność za opchnięty na

lewo transport szybkooschnącego cementu 404.

Tę piekielnie trudną sprawę dostaje major Stanisław Krzyżewski. Właśnie zakończył w Zambrowie sprawę pewnego kowala. Afera cementowa to sprawa zupełnie innego kalibru. Wygląda na niezły kopniak w górę. Czy major sprosta wyzwaniu?

Wznowienie pierwszej opublikowanej książkowo powieści Jerzego Edigeya - smakowita lektura nie tylko dla wielbicieli kryminałów, ale również dla miłośników Warszawy.

Major Stefan Korosz znowu w akcji. Tym razem as oficerów śledczych Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej musi zmierzyć się z gangiem przemytników i wyjaśnić co się stało z drogocenną kolia oraz kogo i dlaczego pchnięto nożem w portowej knajpie. Oczywiście tam gdzie Korosz, tam i piękna, tajemnicza modelka. Czyżby miała coś wspólnego z kryminalną aferą?

Legendarna powieść Heleny Sekuły „Złoty blues” po raz pierwszy ukazuje się w formie książkowej. Dotąd publikowana była jedynie w odcinkach na łamach „Kurierza Polskiego” w roku 1961.

Jerzy Edigey

„Niech pan zdejmie rękawiczki”

W peryferyjnej dzielnicy Warszawy grasuje morderca. Pierwsza ofiara zostaje znaleziona w wannie, we własnym mieszkaniu. Wkrótce giną kolejne dwie osoby. Nic nie wskazuje na motywy rabunkowe. Milicja rzuca na ten trudny dochodzeniowo odcinek majora Polakiewicza. Wspiera go dzielnicowy Lip-kowski. Czy to wystarczy?

Legendarna powieść Jerzego Edigeya „Niech pan zdejmie rękawiczki” nie miała dotąd książkowego wydania. Była jedynie publikowana w odcinkach na łamach „Dziennika Zachodniego” w roku 1971.

Wejdź na www.klubmord.com, zgłoś akces do Klubu MOrd

i kupuj następne książki w Serii z Warszawą po cenie klubowej